HELENA BOGUSZEWSKA

CAŁE ŻYCIE SABINY

BOGUSZEWSKA

CAŁE ŻYCIE SABINY

HELENA BOGUSZEWSKA

CAŁE ŻYCIE SABINY

WYDANIE IV

XX

CZYTELNIK 1958

Obwolutę i kartę tytułową projektował:
JAN S. MIKLASZEWSKI

Biblioteka Miejska we Włocławku
821.162.1-3
Bog
Cato
40975

Publiczna Miejska
Biblioteka — Centrala
Włocławek, ul. Kościuszki Nr 12
821.162.1-3

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna we Włocławku
821.162.1-3
020-040975-00-0

WSTĘP

Doktor przestał mówić i siedział nieruchomo, patrząc nigdzie i bębniąc palcami w ciemnoczerwone sukno biurka.

Sabina nie poruszyła się również i dalej czuła pod ręką wytartą, ostrawą skórę poręczy fotela, na którym siedziała — i aż się zdziwiła, że wszystko jest jak przedtem, jak wtedy, kiedy on jeszcze wcale tego nie powiedział. W pewnej chwili poczuła w uszach cienki, długi pisk na jednej nucie, coś jakby dźwięk dalekiego telefonu, ale wiedziała, że to tylko tak sobie, bo przecież telefon stał tuż obok na biurku i milczał. Potem zrobiło jej się bardzo gorąco i doktor z fotelem i biurkiem odsunął się daleko, jakby widziany przez odwrotną stronę lornetki. Gorąco zmieniło się w bezsilne zimno, rozlazłe i śliskie.

Zemdleję — pomyślała. Jednak nie zemdlała, a nawet po chwili wstała z fotela i zaczęła szukać w torebce przygotowanych pieniędzy i trochę, jak zwykle, przeraziła się, nie mogąc ich znaleźć od razu, choć wiedziała na pewno, że są.

Wszystko jak zawsze — pomyślała znowu i w tej samej chwili posłyszała swój głos mówiący głośno, dźwięcznie i wyraźnie: — No, to ja już nie będę panu doktorowi zabierała więcej czasu — i zobaczyła swoją rękę w granatowym rękawie, kładącą pieniądze na brzegu biurka.

On wstał skwapliwie i jeszcze raz zalecił, żeby zaraz po powrocie do domu położyła się do łóżka.

W przedpokoju uważała, żeby nie zamienić botów, dała coś drobnych służącej i przez chwilę uważnie przyglądała się haftowi na jej wykrochmalonym czepeczku, jakby chciała go zapamiętać. Na schodach przypomniała sobie, że ilekroć szła do pracy lub dokądkolwiek, wbrew swojej chęci, tylko z musu, zawsze sobie mówiła, że oto nie ona sama idzie, tylko „idzie ją"

— Teraz dopiero „idzie mnie" po tych schodach i będzie tak aż do... — nie dokończyła. Chwyciła ją straszna tęsknota do tamtego, do wszystkiego, co było przedtem. Kiedyż to było?... Weszła do gabinetu po piątej dwadzieścia. Więc po piątej dwadzieścia było jeszcze wszystko zwyczajnie. Dopiero w jakiś kwadrans potem, może jakie pięć po wpół do szóstej powiedział — a teraz pewnie jeszcze nie ma szóstej. Boże, Boże!

Przy drzwiach na dole poczuła, że trzeba coś zrobić, jakoś sobie poradzić, żeby w ogóle przejść tę całą drogę do domu. Więc starym zwyczajem zaczęła niby to komuś opowiadać wszystko, jak było: — że kiedy jeszcze była małym dzieckiem, to matka strasznie o nią się bała, a potem się okazało, że nic. Potem przed samą wojną znowu się zdawało, że gruźlica nerek, że Bóg wie co... Potem jeszcze, potem jeszcze — tylko że potem to znowu nikt się tak strasznie nie bał, jak przedtem matka — ironizowała bez słów jakimś tam zakamarkiem myślenia, nie przerywając tego niby opowiadania, w które już wciągnęła i dzisiejszy dzień.

— Właściwie powiedział mi, że już nie ma prawie nic do zrobienia. Kazał tylko wracać do domu i zaraz się położyć. Po dwóch, nie, po trzech tygodniach wstałam i... no widzi pan, żyję dotąd i jestem zupełnie zdrowa — zakończyła.

Stała już przy swojej bramie, podniecona jeszcze i cała tkwiąca w tym niby opowiadaniu. Ale wszystko jakoś zaraz opadło, zrobiło się zimno, brama była brązowa i odrapana, asfalt chodnika mokry. A w najgłębszej głębi duszy niezawodna pewność, że to wszystko na nic, że nigdy już nikomu nie będzie tak opowiadała... bo tym razem, to już jest naprawdę. Przecież zawsze za którymś tam razem musi być naprawdę! I dla każdego przychodzi to „naprawdę"... Ciotka Teresa też tak powiedziała: — Czuję, że tym razem to już jest naprawdę. — I stara Szulcowa też. I ciocia Aniela. I matka...

Wyliczyła sobie zmarłych, trzymając już jakby z nimi, będąc już jakby po ich stronie. Cóż takiego, Boże drogi, przecież wszyscy!...

Było w tej prostej myśli coś jakby uspokajającego. W każdym razie udało się o niej, jak o kiju, wejść na schody, nacisnąć dzwonek...

— No i co? No i co powiedział? — spytała Helena zaraz w przedpokoju. Przez uchylone drzwi od jadalnego wpadało światło. Słychać było, że Halinka się uczy, a Marysia jej przeszkadza. Sabina nie odpowiadała, długo mocując się ze swymi botami.

Trzeba zmienić sprzączki — przeleciało jej przez głowę i zupełnie niespodziewanie dla samej siebie zaczęła głośno płakać. Zakotłowało się. Helena pobiegła po wodę, z kuchni wyjrzała przerażona twarz Stasi. Karol stanął na progu, objął wszystko szklistym spojrzeniem i zaraz się cofnął. Marysia wytrzeszczyła swoje ładne, niemądre oczy, a Halinka syknęła na nią z nagłym zdenerwowaniem.

— Sabino, uspokój się, proszę cię, napij się wody, napij się wody — powtarzała Helena, jak gdyby o tę

wodę tylko chodziło, uprowadzając siostrę do drugiego pokoju.

— Co kazał? leżeć?

Ze szlochania wydobyły się przerywane, śliskie od łez słowa: — Zaraz kłaść się do łóżka.

— A widzisz... Zaraz przeniesiemy tu twoje łóżko, będziesz miała więcej powietrza, ustawimy tu wszystko... Karolu, Halinko, pomóżcie przenieść łóżko!... Niech Stasia zaraz tu napali!... I dajcie tamten mały stolik!... A gdzie przełożyć rzeczy?... No, gdzie bądź tymczasem, choćby na fotel...

Mrugnęła porozumiewawczo na męża, który znowu stanął w drzwiach. Komenderowała. Rzucili się wszyscy do tego łóżka, do tego stolika, jak do zbawienia. Sabina została sama i siedziała tak, szlochając. Ale coraz ciszej. Bo już znowu coś się jakby zmieniło i zrobiło się jakoś inaczej.

Już samo przeniesienie ciotczynego łóżka z ciasnego pokoju, gdzie sypiała razem z dziewczynkami, do tego najlepszego, zwanego gabinetem, było czymś nadzwyczajnym. A jeszcze do tego ustąwienie go nie przy ścianie, jak zawsze, tylko tak jakoś na pokój, to już miało w sobie taki dreszcz grozy, a zarazem niezwykłości, że Marysia chodziła, łaziła za matką krok w krok, tknięta nagłym onieśmieleniem w stosunku do Sabiny, która dotąd była zwyczajna, bliska i o każdej porze potrzebna, a teraz leżała w łóżku na środku pokoju, dziwna i daleka.

— Cóż tak mi się przyglądasz, jakbyś mnie widziała po raz pierwszy. Zmieniłam się od wczoraj, co? — uśmiechnęła się do niej blado od poduszki, a Marysia zawstydziła się, odwróciła oczy. Matka spojrzała na nią surowo: — Idź do Stasi, żeby ci

dała gwoździ, tych średnich, są w szufladce na lewo. I młotek! — krzyknęła już za odchodzącą i zaraz obejrzała się na siostrę, trochę jakby zmieszana. Ale Sabina leżała spokojnie, nieruchomo, jakby nie słyszała. — Pamiętasz — zaczęła mówić powoli — pamiętasz, jak byłyśmy jeszcze małe i umierała ciotka Aniela?... Nie mogłyśmy wcale tego zrozumieć, jak to można umrzeć, i zdawało się nam, że choćby cały świat wymarł, to my dwie będziemy zawsze żyły. A teraz właśnie jedna z nas...

— Och, nie mów — i Helena w jakiś nieokreślony sposób zaprzeczyła rękami i całą sobą. Wzburzona, odwróciła się i zabrała do przybijania dywanika, jakby od tego wszystko zależało. — Tak będzie o wiele cieplej — dodała już zwyczajnym głosem. Sabina pomyślała, że siostra organizuje tę jej chorobę, tak jak wszystko, teraz jednak już wie dobrze, że tu już żadne organizowania nie pomogą, kiedy przychodzi to ostatnie i to „naprawdę"...

Jednak dawnym trybem odpowiedziała pytającej Helenie, że tak dobrze, tylko trochę więcej na lewo i może trochę wyżej — ot tak. A gdy już wisiał, przyjrzała się uważnie tym znajomym różom na czarnym tle, jakby je widziała po raz pierwszy, dotknęła ich palcami i z nagłym znużeniem przymknęła oczy: — niechże się zajmują teraz nią, niechże się samo wszystko robi, a ona nic...

Dnie szły jakieś podniecone, jakby odświętnie niezwyczajne. Helena wzięła urlop, po całych dniach kręciła się koło Sabiny i wstawała w nocy. Przychodzili goście, nieśli pomarańcze i amarantowe prymule w zwojach miętej kwiaciarnianej bibułki. Wchodzili z niepewnymi minami i zaraz dziwili się skwapliwie, że Sabina tak dobrze wygląda, a potem rozmawiali wesoło i o wszystkim. Karol wycho-

dził ze swego pokoju, słuchał wszystkiego z aprobatą, zacierał ręce, wciągał powietrze jakoś po swojemu, jakby mu było zimno, ze wstydliwym uśmiechem mówił, że musi iść na posiedzenie, i wychodził, a goście siedzieli dalej, aż dopóki Sabina nie przymknęła oczu, choć właściwie nie była zmęczona, tylko chciała znowu zastanowić się spokojnie nad tamtym... nad czym?...

I wyglądało wszystko inaczej, bo oto dwa stoliki przysunęły się do łóżka i, ogołocone ze swoich zwykłych domowych rynsztunków, zaroiły się natychmiast od flaszek z pomarańczowymi harmonijkami recept, przyciśniętych gumkami upragnionymi przez Marysię, od szafirowych syfonów, od szklanek z troszką czegoś na dnie, od jakichś nowych przedmiotów, które wyszły jak spod ziemi, nadzwyczajne i niewiadomo do czego służące, a wśród tego wszystkiego Marysia chodziła na palcach, zaabsorbowana, zachwycona, a Halinka skwapliwie latała po wszystko do kuchni, do apteki, do sklepu, wszędzie. Szorstką codziennność wyparła patetycznie żałosna, odświętna słodycz. Każdy chciał dla Sabiny coś zrobić, a Sabina leżała osłabiona i bierna, pozwalająca wszystko ze sobą robić, i sama się dziwiła, że tak od razu weszła w rolę najważniejszej osoby. Chwilami zapominało się, skąd ta cała odświętność wyrosła, i było przyjemnie.

Ale kiedy po kilku dniach urlop się skończył, Helena zrozumiała, że długo tak nie da rady. Zamknęła się z Karolem w swoim pokoju i rozmawiali długo, a Sabina dostała wypieków, patrząc na zamknięte drzwi.

Otworzyły się w końcu i Karol ze wstydliwym swoim i smutnym uśmiechem przemknął przez pokój, zacierając zziębnięte ręce i niewyraźnie oznajmiając, że jest już o wiele spóźniony na posiedzenie. Nikt mu nic nie odpowiedział i słychać było, jak długo kaszle w przedpokoju. Helena pośpieszyła do kuchni, pokrzątała się tu i ówdzie i wreszcie podeszła do Sabiny: — Powiedz no, co byś ty zjadła na kolację, bo jest ten rosół — zaczęła zaaferowanym głosem, ale Sabina wyciągnęła do niej rękę: — Posłuchaj... jeśli to ma długo trwać...

Spojrzały na siebie i Helena odwróciła oczy.

— Co ma trwać?... Znowu zaczynasz... Zobaczysz, jak się będziesz czuła po sześciu tygodniach porządnego leżenia... Sama się przekonasz...

Kazała Stasi ubić żółtko, a sama poszła na chwilę położyć się w jadalnym na kanapie. Była bardzo zmęczona.

Odtąd zaczęło wszystko wracać do dawnego, tylko że zjawiła się panna Zofia. Panna Zofia przychodziła rano, wesoło mówiła: dzień dobry, zaraz przebierała się w biały fartuch, który wisiał na gwoździu za drzwiami i od razu robiła się z panny Zofii pielęgniarka.

Zaczynały się codzienne obrzędy: prześcieranie łóżka, nacieranie, mycie, czesanie, sprzątanie. — Jak to koło chorej — mówiła pogodnie. Więc Sabina zrobiła się „chorą".

— Skąd się tu tyle tych nowych rzeczy bierze — utyskiwała swoim nowym chorym głosem.

— Rzeczywiście... wczoraj uprzątnęłam, a dziś znowu pełno — pogodnie przytakiwała pielęgniarka.

— Bo co kto przyniesie z kuchni, to zostawi. Szklanka, łyżeczka, spodek, talerzyk...

— Pewnie! To wszystko niepotrzebne! Nic nie szkodzi, zaraz się uprzątnie. Wszystko będzie dobrze! Podłożyć wałek?

— Proszę podłożyć, tylko nie tak wysoko jak wczoraj.

— Za wysoko było?

Krzątała się szybko, sprawnie, wesoło. Pokój przestał być odświętnym. Nie pachniał już pomarańczami ani kwiatami w miętych bibułkach. Liliowy hiacynt zliliowiał jeszcze więcej, aż sczerniał i zwinął się nieprzyjemnie. Trzeba go było wynieść. Trzymała się jako tako tylko jedna prymulka. Tak. Pokój przestał być odświętny, przestał być nawet gabinetem. Zrobił się zwyczajny na inny sposób: wypełnił się zorganizowaną chorobą.

— Proszę to zabrać, a to zostawić. Tu niech stoi — wesoło komenderowała pielęgniarka w stronę kuchni — tak będzie wygodniej dla chorej.

Krzątając się opowiadała o innych swoich chorych. W pierwszych dniach Sabina słuchała nieuważnie, zajęta odgłosami z jadalnego pokoju. Ktoś dzwoni — Halinka przyszła ze szkoły? Śpieszyła się na „kółko"? Obiad dla pana! Ktoś zaraz wychodzi, a ktoś dopiero na czwartą. Czy był listonosz?

Głowa wciskała się głębiej w poduszkę w nagłym znużeniu. — Więc co, że na czwartą? Niech sobie idą. Ona, Sabina, nie pójdzie na czwartą, teraz ani...

— Czy pani Kowalska ciągle ma jeszcze podniesioną temperaturę?

— Wczoraj było trzydzieści osiem i siedem — wesoło odpowiada pielęgniarka — ale to nic. Doktór powiedział, że to potrwa.

— A pani Krajewska czy będzie miała operację? — I Sabina czuje, że blednie.

— Ej, chyba nie. Mam nadzieję, że się obejdzie bez operacji.

— O mnie powiedział, że już by nic nie pomogło — w wysilony jakiś sposób wyznaje cicho Sabina ze sztucznym uśmiechem. Ale pielęgniarka śmieje się głośno.

— Oni zawsze tak mówią, bo żałują, że im się nie udało człowieka pokrajać. Który by chirurg nie chciał operacji?... Tak samo było z tą panią... no, nie pamiętam nazwiska... tą z Siennej. Trzy miesiące byłam przy niej.

— No i co? — Jadalny pokój zapada się. Jest tylko pielęgniarka i jej chora z Siennej.

— Zdrowiuteńka, chodzi!

I Sabina słucha, jakby piła wodę życia.

Ale o jakiejś godzinie pielęgniarka zaczyna zdejmować fartuch. Myje ręce. Wdziewa beżowy płaszczyk. Przed lustrem wyciąga loczki spod beretu. Robi się panną Zofią.

— Do widzenia! Do jutra — mówi wesoło i wychodzi na ulicę, gdzie są ludzie, sklepy i tramwaje. A „chora" zostaje i robi się z niej znowu Sabina, ale taka, która już nie należy ani do jadalnego pokoju, ani do chorych panny Zofii. Tak nie może być — myśli sobie — musi się coś wymyślić, jakoś się zorganizować na ten czas. Na ten czas...

Małe pudełeczko pełne gumek, pudełeczko, z którym dotąd Marysia ciągle się nosiła i w nocy kładła pod poduszkę, coraz częściej stoi zapomniane czy na oknie, czy na kredensie, czy gdzie bądź... czyżby tyle się już tych gumek nazbierało, że aż zdążyły spowszednieć Marysi?

To samo ze szklanymi tubkami togalu. Dawniej sama tubka była czymś cudownym, a teraz musi w niej siedzieć obrzydliwa, szara stonoga i to jeszcze nic wielkiego!

— Mamo, mamo, niech mama jej nie pozwoli męczyć stonogi! Stonoga nie ma czym oddychać!

Helena jest zdenerwowana. Czyż doprawdy mało „tego wszystkiego", czyż musi się jeszcze zajmować stonogami i tubkami od togalu, których się pełno wszędzie wala? Wiadomo, że Helena jest spokojna i opanowana, ale jednak...

— Najlepiej niech Stasia pozbiera i powyrzuca te wszystkie tubki! Niech raz będzie spokój...

Spokoju nie było. Halinka nie może tak ciągle latać do apteki i po wszystko. Już jej zwracali uwagę w szkole, że się opuszcza. Musi doganiać. A do tego jeszcze teraz te wieczorki! Na pierwszy, w świetlicy, jeszcze wtedy na samym początku, nie poszła. Nawet myśleć o tym nie mogła. Drugi był w kółku: nie miała ochoty ani sukni. Trzeci w czwartek w patronacie. Kłopot z suknią. Kłopot szeptany wstydliwie w jadalnym pokoju. Ale Sabina ma teraz takie uszy, że choćby nawet w kuchni i najcichszym szeptem, to usłyszy i przywołuje nie od razu usłyszanym dzwonieniem łyżeczki o syfon (tyle razy mówiło się już o tym dzwonku, żeby kupić i wiecznie się zapomina)...

Skwapliwe podbiegnięcie: — Dzwoniłaś, kochanie?

— Moje drogie, słyszę, że macie kłopot z suknią na ten czwartkowy wieczorek. Otwórzcie żółtą szafę, wyjmijcie tę moją beżową krepdeszynową, może się jeszcze da coś z niej zrobić...

I przymyka oczy, przeczekując sercem ten wstydliwie ociągający się pośpiech skwapliwych kroków, przeczekując znajome skrzypnięcie starej szafy i przydługie grzebanie się w matowych, miękkich chrzęstach „gałganów", których ona nigdy już chyba...

Oto już granatowy szewiotowy łokieć Halinki

opływa różowawozłotawą połyskliwością jedwabiu, już się zaczyna obrzęd przymierzania, zrazu wstydliwie, potem rozrasta się, staje ponad wszystko absorbujący, ważny... ach, tak się chce Halince tej ciotczynej sukni, tak się strasznie chce!...

Aż Helena przywołuje ją do porządku i zawstydza surowym spojrzeniem.

— No cóż! Suknia dobra! Nawet nie tak wiele ją nosiłaś! W Murszewicach i tu, zdaje się, byłaś w niej na koncercie... tylko że, moim zdaniem, szkoda jej krajać, przerabiać... jeszcze ci się przyda... — Helena odwraca się i sprząta coś na stoliku.

Ale Sabina zaprzecza.

— Nie przyda się, nie przyda!... choćbym nawet była nie wiem jak zdrowa... ona już była za ciasna...

Westchnienie ulgi. Była za ciasna? Przymierzanie idzie więc na całego: tu podnieść, tam opuścić, tu skrócić, tam ująć, tu dodać... na skrawku „pokoju chorej", pełnego lekarstw i skomplikowanych rekwizytów choroby zakwita czarodziejstwo nowej sukni i bierze w siebie oczy: Sabina patrzy, patrzy od swej poduszki, jak olśniona Halinka w jedwabnym połysku na wyszarzałej granatowości szewiotu ma już cały świat pod nogami w fildekosowych, pocerowanych pończochach i starych, sportowych pantoflach. Ach, gdzież to i kiedy zdawało się tak samo Sabinie, a potem się okazało, że... Sabina zamyśla się i oczy jej, zwrócone w głąb, przestają jakby być widzące, aż Helenie robi się nieswojo... — Zmęczona jesteś, Sabinko? Może lepiej, żebyśmy przeszły do jadalnego z tym mierzeniem...

Ale Sabina wyciąga do niej rękę: — Pamiętasz, jakie suknie miałyśmy, jakeśmy to były razem na balu w Towarzystwie Rolniczym? Ja byłam w białej, a ty miałaś jakąś podobną do tej...

— Nie, nie — ucieszyła się Helena, że wszystko znowu jest zwyczajnie — tamta była bardziej różowa, wtedy nie było jeszcze takiego koloru „beż". I miała ażurowy „karczek". Twoja też była z „karczkiem". Nie wiem, czemu wtedy zawsze musiały być te karczki, pamiętasz? — śmieje się.

Ale Sabina się nie śmieje. Rozważa coś, daleka, skupiona, jakby uderzona jakąś nową myślą, ponad wszystko ważną: że oto jest jeszcze dla niej coś do zrobienia? Coś jej własnego, coś bardzo pilnego...

Zatęskniła do tego, żeby już wyszły, żeby ją zostawiły samą z tą nową robotą: przecież ona musi sobie przemyśleć życie po sukniach! I musi zacząć od samego początku, nie można tak od tej białej z karczkiem, tym bardziej, że ta biała była nieważna, a ona musi wybierać najważniejsze, jak ta różowa z wesela Heleny... Ach, mój Boże, jakże mogła przed chwilą jeszcze nie wiedzieć, że musi to zrobić, musi koniecznie, koniecznie!

Znowu przymyka oczy, udaje nagłe znużenie. Więc obie wychodzą na palcach, niezadowolone z siebie, z suknią przewieszoną przez ramię Halinki. Oglądają się jeszcze, czy wszystko na miejscu, czy łyżeczka leży koło syfonu (że też nie kupiło się jeszcze tego dzwonka!...), przymykają drzwi...

Sabina otwiera oczy. Wspiera się na łokciu, rozgląda... tak, tak. Teraz jest dobrze, teraz można zabrać się do roboty. Już!...

Część pierwsza

PO SUKNIACH

PRZEZ ODWRÓCONĄ LORNETKĘ

Jak przez odwróconą lornetkę patrzy Sabina w najdalszą głąb swego dzieciństwa, na siebie samą, na małą Sabinę chudą, czarną i nerwową, to skaczącą jak wróbel, wiercącą się, kręcącą, szalejącą nad byle czym z zachwytu, to znów tonącą w rozpaczy — że co? Że ta nowa sukienka „w różowy rzucik" znowu jest jakaś dziwna, nie taka jak u innych dzieci? Przydługa? A tak się cieszyła z tej sukienki!...

Gorzki posmak zawiedzionej nadziei roztapia się jednak w leniwym szczęściu lata. Bo może Sabina się myli? Może jednak ta sukienka jest taka jak u innych? Może nikt nie zauważy tej niby obszewki czy też kołnierzyka, który nie jest ani wysoki, ani niski, tylko właśnie tak do połowy szyi, cienkiej jak u ptaka? I może uda się nieznacznie skrócić tę sukienkę, wciągając ją za pasek, że to niby jest taka wyrzucana? Ale czy to matka pozwoli... czy nie powie zgryźliwie: — Cóż to, chcesz koniecznie mieć gołe kolana?

Gorący wiatr porusza białą firanką, prawie że szeleści w liściach fikusa wielkiego jak drzewo, pachnie latem, kurzem, różowym kwieciem oleandrów w drewnianych cebrach, w salonie u babci, zaraz pierwszego dnia, na wakacjach...

Mała Sabina w nowej sukience „w różowy rzucik" wciąż jest niepewna. Wydana smutkowi. O każ-

dej chwili gotowa do szczęścia. Poleci do kuchni, pokręci się koło Modestowej, zobaczy, co ona powie o tej sukni...

I od razu robi się tak, że wszystko zależy od Modestowej. Z drugiego pokoju słychać pogadywania. Władczy głos matki. Cienki głos ciotki Bronisławy. Cichy głos babci. Skrzypienie rozpakowywanego kosza. Bo wtedy jeździło się tylko raz na rok, na lato i z powrotem do Warszawy, z wielkim koszem na bagażu. Daleko!... Usypiało się w czarodziejstwie podróży, na podesłanym na pół, na ćwierć drewnianej ławki pledzie, złożonym we czworo. Ze skurczonymi nogami, w niewygodzie i szczęściu, pod stuk kół i cichy szept jadących Żydów, to oddalający się, to zbliżający, to całkiem roztopiony w szczęśliwym, majaczącym, lekkim śnie o wakacjach...

Przez sionkę, przez garderobę pełną czegoś nieokreślonego, co nie wiadomo jak nazwać, a co razem zebrane stanowi domowość i przypomina tajemnicze radości strychu, Sabina przemyka się do kuchni, gorącej, sennej i czarnej od much, z lekkim swądem wiecznie „podrzucanego" samowaru...

Modestowa siedzi na ławce za stołem w chustce nasuniętej na czoło, z rękami na wielkim brzuchu, bezczynna, ogromna i wspaniała. Mówi do Ostapa, że ją głowa boli i że dziś jeszcze nie miała nic w ustach. Ostap nic na to nie odpowiada i skubie kurczęta.

Poruszenie w sercu i ostry ból, szybki jak błysk noża: więc znowu je zarzynał? I na pewno długo zarzynał... i jeszcze to najgorsze, o czym nie można wcale myśleć: że puszczał piszczące i znowu zarzynał...

Odpychając to mdlące i straszne podchodzi Sabi-

na do beczki z wodą przy drzwiach, nachyla się nad czarną i jakby gęstą powierzchnią, widzi małą, znajomą twarz, cieniuteńką szyję wyciągającą się ni to z kołnierzyka, ni to z obszewki — przypomina sobie, po co przyszła...

— Przyszła do nas panna! Nasza panna! Nasza Sabińcia kochana! Wystrojona, w nowej sukni! Pięknie! — Niski głos Modestowej brzmi jak samo szczęście.

— Pewnie, że pięknie! A co, nasza panna ma chodzić niepięknie? — cienkim głosem dogaduje Ostap.

W beczce robi się cudownie. Obrzydliwa, ciepła woda, pachnąca gnijącym drewnem, pachnąca blaszanym półkwaterkiem, rzeczna woda, której nie wolno pić, ma smak samego lata. Kiedy się Sabina chciała napić przegotowanej, z zakurzonej karafki na stoliku w rogu, ojciec nie dał.

— Nie pij, mała, wody! Nie pij wody!... — powiedział zirytowany, wykrzywiającym się głosem.

Sabina nie lubi ojca. Ojciec nie daje popłynąć łódką ze światłem na czarnej rzece, z wieczornymi śpiewami dorosłych, nie daje napić się wody, choć Sabinie język wysechł od uganiania po dziedzińcu, po upale...

Więc jak tak, to właśnie będzie piła surową i brudną z beczki! I pójdzie z Modestową na nieszpory! Czy tylko aby Modestowa zechce ją zabrać?

Przymila się, wtulona w bezpieczne ciepło wielkiego, dobrego cielska. Pójdzie „wystrojona", zawieszona u jej łokcia. Zza jakiegoś węgła wyjrzy „synek" Modestowej, ogromny, dziobaty drab, któremu nie wolno przychodzić do kuchni, bo kradnie, a Modestowa jest uczciwa... Zza innego wyjrzy jej

„siostrunia" Rózia, półwariatka, upstrzona kolorowymi papierkami... A ojciec pojedzie sobie do Warszawy już we czwartek...

Sabina wraca do pokoju szczęśliwa, i od razu wie, że mówiono o niej. — Piłaś wodę? — pyta ojciec. (Ach kiedyż będzie ten czwartek? Od pojutrza pojutrze czy od pojutrza popojutrze).

Tak kombinując widzi, że ciotka Bronisława patrzy znacząco na matkę, a matka przeczy głową. — Piłam — odpowiada dumnie i wlepia w ojca uporczywe oczy. „Piwne", mówiło się wtedy, „brunatne", mówiło się potem. Ale to już dużo później, za czasów Jana. I wtedy, kiedy Sabina nauczyła się już kłamać... — Ach, nie wybiegać naprzód, nie wybiegać!... przemyśleć wszystko po kolei, jak było — upomina siebie duża Sabina w łóżku.

A w odwróconej lornetce mała Sabina w sukience „w różowy rzucik" stoi dumna i z nowej sukni, i z tego, że nie skłamała... O Boże, co to? Ciotka Bronisława mówi do matki cienkim swoim głosem, że dlaczego matka Sabinę tak śmiesznie ubiera? Że do czego to podobne, żeby Sabina nie miała ani jednej sukienki takiej, jak inne dziewczynki, tylko zawsze Bóg wie co?

Obrażonym, pełnym wyższości głosem tłumaczy matka, że jak jest „czysto i cało", to o co chodzi? Przecież matka wychowuje Sabinę na rozumną kobietę, „wyższą ponad to"...

Ale Sabina nie jest „wyższa ponad to". Przeciwnie: od razu zapada gdzieś tak nisko, że ledwie dochodzi ją głos matki, mówiącej, żeby szła poszukać Heleny, bo niedługo będzie kolacja... zapada się tak nisko a tak gwałtownie, że aż duża Sabina słyszy w łóżku stuk tego upadku, jakby z bardzo daleka...

ale boli ją to tylko tyle, co przez wszystkie materace i pierzyny, i jeszcze pled zwinięty przez pannę Zofię, pielęgniarkę, w wałek pod krzyż...

I słusznie. Bo za chwilę Sabina i Helena tarzają się w ogródku z psem Bębnem. W szczęśliwym zapachu zwierzęcej skóry, kłaków pełnych kurzu i pcheł: — Bądź wyższa ponad to — mówi po swojemu Helena i obie literalnie pękają ze śmiechu...

Doskonała ta Helena — myśli nagle rzeczowo na łóżku duża Sabina i spogląda na zamknięte drzwi do sypialni. — Jak to ona nigdy się niczym nie przejmowała i zawsze była spokojna... zupełnie odwrotnie niż ja!...

W odwróconej lornetce robi się pusto. Ale tylko na chwilę. Bo zaraz zjawia się ta czerwona sukienka w rozcapierzone jakieś, czarne liście. Krótka, bo na szczęście nie starczyło materiału. Do tego żółte pantofle i żółty skórzany pasek dała ciotka Bronisława. Jak się go zapnie na brzuchu, to się wygląda tak jak wszystkie dziewczynki. Sabina upaja się przed lustrem, że nareszcie wygląda tak jak wszystkie dzieci. Jedzie z ciotką Bronisławą do Podhorzec, tam będą lody, będzie huśtawka... i wśród tego całego szczęścia ona, Sabina, tak samo ubrana jak inne dzieci...

— Cóż się tak przyglądasz sobie? — Zapnij no lepiej pasek w pasie. Nie wiedzieć co, sensu nie ma! Pasek jest po to, żeby był w pasie! — surowy głos matki strąca od razu Sabinę z piramidy szczęścia w otchłań odrębności...

Mała twarz, od razu stara ze smutku, odwraca się do mętnych szybek w żółtych ścianach ganku.

Nie pomaga, że od stajni słychać nieomylne głosy zaprzęgania. Nie pomaga, że stale coś skubiące małe palce odwiecznym zwyczajem ugniatają żółte krople żywicy ściekającej z okiennych ram. Nie pomaga, że w zapachu kminku i jakichś suszących się babcinych ziół, dobrych na coś, suszy się jabłeczny serek z „odpadków" wziętych od Żyda w sadzie... że gdzieś daleko gwałtownie gdacze kura, jakby dopiero co zniosła jajko, czy dopiero miała je znieść — nie wiadomo... W gorącym południu tego ganku niepocieszona Sabina w pasku w pasie, czekając na konie, smutnie patrzy na muchy bzykające po szybach, muchy senne i łażące, jakby im czegoś brakowało...

— Nie martw się — mówi dobra ciotka Bronisława, wystrojona i cienka w pasie — nie martw się! W drodze zaraz sobie poprawisz i będzie dobrze! A tak to cię matka nie puści...

Sabina waha się, bo kocha matkę. Ale w końcu robi tak, jak radzi ciotka Bronisława. Filozoficzna Helena w brzydkiej granatowej sukni wsiada na kozioł ze słonecznikiem w ręku na drogę. — Chcesz, to ci dam. — I daje jej kawałek z wyjedzonymi do połowy ziarnkami, wyglądający jak szczotka. — Od Sosnówki puszczę cię na kozioł... — obiecuje. I Sabina odjeżdża szczęśliwa w obłoku kurzu...

Którychże to wakacji było to wszystko? — Sabina nie może sobie przypomnieć. Czy tych samych, kiedy w końcu szkocka sukienka szyła się w pracowni ciotki Bronisławy? Ciotka Bronisława nie brała za robotę od rodziny, ale dawała najgorszej pannie do szycia, bo lepsze były zajęte inną robotą. Dlatego trwało tygodniami i wychodziło krzywo. Ale szkocka sukienka wyszła dobrze. Była krótka i modna.

Aż dotąd przemyślało się wszystko porządnie i systematycznie. Tak, jak było zamierzone. Aż dotąd poszło wszystko dobrze. Nawet bardzo dobrze. Bo w sypialni obok skrzypiało łóżko — a Sabina nic. Stróż po raz setny poszedł w swoich bamboszach otwierać bramę spóźnionym lokatorom, potem był ten kawałek czarności i ciszy, na którym przysiadła prawdziwa noc, i zanosiło się już na bezsenny świt— a Sabina nic, i nie zażyła nawet żadnych kropli. Ciekawe, jak teraz będzie z sukniami młodości?

...Bo po tamtych sukienkach dzieciństwa właśnie przyszedł już na nie czas. Zabawnie jest myśleć o nich: sztywne męskie kołnierzyki, wysokie jak mankiety, poważne, długie rękawy. I rozczulając się nad surowością tamtych lat dotyka Sabina późniejszych, daleko późniejszych, przeskakuje na czterdziestopięcioletnie głębokie dekolty, na owe ramiona obnażone za wszystkie czasy, za wszystkie czasy...

To tylko tak na chwilę. Bo zaraz znowu wróci do tamtych i przejdzie wszystko porządnie i systematycznie. A teraz tak naumyślnie wybiegła myślą naprzód. Ostatecznie... czy jej kto zabroni myśleć, jak się jej podoba? Stąpać po tych sukniach swego życia to tu, to tam, i z powrotem?

Nie, na pewno nikt jej nie zabroni. Ale jeżeli tak swobodnie wędruje po tych sukniach, to może już zaraz zabierze się do tej różowej przerobionej z wesela Heleny, przecież pamięta ją chyba doskonale?!...

Och, nie!... Sabina cofa się przed tą różową, spłoszona. Na różową jeszcze czas! Weźmie się do niej dopiero, kiedy przyjdzie kolej i przebrnie przez nią tak, z rozpędu. Teraz jeszcze nie. Bo od najlżejszego nawet, najbardziej byle jakiego wspomnienia tej

różowej — zaruszała się cała we wzbierającej nagłą wrogością rozgrzanej pościeli, a tak jej się przedtem dobrze leżało jakby nigdy nic! Od samego wspomnienia tej różowej pokorny dotąd jasiek najeżył się pod głową, zapachniał rozgrzanym pierzem, krnąbrny, nastroszony, wyłażący z poszewki czerwonym rogiem wsypy, oporny i zły. A przedtem było tak cicho i dobrze!...

Nic, nic, zaraz się wszystko uspokoi, powróci do tamtego miejsca, skąd wyszło! Przecież Sabina jest mądra! Przecież potrafi dać sobie radę ze wspomnieniami! Oho, nie z takimi rzeczami będzie musiała niedługo dawać sobie radę!...

Udało się! Jasiek dał się ugłaskać, zrobił się znowu ujarzmiony i dobry. Przytulona doń policzkiem Sabina z zamkniętymi oczami, po omacku odnajduje to miejsce, gdzie przerwała. Więc zaraz, o czymże to było? Aha: ostatnia, to szkocka sukienka z pracowni ciotki Bronisławy, ważna przez to, że była modna i krótka. A teraz dalej. Jakże to było z tymi sukniami dalej?

I przytulona policzkiem do jaśka Sabina płynie jak na obłoku, ponad sukniami swojej młodości, jakby nad jakąś kolorową wodą. Zatrzymuje się tylko przy takich, które wystają ponad tę wodę, zatrzymuje się tylko tyle, ile zechce, i ani trochę dłużej. Na przykład taka, która nazywała się „ta migdałowa z białym przodem", przerobiona z ciotki Teresy, albo ta „jasna z czerwonym krawatem". Czyż nie zdawało się Sabinie, kiedy przyszła raz w niej na jakiś szkolny wieczorek, że po prostu cały świat musi leżeć u jej pantofli nieco za dużych — bo to były Heleny a nie jej — i z nosami wypchanymi papierem? A kiedy się dowiedziała, co o tej „jasnej z czerwonym krawatem" myśli

Piasecka i Danowska, i Radwańska, i jeszcze któraś — to czyż nie zrobiło się od razu tak, jakby runęła po swojemu w otchłań przywalona nie jednym, ale dziesięciu takimi światami? Przecież była wtedy jeszcze zupełnie bezbronna...

PORT RÓŻOWEJ SUKNI

Podróż na jaśku skończona. Zupełnie jak cudowna podróż na gęsiorze Marcinie Selmy Lagerlöff, tym bardziej że i Sabina była wtedy chyba nie większa niż ten Nils (nie rozczulaj się nad sobą, Sabino, każdy jest mały, póki się nie okaże nagle, że jest duży)!!! — Tak, ale w tej różowej sukni to ja naprawdę byłam jeszcze mała, a działo się ze mną tak, jakbym była duża — upiera się rozrzewniona sobą Sabina na łóżku — przecież teraz widzę to doskonale, teraz, kiedy jestem już ponad wszelką wątpliwość „duża".

No, więc dobrze! Jak tam było, tak było, dość że podróż na jaśku skończyła się w porcie różowej sukni.

Ładny port — tak, ale port, bo trzeba w nim się zatrzymać na dłużej...

Źle! Po rozdygotanym niepokoju w każdym punkcie chorego ciała poznaje Sabina, że jest na złej drodze. Trzeba jakoś inaczej, trzeba ułożyć się wygodnie, najlepiej na wznak. Bo leżenie na boku dobre jest na krótko, a jak ma być na dłużej, to najlepiej na wznak. Ręce uciszone i sztucznie spokojne trzeba spleść i złożyć w tym miejscu, gdzie się kończą żebra. I dopiero się zabrać do myślenia... trzeba spojrzeć z góry jak w czarną wodę portu i zobaczyć wszystko, jak było naprawdę...

Studencki bal dawnego typu. Gorąco, ścisk, duszno, szczęście, radość, gwar, bufet, parówki z musztardą na porcje, walc Straussa, ten sam co grają teraz znowu, „pryncypialne" rozmowy, jakich teraz nikt nie prowadzi... Różowa suknia przerobiona z wesela Heleny, ale wcale nie widać po niej, że przerobiona. Gipiurowy „karczek", naturalnie wysoki kołnierzyk, długie rękawy... A pasek? Pasek był też różowy, jedwabny i z kokardą na boku. Różowa suknia miga tu i tam. Sabina ma powodzenie! Ach, jakie Sabina ma dziś powodzenie! I czy od tego powodzenia w ogóle, czy od ciągłego bycia Jana tuż obok różowej sukni, Sabina jest dziś prawie ładna. Może zupełnie ładna? Jan zapewnia, że jest cudowna...

Jan mówił... Jan mówił... nie! Tak się do niczego nie dojdzie. Mniejsza z tym, co Jan mówił. Chyba dość dużo życia zeszło na rozważaniu tego, co Jan mówi... Więc dobrze! To się wszystko przeskoczy — i już różowa suknia z „karczkiem" wisi w domu na poręczy krzesła, cała pachnąca Janem, a Sabina na swojej wąskiej kanapie wstrzymuje oddech i aż sama się dziwi, że się z nią coś takiego dzieje pod tą niebieską satynową kołdrą i jeszcze tygrysim kocem... Zamiera po prostu od szczęścia i z nieprzytomnym uśmiechem, wpatrzona w kolorową ciemność zawartych powiek, słucha, jak matka zdejmuje obuwie, jak się porusza na skrzypiącym „medalionowym" łóżku mahoniowym, tym przywiezionym jeszcze ze wsi... — Rzeczywiście bardzo ładnie dziś wyglądałaś, Sabino — powiada...

Co, naprawdę? Nawet rodzonej matce zdołała się Sabina podobać w tej różowej sukni, przerobionej z wesela Heleny? No, no!!!

Co się dalej stało z tą różową suknią? Czy przerabiało się ją jeszcze, czy nosiło się ją „na letnią",

Jan

czy wisiała w szafie, aż ostatecznie wyszła z mody i już nie warto było przerabiać, czy co?... Nie, Sabina nie może już tego sobie przypomnieć. Ale to nic! Port o czarnej wodzie był na pewno „portem różowej sukni", bo tym samym, co ona, zapachem Jana przepachniały wszystkie następne suknie Sabiny: i ta niebieska fularowa, i wełniana granatowa w zieloną kratkę... a może by należało przemyśleć osobno letnie, a osobno zimowe?

Absurd! Przecież żyło się kolejno zimą i latem...

Więc wszystkie następne suknie pachniały Janem, i wszystkie następne dnie miały kolor Jana... i tygodniami nie jadło się i nie spało, bo Jan... i zamierało się z mdlącego niepokoju, że Jan nie przyjdzie o piątej, i zamierało się ze zgrozy szczęścia, że Jan przyszedł o piątej, i w solidnej czarnej sukni, zapiętej pod samą brodę, nie mogło się powstrzymać ręki, której się tak strasznie chciało podnosić do włosów i niepotrzebnie je poprawiać, pobłyskując nowiutką obrączką na czwartym palcu? (Sabino, pamiętasz, jak to z tobą było, kiedy ta obrączka zmieniła się potem na czarną, żelazną wojenną? Ale nie zabiegać naprzód, nie zabiegać!... myśleć po porządku, kolejno!...)

Zmącone do dna, nieprzytomne dnie o kolorze i zapachu Jana zapadają w czarność wzburzonych rozkoszą nocy. Wszędzie Jan, ciągle Jan, tylko Jan! Suknie się zmieniają: zielona aksamitna z białymi mankietami — Janie, zapnij mi na plecach zatrzaski — (wtedy noszono zapinane na plecach) oczekiwanie gorącego pocałunku w kark. Popielata z czarno-białym kwiatem. Brązowa, z kremowym kołnierzykiem i taka jaśniejsza, kawowa ze szlakiem... Jakże się to stało, jak do tego doszło i kiedy, że w barwione Janem dnie zaczęło się wkradać coś, co

się również obracało dokoła Jana, a nie było szczęściem? I przy której z nich zjawiło się coś niesłychanie małego, zrazu niedostrzegalnego, aż zdeklarowało się na wyraźny niepokój? Może przy tej granatowej, również zapinanej na plecach, czekających, zdziwionych, że przecież nikt ich nie całuje, tej samej, w której okazało się, że Sabina może doskonale „sama sobie zapiąć"... albo przy tej drugiej, brązowej z gazowymi rękawami, przy której okazało się, że Sabina nie przeziębi się nikomu, a już najmniej Janowi, i że w ogóle nic jej nie będzie... Tak się okazało w przedsionku jakiejś sali, gdzie było tak zimno i gdzie oczy Jana błąkały się takie roztargnione i wypatrujące czegoś ponad piękną brązową suknią z gazowymi rękawami... A może to się zaczęło przy takiej etaminowej w kwiaty? Była kolorowa i wesoła jak lato, a zrobiło się w niej Sabinie tak zimno i ciemno jak w listopadzie, kiedy jej „brunatne", jak Jan je nazywał, oczy ujrzały w nim nagle nie swojego Jana, tylko kogoś obcego, jedzącego, pijącego, tańczącego, gadającego...

Poruszyła się Sabina na łóżku... Tak, tu przerwie, nie będzie dalej myślała. Ale do tej granatowej, zapinanej na plecach trzeba będzie jeszcze powrócić, ta granatowa jest ważna: przecież to do niej dokupiło się trzy ćwierci metra „meteoru" w deseń i przerobiło się ją na szeroką, zapinaną z przodu...

GRANATOWA, POSZERZONA „METEOREM"...

Jakże to było?

Popielata suknia z plisowaną spódniczką na szelkach i z dwiema bluzkami na zmianę (jedna w ciem-

Alicja - przyjaciółka

niejszą kratę, a druga w niewyraźne białe paski) służy Sabinie tak długo, tak długo, chyba gdzieś aż do siódmego miesiąca? I to bez żadnego przerobienia...

Zdawało się, że tak dochodzi w niej do końca. Ale nie. Bo Alicja powiedziała:

— Choćbyś nawet tak miała pieniądze, jak ich nie masz, to i tak na tych głupich parę miesięcy nie warto by było nic sprawiać. W tym jednak do końca nie wychodzisz. Musisz przerobić tę granatową. Masz tam kawałki w szufladzie? Rozszerzysz nimi w bokach, dokupisz trzy ćwierci metra meteoru w deseń, byle tło dobrać pod kolor. Tu się przybierze od góry i będziesz miała...

Alicja!... jak to one ugadywały się do upadłego, ugadywały się prawie na śmierć przez całe dzieciństwo, najlepiej w przedpokoju na kufrze, w ciemnym kącie pod osłoną zwisających spod wieszaka palt... i potem także, i potem... bo żadna rzecz nie była zupełna ani skończona, dopóki jej razem nie przegadały. — I o czym one mogą tak gadać całymi godzinami? — irytował się ojciec Sabiny. Ojciec Alicji był tolerancyjny: — Przecież dzieci nigdy nie mówią takich głupstw jak dorośli — śmiał się. Ale ojciec Sabiny nie znał się na dzieciach. I Sabina z Alicją milkły, czerwone, załapane, upokorzone... ale wypłoszone z przedpokoju, za chwilę już gadały w najlepsze w korytarzu na koszu...

Za czasów Jana rozmowy ustały: poza Janem w ogóle nie ma o czym mówić, a o Janie nie wolno mówić, nie można słowa pisnąć, bo to by już było zdradą... przecież Jan i Sabina to „my", a wszyscy inni to „oni" albo „oni wszyscy". Dopiero kiedy „my" gdzieś się podziało, kiedy Jan przeszedł do wszystkich, a Sabina została sama, wróciły rozmo-

wy z Alicją. No i zaraz zrobiło się trochę lżej... piramidy klęsk, urosłe w bezsenne noce rozmyślań, malały rano w spokojnych, bagatelizujących oczach Alicji... Alicja zawsze umiała coś niby poradzić...

Ot i teraz, w takiej sprawie: dokupiło się meteoru w deseń — trzy ćwierci metra — powiedziała Alicja — i będziesz miała — i Sabina miała. Co więcej, w parę dni po zdegradowaniu tej popielatej z plisowaną spódniczką, nie podobna by się już w nią zmieścić. Coś niesłychanego: jakby cienka Sabina na to tylko czekała, żeby pogrubieć za wszystkie czasy...

Paraduje więc w tej swojej granatowej z meteorem, jedynej możliwej do włożenia, i kiedy tak w niej idzie, raczej toczy się ulicą, zdaje się jej, że bezwstydnie obnosi po ludziach to, co miało być tajemnicą czarnych nocy... — Wszyscy widzą, wszyscy wiedzą — skarży się, jakby nie wyrosła jeszcze z tamtych rozmów na kufrze. Ale Alicja już wyrosła. — Nie „egzageruj", moja droga — powiada po swojemu. I Sabina przestaje „egzagerować". Zaczyna natomiast pilnie wypatrywać ciężarnych kobiet. A także wózków z niemowlętami. Akurat na placyku, pod słoneczną ścianą zwykłej kamienicy, rozsiadły się rozłożyste, niskie wózki. Jest z czego wybierać. — Ot, masz tu właśnie takiego bachora, jak chcesz — mówi Alicja — taki właśnie, nie inny będzie twój Kazimierz!

Sabina zagląda nieznacznie do wózka. — Czyś ty oszalała? Mój Kazimierz będzie całkiem inny! — i rozpromienia się cała, jakby ją kto odmienił.

Alicja się śmieje: — Toś ty już tak zgłupiała? Przez tych kilka miesięcy zdążyłaś już tak zgłupieć? Ach, jakże naiwne są te matki, które myślą, że ich dziecko jest najładniejsze ze wszystkich!...

Nie wiedzą, nieszczęsne, że najładniejsze jest dziecko Sabiny! No, czy nie tak?

Ale Sabina z promiennej robi się ponura: znowu chwyta ją strach. — Czy ty rozumiesz — tłumaczy Alicji — czy ty możesz zrozumieć, że każdy chory może wyzdrowieć bez operacji i każda rzecz, która się ma stać, może się nie stać, tylko ta jedna nie może się nie stać: ja nie mogę nie urodzić!...

Alicja zawsze wie, co Sabinie trzeba odpowiedzieć. — No to co? urodzisz! Nie ma z czego robić historii! Każdy człowiek, który idzie ulicą, jakoś się urodził!

I Sabina od razu się uspokaja. (Ach, żebyż mogła się teraz tak tym uspokoić, że każdy człowiek, który idzie ulicą, musi także jakoś umrzeć... i w ogóle może by nie wygadywała wtedy tego wszystkiego, gdyby wiedziała naprawdę, że jest jeszcze właśnie i ta druga rzecz, która się nie może nie stać... A przecież zdawało się jej, że wie.)

— No, więc jaki będzie ten twój Kazimierz? Geniusz?

— Nie, zwyczajny, tylko żeby był dobry i nie kłamał. I żeby się co chwila nie zmieniał i żeby można było na niego liczyć...

— Bagatela! Wiesz co, ty masz wymagania!...

Sabinie zachciewa się teraz pół czarnej i ciastka z serem. Albo z jabłkami.

Zachodzą do małej cukierenki.

W białym pokoju biała pielęgniarka mówi do Sabiny powiewając zachęcająco szpitalnym szlafrokiem w niebieskie paski. — Pani będzie łaskawa przebrać się w to. Będzie pani wygodniej.

Sabina nie ma ochoty. — Czy ja koniecznie mu-

szę już to włożyć? Przecież chyba jeszcze mam czas?...

— Dla mnie bez różnicy. Ale pani będzie wygodniej... — pielęgniarka tłumi ziewnięcie.

Chora spod trzydziestego dziewiątego jęczy. Sabina ociągając się zdejmuje swoją granatową suknię rozszerzoną „meteorem" w deseń. Gdy ją tak ściąga rozpiętą przez głowę, czuje, że ją znowu łapie ból. Przeczekuje go z podniesionymi rękami, znieruchomiała, wsłuchana w siebie. Jeszcze nie jest bardzo silny. Jest do zniesienia. A może tak już będzie do końca? Może gorsze już nie nadejdą? — Ból mnie złapał — tłumaczy się pielęgniarce, trochę zmieszana, wyjrzawszy wreszcie na świat z granatowej, przeświecającej ciemności.

Pielęgniarka kiwa głową z obojętnym zrozumieniem patrząc w okno. Chora spod trzydziestego dziewiątego jęczy głośno, ale gdzieś w głębi słychać naddarty, przeciwny naturze krzyk.

— To z porodówki — odpowiada pielęgniarka spłoszonym oczom Sabiny — znaczy się z sali porodowej.

— Od dawna tak?

— Od rana.

— A ta spod trzydziestego dziewiątego? Prędko już coś będzie?

— A nie wiem, jak tam teraz. Doktor był z rana, to mówił, że jeszcze nieprędko.

Granatowa suknia już wisi na haku wkręconym w drzwi. Sabina patrzy na nią spokorniała, w szpitalnym chałacie, przytrzymywanym na piersiach żałosnym złożeniem rąk. Zmalała w pantoflach bez obcasów, traci razem z tą suknią resztkę swojej cywilności, swojej przynależności do świata ludzi chodzących po ulicy, ludzi kupujących w sklepach, zwy-

czajnych ludzi... przestaje być Sabiną, staje się chorą spod trzydziestego siódmego...

— Pani nic teraz nie potrzebuje? No, to ja sobie jeszcze pójdę. Tu jest dzwonek.

— Dziękuję. Nic...

W białym, lakierowanym pokoju Sabina wędruje bezustannie od drzwi do okna. Od okna do drzwi. Kiedy ból ją chwyta, robi postój przy poręczy od łóżka. Albo przy oknie. To zależy od tego, gdzie ją złapie. Co siedem i pół minuty.

Jeśli przy łóżku, to musi się oprzeć mocno na wyprężonych rękach, ściskając biały, lakierowany pręt. Podobnie jak w dzieciństwie huśtała się na poręczy starego „medalionowego" łóżka matki. — Nie huśtaj się, Sabino — mówiła matka — to łóżko i tak już jest roztrzęsione! — A Sabina huśtała się dalej, kiedy matki nie było w pokoju. I huśtała się, kiedy matka weszła, choć łatwo było odskoczyć od łóżka. Ale ona naumyślnie, dla czystego sumienia, żeby matka ją wyłajała i żeby raz z tym grzechem skończyć. A tu matka jak na złość — nic. Jakby nie widziała! I Sabina musi się dalej huśtać na skrzypiącym łóżku, choć już jej się dawno odechciało... Taka to była Sabina, jak była mała!

Ale Sabina na łóżku myśli sobie, że takie wspomnienia we wspomnieniach, to jak czerwone, wielkie, drewniane jajko: w nim jest niebieskie, a w niebieskim żółte i tak bez końca... Jeżeli Sabina na ostatnim łóżku ma sobie przypominać tamtą na białym lakierowanym, a tamta znowu tę małą, huśtającą się na poręczy mahoniowego... nie, dość tego — wracać do białego pokoju!

A więc: postój przy oknie. Łokcie oparte na bia-

łym, lakierowanym parapecie, przestępowanie z nogi na nogę, tępe, obojętne spojrzenie na plac w dole, nieskończenie obcy, nieskończenie daleki. Ludzie chodzą — a cóż Sabinie do nich? Już nawet zapomniała, jak się to chodzi po ulicy... przecież jest tu już od... od kiedy? Od wczoraj? Co ją obchodzi, że ludzie chodzą? Ją obchodzi tylko jedno: co ile czasu jest ból. Bo pielęgniarka powiedziała, że jak będzie co minutę...

A jednak oczy widzą, że coś tam się dzieje, na dole. Na placu gromadzą się ludzie. Uszy słyszą znajomy śpiew. „Na barykady"? Co to, jakiś pochód pepesowski? — ach, co mnie to obchodzi!... jest tylko jedna rzecz: urodzić już raz, urodzić! I Sabina wsłuchuje się w siebie, czy ból nie nadchodzi...

Nadchodzi, nadchodzi... ho, ho, wszystko może zawieść, ale on na pewno nadejdzie, coraz częstszy, coraz bardziej nie do zniesienia... i Sabina łamiąc ręce odwraca się od okna — co ją obchodzi ulica i ludzie? Ona cała należy do tego białego wnętrza, do tej jakiejś straszliwej a nieocenionej „porodówki", do białych fartuchów, groźnych a zbawczych, do przerażających tajemnic rytuału rodzenia...

Ból minął i znowu oczy widzą: tłum rozsypuje się, wsiąka w bramy, choć policji nie widać. — Ach, co mnie to obchodzi? Niech sobie robią rewolucję, niech będzie co chce, ja jestem tylko samicą, która musi urodzić małe, musi, musi... — i w straszliwym znużeniu Sabina opiera głowę na rękach, żeby odpocząć, zanim ją złapie nowy ból, a teraz łapie ją już co trzy minuty, właściwie nawet co dwie i pół.

Jan miał przyjść po trzeciej i nie przyszedł, ale to wszystko jedno. Leniwy, biało lakierowany, zakładowy, pocięty bólami dzień przewala się na drugą stronę, tę od końca dla wszystkich, tylko nie dla

Sabiny. Posługaczka zabrała wystygły rosół. Bóle są co dwie minuty i częściej. Pielęgniarka zapaliła światło: — Zjeżdżamy do sali na dół...

— Jak to, do sali?

— Ano, do porodówki! Tu pani chce urodzić? — śmieje się — zaraz przyjdzie wózek...

Sabina milcząc kładzie się bez oporu i biało lakierowany wózek toczy się bezgłośnie po korytarzu. Biało lakierowany pokój zapada się wobec wszechmocnej porodówki w taką samą głąb, jak przedtem ulica wobec białego pokoju. Sabina już nie jest chorą spod trzydziestego siódmego, Sabina już jest rodzącą. Dwie pielęgniarki sprzeczają się o coś. Jedna zasiadła przy Sabinie, roztargniona i zajęta tą sprzeczką. Widocznie jeszcze jest czas.

Jan przyszedł.

Kazimierz rusza się w poduszce i pochrząkuje niepokojąco. Zaraz będzie płakał. Sabina widzi jego małą, poruszającą się głowę. Z czułością odczuwa oczami, jakby palcami, miękkość małego ciemienia.

— Można mu już dać?

— Jeszcze dwadzieścia minut, o drugiej ssał.

Sabina przytula się do poduszki, słaba, pełna rzewnej pokory, żałosna i skłonna do płaczu. Kiedy jeszcze leżała na wznak, największym jej marzeniem było przewrócić się na bok. Kiedy jej pozwolili leżeć na boku, okazało się, że jednak lepiej jest na wznak. Ogromnie pragnęła wstać. Skoro tylko jednak zaczęła słaniać się po białym pokoju, zapragnęła znowu się położyć. Okazało się bowiem, że w łóżku jest jeszcze ze wszystkiego najmożliwiej...

Kazimierz rozkopał się z pieluszek. Niepokoi się coraz bardziej. Malutkie kolana poruszają się co-

raz prędzej, coraz prędzej pod małą, rozczulającą brodą rozdartą nagle w bezzębnym płaczu. Maluteńkie pięści trzęsą się w bezsilnym gniewie po obu stronach zamszowej głowy z frędzelką nie wytartych jeszcze włosów na karku. Płacze, płacze — i Sabina gotowa jest płakać razem z nim.

— Można mu już dać? — pyta pokornie.

— Jeszcze piętnaście minut...

— Przecież nie było jeszcze drugiej, kiedy ssał...

— Ale skąd, patrzałam! Przekarmi go pani i co będzie?

Sabina nachyla się nad nim. Z lubością wdychając zapach pudru, mydła i małego dziecka, mówi cicho, wstydliwie, żeby nie usłyszała pielęgniarka: — No cicho, no cicho, no cicho... malutki, malutki...

Ach, zabrać go już stąd!... Ach, pojechać z nim do domu na Kruczą, do trzech pokojów w amfiladzie, które teraz będą zupełnie inaczej wyglądały...

Nagle przypomina sobie coś: — Janie, przyniosłeś mi tę popielatą suknię z plisowaną spódniczką? Granatowej przecież nie mogę włożyć, owinęłabym się w nią chyba dwa razy.

— Ach, zapomniałem! Trudno! Włożysz granatową! Czy to nie wszystko jedno?

W głosie Jana jest coś takiego, że Sabina odrywa się od Kazimierza i patrzy uważnie.

I w tej samej chwili czuje, że naprawdę jest wszystko jedno...

IDZIE, IDZIE, IDZIE PAN

Więc znowu ta sama suknia z popielatej „wełenki" z szelkami, z dwiema bluzkami na zmianę, i to

bez żadnego przerobienia, nic-nic... Taka sama jak przedtem, jak wtedy, kiedy o Kazimierzu nie było jeszcze mowy... Właściwie mowa była ciągle, tylko samego Kazimierza jeszcze nie było...

A teraz jest Kazimierz i leży w swoim za bogatym wózku, w wózku kupionym na raty, w wózku całym połyskującym od oficjalnej nowości. A poszarzała Sabina w swojej niemodnej sukni, jedynej, jaką ma, możliwej na ulicę „do figury", za ciężkiej na to pierwsze w życiu lato spędzone w mieście, ledwie-ledwie pcha przed sobą ten wózek.

Więc wlecze się Sabina, wciąż jeszcze osłabiona i rzewnie żałosna, szarawo blada i nic a nic nie opalona w starej swojej sukni, wprzężona w lśniący lakierami i nowością wózek, wlecze się ulicami zgrzanymi, rozprażonymi, zziajanymi od niedobrego miejskiego słońca, jak powietrzem oddycha nieruchomym upałem, rozpyloną kamienicą i chodnikiem... Z trudem przepycha swego Kazimierza pomiędzy rozkopaną jezdnią a kupą żółtego, wyrzuconego z jakiejś głębi piasku, pomiędzy górą smołowcowanej kostki a wałem z żelaznych rur... O Boże, czy miasto latem jest zawsze takie okrutne dla tych, co nie mogą wyjechać? Rozkopane, zawalone, okropne?...

Trudno. Kazimierz musi być na powietrzu. Ach, minąć cztery ulice, skręcić na prawo, potem placyk, jeszcze raz na prawo, potem wystający, wyszczerzony czerwoną cegłą w słońcu gmach, potem kawałeczek na lewo i już.

— Widzisz, synu, widzisz... Gdyby tu była łąka i trawa, i rzeka, jak tam u nas, tobym ci powiedziała, żebyś nie spał tak ciągle, żebyś otworzył oczy i patrzał, a tak tutaj, to nie warto... Śpij sobie!... Gdyby tu była tamta ścieżka nad rzeką, taka

akurat na szerokość tego wózka, w rzece płytka woda, ciepluteńka jak kąpiel, z drugiej strony płot i pod płotem powój pachnie gorzkimi migdałami, ale my byśmy się tam nie zatrzymali, bo komary. Dopiero na górze, pod topolami: tam, gdzie dawniej była huśtawka. O Boże, znowu coś nowego: zagrodzili chodnik, rozkopali, zakładają jakieś rury... Śpij, synu, śpij!...

Spocona, z za szybko bijącymi tętnami, z rękami lepiącymi się do rozgrzanego lakieru kierownicy, przepycha wózek po jakimś wąskim przejściu z desek i wcale nie wie, że przecież Kazimierz będzie sto razy wolał asfalt i rury niż trawę i ścieżkę, niż płyciutką wodę i gorzko-migdałowy zapach małych kwiatów powoju.

Placyk. Bezbarwny od słońca. Uwijają się po nim ohydne papierki, śmiecie gnane gorącym, suchym wiatrem. Samochód pędzi. Nie wiadomo, w którą skręci stronę... Siódme poty biją na Sabinę... Ach, jeszcze tylko na prawo i dwie ulice...

— Widzisz, synu, widzisz, gdyby tu były koniki, tobym ci powiedziała: otwórz oczy i patrz. Konik się pasie, zgina kolanko, żeby dostać do trawy. Ale tu jest tylko samochód...

Ach, Sabino, Sabino — uśmiecha się tamta z wysokości swego łóżka — jakaś ty dziwna, że tak wszystko sądzisz podług siebie! Przecież Kazimierz będzie sto razy wolał samochód, niż twego konika „ze zgiętym kolankiem"...

Na zlepionych od potu włosach słomkowy kapelusz czerwoną pręgą wpija się w czoło. Oczy już ledwie patrzą, nogi ledwie już odrywają od gorącego asfaltu przyrastające jakby podeszwy wykrzywionych, zakurzonych czarnych pantofli. Jeszcze dwie ulice, jeszcze jeden zakręt.

— Idzie... idzie, idzie dzidziuś! Za rok i ty tak będziesz szedł. Matka kupi ci piłkę zamiast tej wiecznej krowy z czerwonej gumy...

Ale jaki będzie ten dzidziuś — zamyśla się tamta Sabina. Czy granatowe niemowlęce oczy, mętne jak u szczeniaka, zdeklarują się w końcu na takie niebieskie jak u Jana? Czy będą tak samo uważnie patrzyły i czy ta uważność tak samo nie będzie miała nic znaczyć? I będą się nagle bez żadnego przejścia robiły roztargnione i czegoś wypatrujące? A może będą brunatne jak u Sabiny? Bo matka mówiła, że Sabina też miała takie granatowe... Ciekawe też, czy włosy nie pociemnieją... Trzeba by rumiankiem... I już Sabina czuje oporny ruch grzebienia w półdługich, spoconych włosach „dzidziusia", i już jej trochę żal tego śmiesznego pisklęcego puchu na flanelowym ciemieniu i tej frędzelki na maleńkim karku.

Jeszcze jedna ulica. O Boże, spraw, żeby już był zakręt!...

— Idzie, idzie, idzie uczeń! Widzisz synu?... Ma nowiuteńką czapkę, widocznie zdawał egzamin teraz w czerwcu. A ty co?... leżysz w wózku i nic nie rozumiesz, co, synu?... Za dziesięć lat będziesz i ty miał taką czapkę, a może do tego czasu zmienią umundurowanie?

Nie w tym rzecz... — Sabina w łóżku wzrusza ramionami. — Nie w tym rzecz, czy zmienią umundurowanie, czy nie zmienią. Rzecz w tym, że za dziesięć lat on będzie tylko tyle rozumiał, żeby anglasy wymieniać na album do marek, żeby kopać piłkę, wygładzać cynfolię z czekoladek, a ty w swojej wiecznej czarnej sukni, wiesz jakiej, będziesz się wlokła do dyrektora wybłagiwać zwolnienie od

wpisu i do wychowawcy wybłagiwać trójki i ciężej ci będzie iść niż teraz z wózkiem...

Słońce piecze. Jeszcze do rogu i na prawo, i już!

— Idzie, idzie, idzie harcerz! Ma sprawności wyszyte na rękawie. Kolorowy jest jak lala. A ty, synu, jakie będziesz miał sprawności?... Będziesz pływał, jeździł na rowerze, motocyklem?... Ty malutki, maluteńki, maluteńki!!!...

Ach, ach, ach... — Sabina na łóżku śmieje się jak w teatrze, właśnie tak: ach, ach, ach, choć bezgłośnie. Po prostu skręca się od śmiechu. Przecież wie, jak to jest z tymi sprawnościami. Na rower, na pływanie, na motocykl, na wszystko trzeba pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy... Jaki to on wróci rozgrymaszony, niechętny codziennie powszedniej matce, chociażby z tej cukierni, gdzie mu niedzielny ojciec da tyle ciastek, ile zechce... Ho, ho!... Syn też chce żyć, Sabino, i jeszcze jak!... A ty byś nie chciała?... Tylko że albo nie mogłaś, albo kiedy mogłaś, to przeszkadzały ci pokutujące w tobie matczyno-babcine gorzkie strachy, że co? że co wszyscy powiedzą?... No, już teraz o to przynajmniej możesz być spokojna, że nic nie powiedzą, Sabino, Sabino...

Zakręt. Już tylko kawałeczek w lewo.

— Idzie, idzie, idzie żołnierz! Ale ty nie będziesz żołnierzem. Ty nie będziesz zabijał ludzi nigdy, prawda, synu?

— A po cóżeś mu sprawiła papierowych żołnierzy i sama podklejałaś na tekturę, żeby sztywno stali?... i ten idiotyczny kask na głowę, i szablę, i armatkę do grochu, i obrzydliwą jakąś twierdzę malowaną w czerwone cegły?... Bo sam chciał, bo kładł się na podłogę i bił piętami, jak nie dałaś?... albo żeby okupić trochę spokoju?... Ano widzisz, to oni wszyscy tak, to ich wszystkich w tym się cho-

wa, a potem dziwić się, że zabijają?... Ach, nie myśleć o tym, nie myśleć!...

Ostatni zakręt. No, wszystko jednak ma swój koniec, nawet ta droga. (Ach, nie tylko ta droga ma swój koniec, nie tylko)...

Ostatni zakręt. Już zaraz, już!

— Idzie, idzie, idzie pan!... Młody. Wysoki. Obojętny. I ty będziesz takim panem, malutki synu.

„Pan" uderza obcością nie patrzących oczu. Niebieskich jak u Jana. Mija nie Sabinę, tylko jakąś matkę z dzieckiem. Sabiny nie ma. Dla oczu Kazimierza też Sabina nigdy nie będzie. Będzie matka.

Już...

Parkan. Drzewa. Furtka. Na rogu postój dorożek. Powiało nawozem, stajnią, jak na wsi. W wejścia budka z owocami. Powiało czarodziejstwem letnich jabłek, słodyczą gruszek. Sabina oddycha głęboko i resztkami sił pcha wózek do wiadomej ławki: zajęta! Ogląda się z rozpaczą. Ach, przecież jest jeszcze jedno miejsce!... Południe więdnie od upału i śpi nieruchome w niewielkim ogrodzie pełnym wózków i nianiek. Pachnie rozgrzaną ceratą podnieslonych od blasku budek. Pachnie heliotropem z pobliskiej grzędy obrzeżającej mały trawnik... Ach, powiało młodymi liśćmi topoli, szczęściem ziemi, lata, wypracowanym od miesięcy przez słońce, pocałunkami Jana... Przecież Sabina jeszcze jest młoda, przecież nic nie przepadło, wszystko jeszcze może być, no nie?

Ale co tu nawet myśleć o takich rzeczach: lato mija i nie wiadomo, co z nim zrobić. Sabina marzy o tym, żeby się po prostu wyspać. Płacz Kazimierza wypełnia parne noce. Jana nigdy nie ma w domu...

Oho, już pochrząkuje, już się rusza w wózku: dziś dziuś, uczeń, harcerz, żołnierz, pan... Już kręci małą głową o flanelowym ciemieniu, głową pachnącą mydłem i tamtym wypadłym z gniazda pisklęciem, dla którego łapało się senne, jakby chore muchy, tłukące się po szybie ganku... Mięciuteńki puch włosów kończy się nie wiadomo gdzie pod palcami, które nie wyczuwają, gdzie się zaczyna powietrze. Te włosy się wytrą — powiadają doświadczone usta — wyrosną inne, prawdziwe włosy. I znowu zaczyna się pod początku: — jakie inne? jasne? ciemne? takie jak u Jana?

Nie ma czasu, nie ma czasu, bo już otwierają się oczy i zaraz zamykają znowu, oślepione letnią pogodą, ale zaraz znowu się otwierają i znowu przymykają, mrużą, niechętne...

Krzywią się małe, niezadowolone usta, krzywią się coraz bardziej, zaraz się rozedrą, zaniosą od bezzębnego wrzasku... Ach, prędzej, prędzej sięgać pod materacyk wózka, wyciągnąć stamtąd flaszkę owiniętą w barchanową pieluszkę, żeby nie wystygła!...

No i nie wystygła. Więc jednak i Sabinie przydało się na coś lato: — nie wystygła! A w zimie bez termosu ani rusz...

TA WIECZNA CZARNA

Czy można w jednej i tej samej wiecznej czarnej sukni odrobić tyle życia?

Młody subiekt z twarzą murzyńsko-żydowską roztacza na ladzie przed zmartwioną Sabiną różne tanie „wełenki". Stary, mądry Żyd z siwą brodą i zaczerwienionymi oczami wyszukuje coś na półce i odsuwa go: — Ja tu mam właśnie coś, jak dla

pani. Ja, jak tylko spojrzę na gościa, to wiem... Przedwojenny materiał. Coś dobrego — cmoka — będzie pani nosiła dziesięć lat.

Skąd on wie, że Sabina ma nosić jedną suknię przez dziesięć lat? Czy Sabina już na to wygląda?

Widocznie wygląda...

Przypatrz się sama sobie, Sabino, i to nie późniejszymi oczami tej ze wzniosłych wyżyn swego ostatniego łóżka, tylko ówczesnymi twymi oczami, tak jak zobaczyłaś sama siebie wtedy, idąc przez most w wietrzny dzień, zasypujący oczy kurzem i piaskiem, cisnący suknię do ud z jednej strony, wydymający ją z drugiej — i tę twoją nieszczęsną „kloszową" z przedwojennego materiału... Żyd miał rację, rzeczywiście było „coś dobrego", mocne jak skóra i za nic nie mogło się podrzeć, a gdyby się podarło, to przecież nie miałaś na nowe ani pieniędzy, ani nastroju... Żeby jakoś wyglądać, trzeba przecież jakoś się czuć, a ty jak się czułaś, wdzięczna Sabino z „brunatnymi" oczami, w które nikt nie patrzał, a w które brałaś jak w soczewkę wszystkie obmierzłe troski całego świata, żeby usprawiedliwić w nich swoje własne?... Wszystkie nie zapłacone komorne, zaległe raty, powiększone gruczoły, trzydzieści siedem i trzy pod pachą i trzydzieści siedem i pięć w małej pachwinie wiecznie przeziębiającego się dziecka, wszystkich stale nieobecnych Janów, wiecznie tkwiących na tajemniczych a nieuchwytnych „konferencjach" — i ani jednego człowieka na świecie, którego by można być pewnym, że się nie zmienił od wczoraj albo że się nie zmieni od jutra...

Więc jakże to było?... Spojrzałaś strapionymi swymi oczami na końce czarnych bucików wyzierających spod przydługiego na ówczesną modę brzegu

obszytej „szczotką" wiecznej czarnej — końce sfalowane cokolwiek i zagięte, ze złożem kurzu w załomach. I od tych końców aż po czubek zeszłorocznego filcowego kapelusza z obmokłym piórkiem, zrekonstruowałaś sobie nagle siebie całą nie w żadnym lustrze wystawy, tylko we własnych oczach odwykłych szczęścia, a zwyczajnych troski. Więc zobaczyłaś siebie samą i wszystko stało ci się jasne jak w objawieniu, że jeszcze trochę tych rozważań nad tym, jak to właściwie jest z tym Janem, i tych niby to opowiadań sobie samej, jak to było od początku, tych dociekań, jaki właściwie jest Jan (który sam nie wie, jaki jest), i tych nocnych rekonstruowań rzeczy, które poranek znów rozdziera w szmaty, i tych wiecznych „ostatecznych", „zasadniczych" rozmów, które zaciemniają firanką łez, zamiast wyjaśnić to, co dla wszystkich i tak jest jasne... jeszcze tylko trochę tego wszystkiego, a z Sabiny zostanie tylko marny szczątek... Jeszcze tylko trochę tego wszystkiego, a z Sabiny nie zostanie już nic...

Tak to żobaczyłaś. I resztkami sił postanowiłaś się zmienić. Zaraz od dzisiaj. Na moście. W tej wiecznej czarnej sukni. Gdybyś choć raz miała pieniądze na nową, żeby jakoś zmienić tę skórę. Ale nie miałaś... I w tej samej „wiecznej czarnej", nawet nie wypranej w „panamie", ani nie wyczyszczonej esencją, co podobno odbiera ponury połysk najbardziej „wysiedzianym", jak mówiła ciotka Bronisława. Po prostu zaśmiałaś się w pracowni Tomasza swoim dawnym śmiechem, przywróconym nagle do życia, i zaczęłaś być dawną Sabiną, a nie marnym szczątkiem Sabiny. Ale Tomasz się nie śmiał. — Jakież musi być życie, które nawet takiemu stworzeniu odejmuje wszystką radość — powiedział poważnie i w oczach Tomasza zobaczyłaś siebie samą

znowu jak wtedy na moście we własnych, ale już inną niż na moście.

Pracownia była zakurzona, zawalona rulonami kartonów, mury miała grube jak średniowieczny klasztor czy kościół. Twój śmiech zadźwięczał, jakby ktoś przebiegł przez kościół w sandałach po ruszających się kamiennych dallach. I jak w kościele klęczał wielki, ciężki Tomasz o szlachetnym profilu. Przed tobą klęczał, Sabino, jeszcze źle ubrana, zgryzlona, nie dopieszczona i powojennie chuda — a już gotowa do nowego szczęścia. Klęczał i całował brzeg odwiecznej czarnej, zupełnie jak w kiepskiej powieści — i do tego jeszcze obszyty ową wstydliwą szczotką...

A co, Sabino, śmiejesz się teraz i płaczesz nad tamtą czarną suknią?... — Probierzem siły uczucia jest to, czy się człowiek nie obawia śmieszności — powiedział znowu Tomasz i miał rację. Chciał, żebyś mu ponazywała jego cudaczne, nie nazwane obrazy, genialne i śmieszne. Szukał długo po kątach, a rulony bristolu zwijały mu się w rękach, jak żywe węże. Przybił jeden obraz do stalug, przedtem długo szukał pluskiewek. Powiedziałaś, że to „kontemplacja", ten ptasi potworeczek w białej krezie, spoglądający błogim spokojem błękitu zaczerwienionego jedynego oka — hypnotycznie, nieruchomo i gangesowato. Przyglądałaś mu się długo, bo był ponad wszelkie słowa dziwny. Zabawne, drobne szybki górnego okna pracowni tymczasem zniebieściały, a potem zrobiły się granatowe od wieczoru...

Czarna suknia przestała być ważna. Gdzieś się rozpłynęła niedługo potem — niedługo po „tym". Co się z nią właściwie stało? Czy nie przeistoczyła się po długim życiu w kurtkę Kazimierza do ślizgawki? Przecież mocna była jak skóra...

Mniejsza o nią! Ale czy może człowiek tyle życia przewalić w jednej czarnej sukni?

Może!

CZWARTEK

W pokoju chorej cicho, mrocznawo. Lampka się pali tylko na stoliku przy łóżku.

Bezsilna, wydelikacona ręka słabo, nierówno pobrzękuje łyżeczką o syfon.

W jadalnym jasno, gwarno. Podniecone szepty, chichoty. Nic nie słyszą tego dzwonienia. A Sabina słyszy wszystko, wszyściusieńko. (O Boże, jak to można tak wiecznie zapominać o tym dzwonku... Kupią go akurat na...).

Łyżeczka mocniej uderza o syfon — niecierpliwie. Gwar milknie. W nasłuchującą ciszę wpada głos chorej: — Halinko, pokaż się, jak wyglądasz...

Za drzwiami półotwartymi do światła, do zaaferowanych gadań, do ważności, do śmiechów, do biegań tu i tam — zaszurało jeszcze mocniej, jeszcze śpieszniej, aż z gorliwych szeptań wypadła jakby wstydliwa odpowiedź: — Zaraz, ciociu, za chwileczkę!

Słychać, jak Marysia leci do kuchni po karbówki. Swąd spalonego papieru przypływa powolną smugą od przedpokoju. Krzyczą ze wszystkich stron:

— Uważaj, bo spalisz, dym idzie!

— Ładnie byś wyglądała!

Jakżeby w tym wszystkim mieli słyszeć dzwonienie o syfon? Trudno! Trzeba czekać. A Sabina już umie czekać. Cierpliwa, układa się w wypróbowanej pozie na wznak. Palce splecione. Oczy pod zawartymi powiekami, patrzące w głąb, zanim Halinka skończy się ubierać, Sabina przemyśli sobie tę beżową suknię.

...Właściwie weszła do sklepu z zamiarem kupienia czegoś granatowego w białe grochy czy w paski, na zwyczajną letnią suknię. Miało być niedrogie. Fular czy coś takiego. I jak to ją nagle podkusiła ta krepdeszynowa, różowawozłotawa połyskliwość na ladzie... i stąd powstała ta beżowa suknia!

A teraz, jak tylko Sabina sobie o niej pomyśli, to zaraz jakby ją otoczył tłum wesołych ludzi, jakby ją otoczyła prosta jakaś, dobroduszna, radosna odświętność w sali „Pod Białym Orłem", z jedliną i bibułkowymi wstążkami na ścianach, poruszanymi przeciągiem, bo właśnie Michał, jak to Michał, znowu kazał otworzyć okna na czarność wiosennej nocy, pachnącej lasem znad tartaku Szulca... — Panie Michale — woła dyrektorowa — panie Michale, czy pan chce, żeby nam głowy powykręcało? — ale się śmieje, bo lubi Michała. (A któż by go nie lubił). — Gdzie mój lis — ogląda się aptekarzowa — dajcie mi mojego lisa! — Muzyka gra... ale dlaczego to nie straż ogniowa, jak zwykle, tylko Żydzi? — Bo straż ma ćwiczenia, nie wie pani? A to orkiestra Czarnawody, nasza sławna orkiestra... — Tego, co ma u mnie córeczkę w klasie? — Nie, to brata, rzeźnika...

Michał idzie przez salę po swojemu, jak przez pole czy miedzę, czy las — aż miło patrzeć na niego... — Żydzi rżną jak sto diabłów, pani Sabino! — Nie, nie — Sabina broni się ze śmiechem — ja już nie tańczyłam chyba z piętnaście lat! — To nic, to nic — wszystko tonie w gwarze, w zabawie; gorąco, ścisk...

W jadalnym pokoju krzyki, śmiechy. Ręka chorej znowu wysuwa się spod kołdry, po omacku szuka łyżeczki, cierpliwie podzwania w syfon. Nie słyszą. Jakżeby mieli słyszeć? Klucz zazgrzytał właśnie

w zatrzasku drzwi wejściowych. Karol długo kaszle, rozbierając się w przedpokoju. Opadają go z gadaniami, z pytaniami. Ale on nie pasuje do całego tego rwetesu. Przemyka się swoją przygarbioną, zacierającą ręce i jakby zziębniętą osobą, zatyka nią jak wiekiem smugę światła i gwaru w drzwiach. Patrzy przez chwilę w mroczną głąb pokoju chorej, jakby z białego dnia wszedł do piwnicy. I swoim zwyczajem staje pod piecem. Zaczyna wstydliwie, jakby się usprawiedliwiał: — W głowach im się poprzewracało z tym balem!...

Ale Sabina, że nie, że nic nie szkodzi. Halinka musi przecież choć raz potańczyć tej zimy! Sabina owszem, bardzo się cieszy, że jej suknia jeszcze na coś się przyda. Czy Karol tego nie rozumie?

Wychodziło na to, że nie rozumie. Rozumie natomiast, że brzęczenia łyżeczki o syfon wcale nie słychać w jadalnym, że trzeba iść po Halinkę, żeby się wreszcie ciotce pokazała...

O Boże! Cóż to się dzieje za tymi jasnymi, gwarnymi drzwiami, że kto tam wejdzie, to przepada? Karol, zdawałoby się, najmniej do tego gwaru pasuje, a jak poszedł po Halinkę, to i on ugrzązł i nie ma ani jego, ani Halinki... Teraz znowu dzwonek w przedpokoju, trzasnęły drzwi wejściowe, wtargnęły nowe, młode głosy, potupywania, smuga wesołego mrozu, okrzyki, gadania, śmiechy...

A niech sobie robią, co chcą! Sabina już nie zabrzęczy łyżeczką. Odejdzie daleko, głęboko. Przecież ma dokąd odejść?

...Ogromna sala koncertowa milczy jeszcze, jakby miała jedno wspólne serce przycichłe, rozdarte od za wielkiej słodyczy. Milczy, choć młody Imre Ungar niedołężnie podnosi się już sponad klawiatury, nad którą stoją jeszcze, jak niewidzialne a rozwibrowane

spiże, akordy zbudowane cudem jego niewidomych rąk. I dopiero, kiedy gorliwie podprowadzony na przód sceny, zaczyna nieporadnie się kłaniać ze swoim oszołomionym, niepewnym uśmiechem — cały w światłach i cały w ciemności—sala matową głuchotą oklasków przydusza jak dłonią te rozdźwięczone jeszcze słupy grającego, śpiewającego powietrza...

I jak każdy z osobna, i jak wszyscy razem Sabina powraca z tamtej rozkoszy do siebie samej w krepdeszynowej beżowej sukni, do swoich własnych, nieprzytomnie rozklaskanych rąk. Słyszy własny głos, krzyczący w dojmującej tęsknocie ciała za tamtą muzyką, za Michałem, za Michałem, za Michałem... Słyszy, jak ten głos przez nikogo niesłyszany wpada w głuche dudnienie oklasków jak w studnię. Właśnie tak jak teraz wpada w tamten gwarny pokój i nikt go nie słyszy, a ona, Sabina, słyszy wszystko i wszystkich, co gadają i co robią...

Helena mówi wreszcie niepewnie: — No, idź teraz, pokaż się cioci!

Marysia podchwytuje z piskiem: — Pokaż się cioci, pokaż się cioci!

I pchnięte na oścież drzwi buchają światłem, przedsmakiem zabawy, jakby jasnym oparem. Ale tylko na jedno mgnienie oka i zaraz ściemniają się, bo cały orszak sunie ze wzruszoną Stasią, z rozczerwienionymi „kolegami", ze zmieszanym Karolem, z niepewną sytuacji Heleną... sunie za Halinką, za tą ozdobną, za strojno połyskującą, za zondulowaną, za zmieszaną, za przepraszającą nieledwie, że cóż ona temu jest winna, cóż może na to poradzić, że tak ślicznie wygląda w tej przerobionej, ciocinej sukni!...

— Czy można zaświecić? Bo tak to nic nie widać...

I w świetle górnej żarówki mała lampka przy łóżku tonie jak świeczka, a od poduszki oczy patrzą, patrzą, jakby piły... Wszystkim robi się nieswojo. Nawet czerwone młodością gęby kolegów nieruchomieją we drzwiach. Karol zaciera ręce i po swojemu wciąga powietrze. Helena kręci się niespokojnie. Na miły Bóg, jak długo ma trwać ta cisza?

— Ślicznie wyglądasz... bardzo się cieszę... baw się dobrze, kochanie!

Nareszcie! Wszyscy z ulgą rzucają się do palt. Teraz przedpokój aż pęka od gwarnego wybierania się, od szukania botów, czapek, aż wszystko wywala się na schody: gadania, dowcipy, kawały, śmiechy. I w całym tym zgiełku, jak w kuligowym orszaku, odpływa w dół po schodach ostatnia piękna krepdeszynowa suknia Sabiny.

W ściszonym, opustoszałym jadalnym pokoju Karol życzy sobie nareszcie spokojnie po ludzku wypić herbatę. Podniecona, rozgadana Marysia ma się natychmiast uspokoić i od razu, nieodwołalnie iść spać.

Z zaaferowaną miną wchodzi Helena.

— Sabino, kochanie, czy nie potrzebujesz czego?

— Owszem, chciałabym... może byś mogła zrobić mi zastrzyk? Wiesz, tamten...

Helena milczy. Zabiera się do wygotowania igły. Obie czują, że będzie niedobra noc...

WYCINANKI

Czy ta Helena nigdy nie przestanie szeptać w przedpokoju z doktorem Rozencwajgiem? Oczywiście czynią to dla dobra „chorej", ale właśnie ze względu na chorą mogliby już skończyć... Sabino,

Sabino, odkądże zrobiłaś się taka sarkastyczna? I dlaczego nie możesz znieść, żeby tak szeptano o tobie? Przecież, zdawałoby się, że już nic nowego nie wyszepczą... więc właściwie o co ci chodzi?

Skończyli. Za doktorem Rozencwajgiem zatrzasnęły się wejściowe drzwi. Helena powraca bez pośpiechu. Całe napięcie wspartej na łokciu Sabiny od razu opada. Ach, o nic nie pytać, nic o tej nocy nie mówić!... odpocząć trochę i skończyć z sukniami...

— Poczciwy ten Rozencwajg, że przyszedł tak rano. Inny by nie przyszedł, co?

— Aha — odwrócona plecami Helena sprząta najuważniej na świecie. Przestawia coś na stoliku, bez miary już zarośniętym napływającymi zewsząd gratami. Jest tym całkowicie pochłonięta: skądże się, na miłość boską, tyle tego nabrało. Czy każdy, cokolwiek przyniesie, to już musi pozostawić? Ten spodek widzę już trzeci dzień...

W jadalnym Stasia nakrywa stół do śniadania. Nie do uwierzenia, że to tak jeszcze wcześnie, a tyle się już zdążyło: i nie spać, i ten atak, i zastrzyk, i Rozencwajg... A Marysia dopiero wstaje i słychać, jak robi Halince awanturę przy myciu. Na Helenę już czas do biura, a ona sobie najspokojniej sprząta... kiedyż wreszcie uspokoi się tu o tyle, żeby można było zabrać się do sukien... przecież na dziś postanowione było przemyśleć do końca...

— Helenko, nie idziesz do biura? (miało być obojętnym głosem, a wyszło takim marnym i słabym, aż się Sabina sama dziwi.) Czy dlatego, że nie dałam ci spać w nocy?

Helena nie od razu odpowiada:

— Nie, kochanie. Szymański wrócił z urlopu, to teraz mogę brać robotę do domu przynajmniej do wtorku...

— Aha... — bezgranicznie znużona Sabina z tego wsparcia na łokciu powraca policzkiem do jaśka, jakby wracała do domu z podróży...

— Może zaśniesz teraz?

— Eeee, chyba nie... a co Marysia robi?

W jadalnym dyplomatyczne szepty: szelest opornego, giętkiego papieru. Zaraz: kto to i kiedy tak szeleścił papierem? Tomasz? Tomasz? W pracowni? Jak to mu się te rury bristolu zwijały w rękach, jak żywe węże, kiedy chciał pokazać swoje szkice, te swoje potwory...

To Marysia tak szeleści. Czy może powycinać przy Sabinie te swoje lalki, co dostała wczoraj? Helena położyłaby się trochę na kanapie w jadalnym...

I już się mały grubas niezgrabnie skrada na palcach, jak przystało „w pokoju chorej", już się gramoli na krzesło przy łóżku, rozkłada z całym aparatem, z rulonami papieru, z nożyczkami, ze swoją wieczną „gumą arabicą"... widocznie Helena bardzo już chce się przespać, kiedy wszystko to tak zorganizowała. A jednak proponuje jeszcze: — może byś się przespała, Sabino? Może ci przeszkadza?

Czy przeszkadza? Naturalnie, że strasznie przeszkadza. Przecież Sabina chce spokojnie przemyśleć swoje suknie...

— Nie, nie, ja wcale nie chcę spać, niech sobie Marysia siedzi tu przy mnie, dopóki nie przyjdzie panna Zofia...

Panna Zofia nie przyjdzie. Czy Sabina zapomniała, że panna Zofia ma być dziś przy tej chorej z Chmielnej?

Nie, nie zapomniała. Ale zdawało się jej, że to dopiero w przyszłym tygodniu. Ach, więc to tak... no to już suknie przepadły, bo Marysia będzie tu siedziała bez końca...

I w zupełnym zniechęceniu Sabina przymyka oczy. Słyszy, jak Helena kręci się po jadalnym, jak skrzypi pod nią kanapa, aha, więc się już położyła? Ciekawe, czy nie zapomniała wziąć sobie z przedpokoju starego palta o wyłażącej wacie, służącego zazwyczaj do okrycia tym zmęczonym, „kładącym się trochę na kanapie." Ileż to razy ona, Sabina, też tak się kładła... i leżeć na kanapie pod starym paltem, jak zwyczajny zmęczony człowiek, wydaje się nagle Sabinie takim szczęściem, takim szczęściem, że...

— Przecież na łóżku o wiele mi wygodniej — dobrze jest tak sobie ironicznie powiedzieć, a swoją drogą jaka ta Helena musi być strasznie zmęczona, jakie dziś miała wyraźnie zaczerwienione oczy! Nic dziwnego, taka noc... Wdzięczność zalewa serce, a jednocześnie dobrą myśl już pogania druga gorzka, że przecież siostra wyśpi się potem, po „tym", a ona, Sabina, nie wiadomo nawet, czy zdąży wszystko przemyśleć do końca, czy zdąży... A może by spróbować? Zaraz, jakaż to była ostatnia? Beżowa, krepdeszynowa? A co po niej? Ach nie, wszystko na nic! Marysia gada grubym swoim głosem, Marysia przeszkadza...

— Ciociu, ciociu, ciocia widzi, jaka ta lalka jest goła? A teraz wkładam jej beret, spódniczkę plisowaną, o, bluzka marynarska, teczka do ręki, o, wszystko, wszystko, o, i jest uczennica, widzi ciocia?

— Widzę.

— A teraz będzie chłopka. Chusteczka na głowę, o, fartuszek, sierp, i już jest. Widzi ciocia?

— Widzę.

— A teraz sportowe ubranie. Rakieta. A teraz ślubna. Welon. Czy ciocia widziała, żeby kto tak się zmieniał?

— Nie, nie widziałam. A może i widziałam... — i już coś się Sabinie majaczy, coś jakby wstaje, podnosi się z głębi, rośnie jak we śnie, ach, już wypełnia cały pokój, już...

— A gdzie ciocia widziała?

Sabina nie odpowiada. Marysia mozoli się z pasiatym trykotem, z czepkiem kąpielowym, z całym plażowym, morskim przyborem, zarzuconym w fałdach ciocinej czerwonej satynowej kołdry...

Leniwie sunie w milczącym mieszkaniu przedpołudniowy, pusty czas. Jest zawsze ten sam i nic mu do tego, co jest za oślepionymi przeciwległym murem oknami: listopad czy marzec? czy jeszcze co innego? W jadalnym na kanapie pochrapuje pod starym paltem Helena, zmęczona złą nocą przy „chorej", Stasia sieka coś w kuchni. Przynieśli węgiel, z gruchotem zwalili do paki. Ktoś coś mówił o jakichś trzech złotych pięćdziesiąt, o kluczu od góry. Ktoś zadzwonił od frontu, spytał, czy tu mieszka Leśniewski. — Tu nie mieszka żaden Leśniewski — odpowiedziała Stasia obrażonym głosem. — Leśniewski, Leśniewski — pośpiewuje Marysia, wycinając swoje lalki. — A dlaczego Leśniewski — pyta nagle i nikt jej nie odpowiada. Leniwie szedł nieporadny, domowy czas. Na podwórzu kataryniarz zagrał nagle bardzo głośno i bardzo wesoło, i zaraz urwał, bo stróż go przepędził. Potem wołał handełes i taki, co wymienia fajans na gałgany. Marysia zasypała całą kołdrę papierowymi lalkami, cielisty golas po którymś tam raz stawał się innym, a Sabina leży nieruchoma z zamkniętymi oczami, wpatrzona w tę swoją głąb: bo co się to tam nie porobiło, nie nakotłowało, nie naplątało... cały porządek pękł, cała kolejność, cały ład: — suknie jakby się pourywały z uwięzi, rozpętały, wszystkie na raz, wszystkie na raz... a w każdej inna Sabina, a w każdej ta sama Sabina... i wpatrzona w te wszystkie Sabiny na raz, nieruchoma Sabina na łóżku czyż może zwracać uwagę na Marysię, co aż przestała wycinać i niespokojnie przygląda się ciotce, z cielistym naguskiem w jednej ręce, a z łowickim pasiakiem w drugiej...

Gdzieś w dole aż się roi od Sabin różnymi drogami chodzących w różnych sukniach: ta w popielatym kostiumie z fiołkami wygląda, jakby zdobywała świat, a ta w wiecznej czarnej wlecze się przez most jak stara i nikt na nią nie patrzy... ta trzydziestoletnia uważa, że jest za stara na jasną suknię z krótkimi rękawami, a ta czterdziestopięcioletnia w beżowej sukni, rozbawiona, sądzi, że nic dla niej nie jest za młode... ta w plisowanej spódniczce, w starej bluzce w paski jest domowa i stroskana „przy mężu" i zastrachana o spóźniony obiad pomaga Polci lepić pierożki, żeby było prędzej, a ta w brązowej przychodzi z pracy i woła o obiad jak mężczyzna... Sabina w gumowym płaszczu, z rękami w kieszeniach i w berecie idzie z pochodem, młoda i silna, i śpiewa rewolucyjną pieśń, i czuje się jak sam rytm zbiorowości, a oto odstała trochę od innych, przygarbiła się i minął ją kolorowy ludzki wąż, a ona została gdzieś na końcu jak starsza pani w staroświeckiej mantyli... I tak było zawsze: włożyła nową suknię i ktoś powiedział: Pani to jak panienka... — i Sabina była młoda. — Pani już w latach — usłyszała kiedyś o sobie i była stara. Przypięła pomarańczowy kwiat do nowego palta i świat się zmienił, położył się do jej stóp jak łąka. A kiedy szła w tym starym, było jej, jakby zabrakło dla niej miejsca na tym samym świecie... Więc jakżeż to właściwie było z tą magią sukien?

Rozmaicie było! Cała rzecz w tym, że rozmaicie

było: i tak, i owak, i jeszcze inaczej... Sabina leży, jakby przyczajona ze spuszczonymi powiekami: to nic, że Marysia otworzyła usta i wpatruje się w nią, zapomniawszy o lalkach. Drugim razem może się już nie zdarzyć taka sposobność, żeby tak dobrze można było obejrzeć z góry te wszystkie Sabiny, jak w tych różnych sukniach chodzą różnymi drogami, młode i stare, wesołe i smutne, chodzą po świecie i poza światem, górą i doliną... spotykają różnych ludzi, których droga prowadzi kawałek w tę samą stronę, idą razem i martwią się, kiedy tamci skręcają. A kiedy by mogły iść razem, to same właśnie skręcają w bok, bo co? Bo co by na to powiedziano? Bo im brak odwagi? Czy czego to znowu im brak?

Ale kiedy się tak już leży, to o jedno można być spokojną, że już nikt nic nie powie. I w tej gorzkiej pociesze jak w morzu toną wszystkie tamte niemiane rzeczy... No, dobrze! Jest jeszcze inna pociecha: patrzeć z góry na tamte wszystkie Sabiny i widzieć, nie otwierając zmęczonych oczu, jak wszystkie Sabiny ze wszystkich dróg zlewają się w jedną, schodzącą po czerwonym chodniku z drugiego piętra doktora Rozencwajga, w granatowej sukni z metalowymi guzikami, z białym kołnierzykiem, ze skórzanym paskiem...

To nic, że Marysia, nie spuszczając z ciotki oka, cicho zsuwa się z krzesełka i tyłem cofając się do drzwi, idzie po matkę do jadalnego. Granatowej sukni z metalowymi guzikami warto się przyjrzeć, a przez zawarte powieki i drzwi żółtej jesionowej szafy, tej samej, na której znaczyło się linijką i ołówkiem wzrost małej Sabiny, nie większy od wzrostu psa Szarbona, kiedy służył — można ją obejrzeć lepiej, tę granatową, niż trzymając ją w rękach,

niż na sobie w lustrze! — Więc — spódnica gładka, kontrafałdy, kołnierzyk, mankiety...

— Sabino, kochanie, o co ty płaczesz — zbudzona przez przerażoną Marysię Helena nachyla się nad siostrą — daję ci słowo honoru, że Rozencwajg nic takiego nie znalazł...

Sabina otwiera oczy. Jakże mogła przedtem nie czuć, że są mokre od łez?

— Ja nie o to — tłumaczy się zmieszana — ja nie o to... tylko, że... po prostu myślałam o tej ostatniej mojej sukni... o tej granatowej, wiesz?

Część druga

PO MIESZKANIACH

TO NAJDAWNIEJSZE

Z tym Sabina ma kłopot. Bo jak tylko jej się zdaje, że już ustaliła to najwcześniejsze, gdzie było i jak, to zaraz z samej głębi podnosi się jakieś inne jeszcze wcześniejsze od tamtego najwcześniejszego. Na przykład ta ławka na zboczu w samym końcu ogrodu. I że wszyscy grali w krokieta, a ona, Sabina, mazała się i płakała, że matka też poszła grać w krokieta razem z wszystkimi — widocznie matka była jeszcze młoda — ale czyż matki też mogą być młode?... (Kazimierz zawsze uważał Sabinę za starą). Matka o ileż młodszą musiała być wtedy od dzisiejszej Sabiny na łóżku!...

Więc matka grała w krokieta, a Sabina popłakiwała, choć to było tuż obok i Sabinie wystarczyłoby nieledwie ręką sięgnąć, żeby dotknąć matki. Ale przecież matka nie powinna grać w krokieta, tylko siedzieć z nią, z rozmazaną Sabiną na kolanach... Gdyby Sabina siedziała tak wiecznie ze swoim Kazimierzem na kolanach, to czyby on nie grał teraz w swojej bursie co sobotę w tenisa, kiedy ona tak tu leży w tym pokoju... Ach, właśnie, że grałby, grałby sto razy więcej, jeśli to możliwe... uśmiecha się Sabina dobrotliwie, jak zwykle, kiedy przemyśla swoje dzieciństwo. I ani jej się teraz śni zajmować Kazimierzem, bo z najgłębszej głębi podnosi się w niej coś, co jest jeszcze wcześniejsze od tamtej sprawy — coś kolorowego, ślicznego, pachnącego

latem... Oto Sabina, mała jak mysz, chodzi jak po labiryncie po wąziuteńkich ścieżkach wśród kwietnika przed domem i jest cudownie, że to niby tak zabłądziła, jest trochę strasznie, choć wiadomo, że za kolorową ścianą kwiatów stoi niańka w ciemnoróżowym, wciętym w pasie kaftaniku i koralach, że za zieloną ścianą krzewów jest ganek z płynącymi z żółtych desek kroplami żywicy...

Nie, ten zapach floksów to jeszcze nie jest najdawniejsze wspomnienie. Jeszcze dawniej był inny zapach, po prostu zapach farby olejnej, czy świeżego wapna, czy farby i wapna razem... To były chyba jakieś pokoje świeżo odnowione i wszyscy oglądali te pokoje i mówili, że było nadzwyczajnie, a potem poszli na obiad i zostawili drzwi na pół przymknięte, i Sabina mogła iść razem z wszystkimi na obiad, ale wolała niby to nie móc otworzyć drzwi, i popłakiwać, i być opuszczoną i nieszczęśliwą, aż dopóki ktoś nie przyszedł po nią i nie zaprowadził jej za rękę do jadalnego pokoju — a wtedy od razu zrobiła się szczęśliwa... Tak, to chyba już jest najdawniejsze wspomnienie — ten zapach farby i wapna, potem floksów, żywicy, suszących się w ganku ziół, wnętrza kredensu...

Ach i jeszcze różowych kwiatów oleandra i szuflady w toalecie ciotki Teresy z rozsypanym pudrem i jedną czekoladką przylepioną do dna bombonierki, i błyszczących szczypczyków — marzenia całego dzieciństwa Sabiny...

W piekarni, w ludzkiej kuchni pachniało inaczej, na inny sposób cudownie: — chlebowo, ciepło, tajemniczo. Stara Maryna, dobra i dziwna, z brodawką na powiece, dawała potrzymać kurczątko z puchowego garnka na piecu, dawała zanurzyć małą rękę pod płachtę, w przetak pełen żółtych, gaworzących

przed zaśnięciem kaczątek, a pies tamtych czasów, czarny wyżeł Szarbon wiecznie leżał przy drzwiach w jadalnym pokoju na dywaniku z brudnych, kolorowych języków w kształcie ósemek obdzierganych włóczką innej barwy. I pod każdym takim językiem siedziała jedna pchła albo parę pcheł i te pchły były złe, bo gryzły Szarbona, ale żal było je zabijać i nie wiadomo było, co zrobić...

— Chodź tu, Szarbon — zagadywał do psa stryj Konstanty stojąc pod piecem i wszyscy słuchali z aprobatą, i wiadomo było, że psisko wstanie ze swego zapchlonego dywanika i podejdzie mizdrząc się do stryja, wyciągnie naprzód spłaszczony w nagłym wydłużeniu łeb, podkurczy dziwacznie ząbkowane od spodu wargi, odsłaniając w głupim psim uśmiechu żółte, stare już kły.

— Będzie pies wystawiał bekasy?... Będzie...

„Bekas" objawił się dopiero znacznie później — ach, kiedyż to było? Chyba już na pensji? Objawił się, utwierdzony na drewnianej podstawce, z melancholijnie opuszczonym nosem... Aha, to już było wtedy, kiedy stryjenka przyjechała do Warszawy i powiedziała, że Szarbon nie żyje...

Od tej chwili zapada się to szczęśliwe omglenie dzieciństwa... Czyż doprawdy chorej Sabinie na łóżku trzeba było dopiero tego, żeby sobie przypomniała, jak jest naprawdę?... Żeby po tysiączny czy milionowy raz, w tej śmierci Szarbona przed czterdziestu czy iluś tam laty, jak w każdym mijanym pogrzebie, w grozie własnej, a nie cudzej śmierci uzyskała pewność, że śmierć w ogóle istnieje i że ona, Sabina, też umrze?... I to tym razem już naprawdę... i to tym razem już niedługo?...

Ale Sabina jest mądra, Sabina umie trzymać się w karbach. Wysiłkiem, o jakim nie wiedziała daw-

niej, że jest możliwy, odrywa się od „tego", łapiąc się obu rękami krawędzi przelatującej myśli czy wspomnienia: — kto tak kiedyś opowiadał, czy też gdzie tak kiedyś czytała? — o jakiejś wróżce, która wpatrując się w szklaną kulę, widziała w niej przeszłość. — No to ja się wpatrzę w syfon... — zbielałymi ustami żartuje z siebie Sabina, jakby wróciła z daleka i zabierała się do codziennej roboty — chyba to nic nie szkodzi, że syfon jest niebieski...

Nie szkodziło — bo tamte spłoszone, rozproszone rzeczywistością strzępy jak zrzedłe obłoki czy rymy znowu zaczęły się zbiegać, ożywiać, barwić, barwić na różowo jak kwiat babcinych oleandrów w cebrach, ale już teraz przeniesionych gdzie indziej, do domu w małym mieście, do domu nad rzeką, wynajętego od panny Malwiny, która mieszka po drugiej stronie w swoich dwóch pokojach i nie chce nawet słyszeć o żadnym remoncie jak się należy... Po rzece wieczorami pływa się łódką i śpiewa się „oczi czornyja, oczi strasznyja", a Sabinie ojciec pływać „bajdakiem" nie daje, nie daje, a Helenie wszystko wolno, że starsza?

Przez kancelarię wuja, przez salon z dwoma garniturami, z albumami, z fikusami pędzi Sabina pełna niewypłakanych, gorących łez — przez sionkę, przez garderobę po krzywych, spróchniałych schodach od werandy, których Malwina nie chce naprawić, pędzi pod opadające, zakurzone kaskady ligustru, pomiędzy dzikie, cierpkie, zapuszczone zielska tam, gdzie nikt nie chodzi, wśród spróchniałych słupów podpierających werandę na zboczu od strony rzeki — pędzi odszukać swego Bębna... Bęben, to jeszcze dziwniejsze imię, niż Szarbon, ale wtedy wydawało się, jak wszystkie imiona dzieciństwa, nie tylko naturalne, ale w ogóle jedyne możliwe. Od-

szukać Bębna i w jego kudłach, jeszcze więcej zapchlonych niż u Szarbona — pewnie dlatego, że dłuższe — w czułości bez granic odnaleźć pewność, że jak Sabina będzie większą, to też popłynie łódką, będzie śpiewać „oczi czornyja, oczi strasznyja", będzie noc, światła na wodzie i jeszcze coś niepojętego, co przeczuwa, a o czym teraz nie umie jeszcze myśleć.

Z gorącego lizania różowym językiem, z niewypowiedzianej miłości żółtych psich oczu spływa niezawodna pociecha, przeszyta znowu jak klingą noża ostrym błyskiem żałości, że oto ciotka Teresa nie wpuszcza go do pokoju, bo mówi, że brudny, że roznosi pchły, a jak był młodszy i ładniejszy, to spał na kanapie. Podła ciotka!... A co będzie, jak Bęben też zdechnie jak Szarbon?

Nowa fala zmartwienia wyłania nowy, niepewny projekt, żeby tak do własnego wynalazku słów przy pacierzu „Boże, spraw, żeby mama nigdy nie umarła", dodawać to samo o Bębnie... I zaraz nowy posmak grozy — czy to będzie coś doskonałego, czy też może straszliwy grzech? Ale mimo tej niepewności zło już się przesila, z samego dna niedoli wyrasta nowe szczęście i zalewa serce, każąc mu odepchnąć resztę żałości pewnością nieomylną, że oto na kredensie stoją dwa czarne „hładysze" poziomek zakupionych przez Modestową na Karaimskim rynku od krasnych bab, że po podwieczorku przyjdą dzieci i będzie najpierw bal, a potem „chowany" po całym domu (tylko w kancelarii nie wolno i na strychu nie) i po całym dziedzińcu (tylko pod werandą nie i na ulicę nie wolno wybiegać), i że życie jest tak niemożliwie, tak niepojęcie, tak po prostu nie do zniesienia cudowne!!!

W mieszkaniu na Hożej cienie na suficie rosną — rosną, bańki chroboczą w miednicy, ojciec przewraca się na skrzypiącym łóżku w drugim pokoju — nie może usnąć...

— To źle, że ojciec nie może usnąć, bo rano musi wstać do pracy, prawda, mamo?...

Sabina cieszy się, że powtarza to, co tyle razy słyszała. Matka już nie jest surowa, tylko do cna zgryziona — w swojej wiecznej, barchanowej „matince"...

Tamto szczęście oderwane od ziemi, od trawy zielonymi smugami zarastającej popielaty dziedziniec, od poziomek, od Bębna, od kotki Pelagii — tamto szczęście całkiem już omdlało pod stosem kajetów, pod wiecznym chorowaniem — i cóż z tego, że tu jest warszawska filtrowana woda, a tam była brudna z rzeki, przywożona w beczce przez pejsatego woziwodę?...

Na liliowych arabeskach ściany cienie rosną aż do sufitu. Sabina ma katar, nie może oddychać i ciągle pociąga nosem, a ojciec w drugim pokoju nie może przez to usnąć. Nie podobna wykryć, w jakim miejscu deseń na ścianie poczyna się powtarzać — mamo, mamo, czy ten kwiat na ścianie jest taki sam jak tamten kwiat? bo tu, mamo, on jest inny, widzi mama?... ooo, w tym miejscu on jest trochę inny, ale nie bardzo, prawda mamo?

— Śpij no, śpij — cicho mówi matka.

Od jadalnego drzwi są uchylone akurat tak, że widać brzeg okrytego spękaną ceratą stołu, na którym jada się nie poziomki z czarnego „hładysza", nie upieczone przez Ostapa kurczęta, tylko zrobione przez Leosię klopsy i zupę na kościach. Widać też

piec i niedobrą czarną szparę za piecem. Coś trzeszczy... W tym mieszkaniu na Hożej wiecznie coś musiało trzeszczeć... Pościel Sabiny ciągle się zsuwa z kanapy, pomimo że przystawiono krzesła właśnie po to, żeby się nie zsuwała. Matka bierze ze stolika termometr. — Nie, mamo, nie, na pewno nie mam... ja czuję, że nie mam. Naprawdę, mamo!...

Czy ma kto pojęcie o tym, jak długo trwa dziesięć minut? Ile się można przez ten czas nagadać i natargować? — Bo jeżeli będzie mniej, niż trzydzieści siedem i pięć, to co, mamo? To pójdziemy w sobotę do parku i tam będzie Alicja, prawda mamo? A jeżeli będzie tylko trzydzieści siedem i trzy, to pójdziemy w piątek. A Alicja może być także i w piątek, prawda mamo? A trzydzieści siedem i dwa to się liczy, że nic nie ma? nie? a dlaczego nie?... Kiedy jak było trzydzieści siedem i jeden, to mama mówiła, że to już tak jak nic, a trzydzieści siedem i dwa to prawie to samo, co trzydzieści siedem i jeden, to także to samo, co nic... Co, mamo, co?

Matka nic nie mówi i wstrząsa termometrem. W jadalnym coś trzeszczy. Helena chrapie na wąskiej bez oparcia sofie, z której w dzień wyziera włosie, a w nocy pod pościelą nikt by nie poznał nawet, że to nie łóżko... I nagle zgorączkowanej, wiercącej się ciągle Sabinie robi się zimno od myśli strasznej a niespodziewanej. — Mamo, czy to wielki grzech wspominać w pacierzu psa razem z matką? — i zamiera w oczekiwaniu odpowiedzi. Teraz wszystko zależy od tego, czy matka się przerazi, czy powie, że to nic...

Matka się nie przeraża, ale nie mówi, że to nic, i w ogóle nie zamierza tej sprawy roztrząsać. —

Że też ty zawsze musisz sobie coś wymyślić!... Trzydzieści siedem i siedem... Śpij już, śpij!...

Ulga od grzechu, ale park na sobotę już przepadł! I na piątek przepadł, i na w ogóle... Alicji nie zobaczy się już nigdy, nigdy, nigdy!... I mieszkanie na Hożej jak więzienie zaciska się dokoła płaczącej Sabiny, która przekonywa teraz matkę, że termometr na pewno jest źle strząśnięty albo zgoła zepsuty... Katar coraz bardziej nie daje oddychać i coraz bardziej każe pociągać nosem. Słychać, jak ojciec zapala świecę. — Co wy tak gadacie? — pyta z drugiego pokoju skrzywionym z irytacji i ze zmęczenia głosem. — Czy mała znowu ma gorączkę?

— Trzydzieści siedem i coś — mówi matka niewyraźnie, żeby tylko ojca jakoś uciszyć. Wszyscy milkną. Cienie skaczą po suficie. Po Hożej przejechał wóz. Sabina cicho chlipie: — znowu sobie coś wymyśliła. Że jak zamknie oczy, a potem otworzy, to zobaczy w oknie w jednej szybie kościstą, kwadratową twarz mężczyzny z wąsami, a w drugiej szybie twarz kobiety z rumieńcami, jak to bywają takie twarze, w buraczkowej, włóczkowej chustce o końcach przeciągniętych pod brodą i związanych z tyłu. To nic, że to trzecie piętro... Najlepiej będzie wcale nie zamykać oczu i matkę gwałtem wciągnąć do rozmowy...

— Mamo, a gdyby Alicja tu przyszła, toby się na pewno zaraziła ode mnie?... nie?... nie na pewno?... a dlaczego by się nie na pewno zaraziła? A jej matka myśli, że na pewno?... Mamo, a dlaczego ja ciągle choruję, a Helena nigdy, mamo, co?...

Ale matka już nie może. Odwraca umęczone, czerwone z bezsenności oczy. — Staraj się zasnąć, Sabino, no proszę cię, staraj się zasnąć!...

Duża Sabina z wyżyn swego łóżka przygląda się tej małej z trzydziestu siedmiu i siedmiu, jak przedtem przyglądała się tamtej od kwietnika, od Bębna i od poziomek. I nadziwić się nie może, czy to ta sama? Chociaż, właściwie, jak się dobrze przyjrzeć... Po odpadnięciu tych, pożal się Boże, radości i cierpień, pozostaje przecież jakaś niezmienna reszta i pokutuje w człowieku...

KASZTANY

Jak tylko Sabina przypomni sobie te wszystkie studenckie swoje mieszkania, zawsze jest to samo: prymus huczy na rogu stołu, okrytego zielonym papierem...

I to wszystko jedno w jakim pokoju. Czy na Sebastiana, czy za koleją, czy na Gołębiej. Z tym prymusem zawsze i wszędzie było jednakowo: oto nie dało się uchwycić chwili, kiedy należało przetknąć palnik specjalną igłą. Zawsze było albo za późno, albo za wcześnie. I zawsze znalazł sobie pretekst, żeby mściwie sapać sadzą. Po prostu kopcił wniebogłosy, jak mawiał kolega Dorster, a Sabina się śmiała. Śmiała się również, kiedy kolega Baum mówił o prymusie, że znowu szaleje. A już zaśmiewała się po prostu, kiedy kolega Kowalski obiecywał ciągle w imieniu tegoż prymusa, że mu to zaraz przejdzie. Po prostu trzymała się za brzuch... Niewiele trzeba było wtedy Sabinie do śmiechu, nie można powiedzieć.

Prymusowi przechodziło, a Sabinie nie przechodziło. Czyż wszystko może być powodem do radości? Że się przytwierdziło pluskiewkami bibułę do kośławego stołu — i zaraz robiło się bardzo po-

rządnie? Że na ohydnych arabeskach malowanych klejowo ścian umocowywało się kupione na rynku świerkowe gałęzie i zaraz pachniało jak w lesie? Kiedy igły opadły, wyglądało to jak szkielety jaszczurek i było zabawnie. Od „Ciszy Leśnej" czy też „Wyspy Śmierci" na ścianie robiło się wręcz cudownie. Chleb morawski pachniał wilgotnym żytem, radością był serdelek, niezupełnie przymknięty rozkrojoną kajzerką...

I to miała być ta sama Sabina, która na Hożej nie chciała nic jeść?

Tak więc wszystkie te pokoje były jednakowe i wszystkie zlały się w jeden taki pokój z zieloną bibułą i świerkowymi gałęziami i z wieczną herbatą wśród rozrzuconych skryptów, z nocnymi wyprawami na Błonia, z całym czarem dzieciństwa przycupniętego, przyczajonego wśród pozornej dorosłości, gotowego o każdej chwili do szczęśliwych, głupich zanoszących się śmiechów, do niczym nie uzasadnionego chichotania, chichotania... Z całą ważnością społecznych spraw, z wydawaniem książek w bezpłatnej wypożyczalni, z kolegami i koleżankami i gadaniami bez końca, z rozdartym sercem Judyma i Joasi i z Justyną...

Justyna! Stara Radziszewska brała za taki studencki pokój dwadzieścia cztery korony na miesiąc. A za drugi większy trzydzieści. Za trzeci — dwadzieścia sześć. Z usługą Justyna latała od jednego do drugiego, ogłupiała jak zapędzone zwierzę. Nie była ani młoda, ani stara, miała małe oczy i wielkie szczęki, policzek to jeden, to drugi wydęty wieczną fluksją — i nie umiała czytać. Stara Radziszewska mówiła o niej słodko do lokatorów, że „zaraz powie dziewczynie, żeby to zrobiła". Do

niej szeptała cicho i groźnie: „żeby mi było zaraz"!!!

Justyna płakała na ciemnych kuchennych schodach, że Radziszewska grozi jej „napędzeniem" i że jej coś „trzasło w boku, kiedy turgała łóżko dla nowego lokatora". Sabina chciała ją pocieszyć i pocałowała w twarz. Justyna się przelękła i zaczęła jeszcze więcej płakać, bo nie była „zwyczajna". I kiedy potem w zadymionym pokoju pod szum prymusa rozprawiano o tym, czy Judym słusznie postąpił, rozstając się z Joasią, żeby ratować „tych z budów" — Sabina musiała myśleć o tamtych małych, przerażonych oczach...

Przyszły koleżanki: koleżanka Rotberżanka i koleżanka Kwiatkowska. Przyniosły gorących jeszcze kasztanów w papierowej tutce. Zaczęły rozmawiać o miłości i zapomniały o kasztanach. Zmierzchało się. Prymus nakopcił i trzeba było otworzyć okno. Słychać było, jak za drzwiami stara Radziszewska pokrzykuje na Justynę, żeby zrobiła to i owo, i dziesiąte, i bez końca. Słychać było, jak wchodzą i wychodzą lokatorzy. Koleżanki gadały o miłości.

— Chodzę między ludźmi jak nieswoja — oznajmiła koleżanka Rotberżanka. Koleżanka Kwiatkowska przyznała się, że i ona też.

Sabina chciała powiedzieć, że ona także. Urwała, bo nikt jej nie słuchał. W ciepłe, sinawe od dymu powietrze pokoju napływało od okna inne, świeże, wilgotne; powiało jesienną zrudziałą trawą spod samego płotu, gdzie nikt nie chodzi, naniosło innego szczęścia jak mokrych liści Sabinie do zabawy...

— Zamknijcie okno, bo zimno — powiedziała koleżanka Rotberżanka. A Sabina po namyśle zjadła wszystkie kasztany.

Nie zaświecając lampy wyszły wszystkie trzy

i długo odprowadzały się nawzajem po pustych, wieczornych ulicach i dalej gadały o miłości. Na moście przystanęły i patrzyły w czarną wodę. Potem szły dalej, a Sabina została trochę, łokciami wsparta o poręcz. Wołały na nią:

— Koleżanko, idziemy? Cóż to, nie możesz się oderwać od tej wody? Odkądże się zrobiłaś taka romantyczna?

Sabina się śmiała: — Przecież ktoś musi zostać i programowo wpatrywać się w wodę...

Śmiały się wszystkie — i „przeszło im" jak prymusowi. A Sabina, wróciwszy do swego pokoju, długo grzebała w łupinach, czy nie znajdzie się choć jeden kasztan. Nie było. Chałwy też nie było. Do poduszki.

Ale to nic. I bez tego zamierało się ze szczęścia, że Heine napisał takie śliczne wiersze: siedzieli wszyscy na progu chaty i patrzyli na morze, i cicho rozmawiali o różnych krajach, jak to jest w Laponii, a jak w Indiach, i jak jeszcze gdzie indziej. Aż ściemniło się całkiem, a kiedy zapalono latarnię, to okazało się, że jeszcze jeden okręt jest na morzu, i nikt o nim nie wiedział...

Albo o tym, że łzy nieszczęśliwej kobiety spływały po „jego" ręce... Ach, Boże... a jeżeli Sabina będzie też „nieszczęśliwą kobietą" i jej łzy będą spływały po jakiejś ręce? Szarpnęło się serce... Ach, nie! O tym nie może być mowy! Sabina? — W „Chimerze" ktoś napisał: „białawy okwiat grusz na staw nafrunął bielą, na skrzek, na twardy liść okrągły padł grążelom". — I jak to on tak wymyślił?

Tak, tak! Życie jest cudowne! Tylko jedno: na medycynie trzeba będzie krajać trupy. Czy Sabina to wytrzyma? Na samą myśl robiło się jej słabo... Ale to nic, to trudno. Tak być musi: przecież ze zwierzęco żałosnych oczu Justyny patrzy na Sabinę rozdarte serce Joasi. Tak się to jakoś razem połączyło... A zresztą, co do tych trupów, to jeszcze nie zaraz. Cała pociecha, że nie zaraz!

Ale z tej „pociechy" wyziera nagły niepokój: a co będzie, jeśli nie zda egzaminu? Co wtedy? Przecież sama wie najlepiej, jak dalece naprawdę nic nie wie... (Ach, nie wiedziała wtedy także tego, że można nic naprawdę nie wiedząc — wszystkie egzamina pozdawać i jeszcze innych całe życie uczyć.)

Pocieszyła się znowu zaraz: przecież jest taka zdolna? Przecież wszyscy mówią... Przecież Jan mówi... Jan?

W mroku studenckiego pokoju starej Radziszewskiej zaśmiały się od poduszki „brunatne" oczy. Do szkieletów jaszczurek. Do zimnego połysku prymusa. Do nieuprzątniętej ze stołu kupy kasztanowych łupin... Jan!

Ale w mroku ostatniego pokoju oczy „chorej" wcale się nie śmieją od poduszki. Dlaczego miałyby się śmiać? Przecież „chora" wie, co było dalej: że przyszedł Jan, ucałował tamte wiecznie gadające, wiecznie śmiejące się usta, że ledwie zdążyły się domknąć, zdziwione, że on usiłuje je rozchylić... chyba tak nieumyślnie?

Głowa uwolni się z jego rąk szczęśliwa, roztargana.

— Więc, Janie, ja jestem teraz twoją kochanką?

Jan się nie roześmiał, choć także lubił się śmiać. Zdziwił się, trochę zmieszany. — Nie, czy ty naprawdę? — zaczął. Ale przyjrzał się Sabinie i urwał. Machnął ręką. Pocałował ją jeszcze. I jeszcze. A niedługo potem był tamten bal i różowa suknia przerobiona z wesela Heleny...

O Boże — tyle nieszczęść i tyle szczęść, i rewolucje, i wojny, i przewroty różne, i Bóg wie nie co — tyle rzeczy przewaliło się nad Sabiną i nad światem i mijały długie, długie czasy, w których sprawa Kruczej zupełnie nie istniała, skończona już i nieważna — a teraz znowu wystarczyło tylko wspomnieć tamto mieszkanie, żeby się cała Sabina zaruszała niespokojnie, lekkomyślnie tracąc tę najlepszą, tę wypróbowaną, tę niezawodną pozycję z gumowym, napełnionym wodą workiem pod krzyżem, ze zwiniętym w wałek pledem pod nogami... Czyżby żadne przeżyte rzeczy nie mijały, tylko leżały zwinięte jak sprężyny, czekając, aż znowu nadejdzie ich pora?

A jeśli o to chodzi, to pora tamtych spraw z Kruczej wcale nie nadeszła i nigdy już nie nadejdzie, więc po cóż teraz całe to wzburzenie od włosów aż do pięt? Chyba już jest najwyższy czas, żeby nabrać rozumu, chyba, powiedzmy, jest ostatni czas... — ostatni czas w znaczeniu dosłownym — uśmiecha się Sabina, a jednak czuje, że splata palce takim samym ruchem, jakim tam na Kruczej, czekając na Jana, załamywała ręce... Czyż nie rozumie tego, że z powodu żadnego Jana nie załamuje się już rąk leżąc na łóżku, z którego... że takie załamywanie rąk dobre było wtedy, przed dwudziestu laty, tam na Kruczej przy wieczornym obrzędzie czekania, ale nie teraz...

A to czekanie odbywało się zawsze jednakowo, niezmiennie: chodząc przez wszystkie trzy pokoje w amfiladzie i przedpokój, z postojem w ostatnim pokoju przy żółtej szafie, tej samej, na której znaczyło się niegdyś linijką i ołówkiem wzrost, niewiele większy od wzrostu Szarbona, kiedy służył...

Drugi postój przypadał na pierwszy pokój przy oknie. Z wpatrzeniem się w głęboką, ciemną studnię podwórka z ciemniejszą jeszcze wnęką bramy. Z wpatrzeniem błagającym o stłumiony, znajomy dźwięk dzwonka, a potem o człapanie bamboszy niewidzialnego zrazu stróża, z bocznych drzwi, przez całą długość bramy o pewnej chwili rozświetlonej nagle jak tunel. Było to niejako czekaniem w czekaniu, jakby państwo w państwie: czy spóźniony lokator wsiąknie w ciemność zagasłej równie nagle bramy, to znaczy, że pójdzie „na front", czy też wyłoni się na podwórzu? A wtedy nastąpi jeden moment trudny do rozpoznania: czy zwróci się na prawo czy na lewo do oficyny, jednym słowem czy to Jan, czy nie Jan?

Trzeci postój, doprawdy już bez najmniejszej przyczyny i bez najmniejszego sensu: u wejściowych drzwi w przedpokoju. Bo przecież przez ten ułamek sekundy, co trwało przejście od okna w jadalnym do drzwi w przedpokoju, choćby się nawet nie dosłyszało dzwonka, co jest zresztą niemożliwe — ale przypuśćmy, żeby się go nie dosłyszało — to i tak stróż nigdy by nie zdążył przez ten czas otworzyć bramy i nic w sytuacji nie mogło się zmienić, niczyje kroki nie mogły się rozlegać na schodach. Po cóż więc było stać przy drzwiach w ciemnym przedpokoju z czołem opartym o zimną chropawość milczących drzwi? Czy to miał być taki luksus, taki odpoczynek, wstrzymanie czasu, puste miejsce w ciężkiej pracy czekania na Jana?

Tak jednak widocznie musiało być, taki był rytuał tej męki: postać przy szafie, postać przy oknie, po-

stać przy drzwiach, znowu chodzić, chodzić, chodzić...

Właściwie to ta sprawa zaczynała się jeszcze znacznie wcześniej, przed herbatą. Ale wtedy do programu należało udawanie, że się nie czeka na Jana, tylko tak, zwyczajnie robi się różne rzeczy. Na przykład podlewanie kwiatów.

Stało się nad fikusem pogodnie, uspokajająco sztywnym, jakby nigdy nic. Nachylało się nad ciepłą kosmatością czerwonych liści begonii, nad wesołą, jasną puszystością szparagowca. Próbowało się palcem, czy ziemia w doniczce jeszcze nie sucha, czy w sam raz? Powoli, z rozmysłem lało się wodę z niewygodnego imbryka, z którego zawsze musiało się coś ulać na podłogę, żeby nie wiem jak uważać. Patrzało się, jak wsiąka w ziemię, w odrobinę tej „inspektowej" czy „wrzosowej" i kiedy się tak wdychało z bliska jej wilgotny dech, w nieporównanym, jedynym zapachu poruszonych listków pelargonii o zastygłych jak rtęć kroplach wody na ciemniejszych środkowych krążkach — to myśli zatrzymywały się, jakby świat stawał w miejscu, a serce miękło i odprężało się... ale to tylko na chwilę.

Potem zasiadało się do poprawiania kajetów. I znowu udawanie, że się wcale nie czeka na Jana, tylko się siedzi przy stole i poprawia kajety czerwonym ołówkiem, nie patrząc na zegarek...

Na nic to wszystko! O jakiejś chwili zza drzwi kuchni padało nieuchronne pytanie obrażonym głosem Polci: czy ma tak jeszcze czekać na pana, czy już w końcu podawać kolację? — To już chyba niech Polcia podaje — wesoło odpowiada Sabina. I popija samotną herbatę, która ma posmak piołunu, i pogryza czymś najtrudniejszym w świecie do przełknięcia, i ciągle nasłuchuje na ożywionych jeszcze

schodach, czy nie posłyszy kroków Jana, i wie, że nie posłyszy, wyobraża sobie aż do bólu, że Jan wchodzi, i wie, że Jan nie wejdzie...

O jakiejś chwili nie można już wytrzymać i odpada resztka udawania. Wszystko staje się jasne. Serce bije powoli i mocno. O tym czasie na schodach ustaje ruch, przychodzi nieunikniony moment: człapią bambosze, stróż idzie gasić światło. Skończone.

Teraz trzeba się znowuż inaczej zorganizować, do innej fazy czekania. Bez ogródek, bez udawania. Rzecz idzie na całego. Już teraz nie ma mowy o przyjściu Jana „zwyczajnie", chodzi tylko o to, żeby się jak najmniej męczyć, jak najmożliwiej przeczekać czekanie. I kiedy wreszcie przyjdzie, wesoły po kolacji, niemile zdziwiony, że ona nie śpi i że się niepokoiła — bo właściwie o co? — żeby nawet nie spytać, gdzie był... przecież i tak nie dowie się prawdy. Chyba przypadkiem, bo Jan jest nieporządny i roztargniony, i...

— Heleno, nie śpisz jeszcze? Czy możesz zrobić mi zastrzyk?

NA FRETA

„...Ma-ruszka, moja Ma-ruszka,
pójdziesz ze mną spać — do łóżka..."

To dziwne, że jak tylko Sabina pomyśli o tym powojennym mieszkaniu na Freta, to zaraz słyszy tę przebrzydłą żołnierską piosenkę i to nie tylko słyszy jak we śnie, ale jakby we śnie o śnie, jakby jej się śniło, że się śni... — O Boże, Boże, Sabino, cóż to za kombinacja... — uśmiecha się Sabina ze swojej poduszki — a co się tyczy „tego Freta", to trzeba przemyśleć porządnie...

Co rano śniło się tam Sabinie, że żołnierze idą i śpiewają:

„...Ma-ruszka, moja Ma-ruszka,
pójdziesz ze mną spać — do łóżka..."

Kazimierz też tak śpiewał, kiedy miał jakieś trzy lata i wymawiał: — Malusta moja, Malusta... — i Sabina nie lubiła, kiedy tak śpiewał, a Jan, owszem, lubił i śmiał się.

(Pomyśleć tylko: przypominanie sobie jasnego, ciepłego śmiechu Jana w tym zapajęczonym, zakatarzonym mieszkaniu na Freta — o Boże! — bo Jana wtedy dawno już nie było i Kazimierza nie było)...

Ta Maruszka wplatała się co dnia w ciężki przedranny, nieodparty, głuchy sen jak w pierzynę — w sen jakby wagonowy, kiedy to ci w trzeciej klasie, co całą noc przetrwali bezsennie, o świcie śpią ciężko i byle jak, waląc się jedni na drugich.

Ale w mieszkaniu na Freta nie było żadnego świtu ani żadnego słońca. Był nie napalony piec i włączona w bezsens snu piosenka... a potem po przebudzeniu okazywało się, że to żołnierze naprawdę tak szli i śpiewali...

— I dokąd oni tak zawsze idą — stroskanym głosem dziwiła się nieraz matka. (W tym mieszkaniu matka zawsze wszystko mówiła już nie władczym, a stroskanym głosem).

— Tyle razy mówiłam mamie, że idą do koszar przez Zakroczymską — zirytowanym głosem wyjaśniała zawsze Sabina. (W tym mieszkaniu Sabina wszystko wyjaśniała z irytacją w głosie).

Więc zaczynał się dzień od tej piosenki. Boże drogi, że też wszystko minęło, wszystko przeszło: — patriotyczne porywy, wzniosłości, męczeństwa... a została tylko ta Maruszka i budzi Sabinę co rano...

Nie dospane ciało nie ma siły oderwać się od rozgrzanej pościeli. Gnaty bolą, jakby nie miały nocy za sobą. Zawarte powieki ledwie się rozchylają, żeby z obrzydzeniem wpuścić do jakby zasypanych piaskiem oczu strzęp nowego dnia — i zaraz się zaciskają na powrót. Po prostu żebrzą o jeszcze trochę miękkiego, ciepłego, czarnego snu. Maruszka ucieka. Ale słychać za to stroskany głos matki.

— Sabino, czy pamiętasz?... Na dziewiątą masz być u dyrektora...

— Pamiętam.

— No to wstawaj, bo już po siódmej.

— Wstaję...

Oczy otwierają się gwałtem, zamykają znowu, wrogie mętnej światłości. Dopiero przetarte rękami zaczynają niechętnie jako tako patrzeć: — podłoga z desek z szerokimi, rozdziawionymi szparami, ze szczątkami olejnej, wyleniałej żółtości w miejscach mniej dostępnych krokom — firanka z dwoma amorkami na siatce, kanapa z czarnego, rzeźbionego drzewa, z szafirowym, wytłaczanym pluszem, dwie szafy, każda inna, jedna wysoka, druga niska, jedna staroświecka, a druga nowa, bejcowana na orzech i obie zestawione razem. Żałosna kozetka figlarnie wykręcona w es, tak że jedna osoba mogłaby mieć nogi z prawej strony, a druga z lewej jak dama karowa. I dwa pufy. Najgorzej z tymi pufami... A do tego jakieś kosze czy kufry, jakieś rzeczy nieokreślone, okryte kawałkami starych portier czy firanek. W drugim pokoju łóżko matki i komoda pełna cudzych rzeczy — mole latają... piec dymi... jest zimno...

Wielki fotel, pokryty ceratą popękaną w drobną mozaikę czarno-białą, wygląda jakby był nasiąknięty zastarzałą obcością. — Może on i wygodny — powiada matka siedząca w małym trzcinowym —

ale ja, jak na niego patrzę, to zawsze myślę, że tam siedział jakiś Moskal, który nas gnębił, albo Niemiec...

Sabina w zimnej kuchni grzeje karbówki na gazie. Wpatrzona w zimny piec, w niepojęty sposób kryjący za dnia pierzchliwe prusaki — i gdzie one podziewają się do wieczora — myśli z obrzydzeniem, a jednocześnie odpowiada niechętnie na rozważania matki, że jej wszystko jedno, czy Moskal, czy nie Moskal, że ona ma już dosyć tego wszystkiego... Sabina teraz zawsze tak mówi i czuje, co matka myśli o niej — że się zrobiła taka rozdrażniona od czasu, jak nie żyje z Janem, „bo to niektóre kobiety potrzebują tego"... Matka wie o tym, chociaż sama nigdy „tego" nie potrzebowała. A co do patriotyzmu...

— Sabino, czy pamiętasz, że na dwunastą masz być na Mazowieckiej?... a na drugą u tej pani?... i Kazimierzowi zanieść koc do bursy, bo on tam marznie, i umówić się z dentystką... i do Jana, żeby zapłacił...

Czy pamięta?... Wszystko pamięta... Ach, gdybyż mogła nie pamiętać!... Ale pamięta. Wszędzie idzie, wszystko załatwia, wszędzie się stara, stara, stara... Żeby tylko jakoś żyć, żeby jutro i pojutrze, i „od pojutrza popojutrze" grzać karbówki na nie opłaconym gazie, zakręcić „brunatne" włosy, na które nikt nie patrzy, i pić z matką popielatą, powojenną kawę...

Złożyła podanie u dyrektora i na Mazowieckiej — może z tego coś będzie — przecież tylu ludzi dostało jednak posadę — wszyscy się jednak jakoś urządzają, tylko ona jedna...

Tak rozważając, zamierając od beznadziei i zamierając od nadziei, zziębnięta taszczy Kazimierzo-

wi ogromny tobół w gazecie niedbale omotany sznurkiem, grożący rozsypką w tramwaju. — Czy tatuś był u ciebie?... — pyta. Stojąc tak przed nim w zimnej poczekalni w swojej wiecznej czarnej sukni, chce jeszcze dodać, czy zapłacił za internat — i nie mówi nic.

Za to Kazimierz opowiada, że był znowu z ojcem w cukierni, że ma obiecany rower — promienieje cały. Sabina patrzy na niego w milczeniu. — A jak ze stopniami? — pyta nagle i wrogo.

Kazimierz śmieje się beztrosko nieodpartym, ślicznym śmiechem Jana.

— Z niemieckiego dwójka, z fizyki dwójka, z robót dwójka, ale to nic... Tatuś mówi, żebym się o to nie martwił, że się poprawię na drugi kwartał — i dalej gada o tym rowerze, jaki to on ma być, jakiej marki, z jakiej fabryki i wszystko...

Tak zawsze było z Janem: — wszystkim było przyjemnie przy nim, i kobietom, i dzieciom... Tylko ona, Sabina, była smutna i samotna, tylko ona, tylko Sabina się martwiła, bo nigdy nie wiedziała, co będzie jutro, co będzie za chwilę. Na przykład teraz: — roweru Jan nie kupi, bo za co, ale czy Sabina ma się i o to martwić?... Cóż ją to może teraz obchodzić?... I czy Kazimierz już teraz nie ma z tego uciechy?

Zgryziona tymi dwójkami, idzie dalej: — stara się, stara, stara... do ministerstwa, do kuratorium, do wydziału, do Bóg wie czego... Ale w miarę, jak się ciężko przewala szare przedpołudnie, przestaje myśleć na niewyczerpany temat rozstania z Janem, przestaje myśleć w ogóle. Jest tylko jedno — tu złożyć podanie w sekretariacie, tam powołać się na znanego referenta, tu dostać się do samego na-

czelnika, który powie, że na razie nic nie ma, ale w razie gdyby było, to owszem... i zapisze adres.

Kiedy skręcała na Freta, zapalano już latarnie. Ciemne schody starego domu milcząco wdychały smród moczu kotów, bezgłośnie znikających w pogłębionych czarnością piwnicach, stęchłym mrokiem, starzyzną, swędem wszystkich obiadów „na kościach" gotowanych we wszystkich kuchniach wszystkich stroskanych ludzi od początku świata...

W pokoju matka siedziała na swoim małym trzcinowym fotelu, zartretyzmowana i postarzała. — Zaświeć sobie lampkę w kuchni i odegrzej makaron. Mięso stoi w piecu...

W kuchni świeciło się naftą. Sabina do dziś dnia nie rozumie, dlaczego się gotowało na gazie, a świeciło naftą.

Ruchliwe prusaki, nie wiadomo skąd się biorące, znikają w okolicach zimnego pieca. Makaron skwierczy na czarnej patelni. Przypala się od dołu, a od góry jest zimny. Lampka zaczyna pełgać i gaśnie. Nie ma nafty? W ciemności rozeta niebieskawych płomieni rozpłaszcza się o niewidzialną patelnię... skwierczy, pryska...

Sabina na wyszukanym po omacku talerzu wnosi sobie makaron w smugę światła wprowadzającego z kuchni do pokoju. Stawia talerz na brzegu stołu zawalonego nie wiadomo czym. Makaron jest zakopcony od dołu, a letni od góry. — Dlaczego nie dolałaś nafty? — martwi się matka ze swego fotela — jak to można tak po ciemku robić...

Sabina nie wie, dlaczego. Po prostu nie mogła. Latać i starać się po całych dniach widocznie mogła. A dolać nafty już nie mogła! No, nie mogła, nie mogła, nie mogła!!!

Na Filtrowej dom jeszcze nie zupełnie wykończony — na podwórzu wapno i cegły, młody murarz wiecznie coś podśpiewuje i uśmiecha się do Sabiny — pachnie tu nowością, szerokim, wolnym wiatrem nie zabudowanej ulicy, na schodach pachnie farbą i heblowinami, a dzwonek od mieszkania Sabiny dźwięczy jasno i wesoło tak, jak to z pracy wraca się na obiad, na obiad — prędzej!...

Posługaczka Gołębiowska, pani Gołębiowska, leci otwierać ocierając ręce fartuchem i tłumaczy się, że za chwileczkę, „za momencik" i już będzie. Matka leci wystraszona, że Sabina dziś jakoś wcześniej, że jeszcze nie ma trzeciej, że zaraz sama nakryje, że pomoże lepić pierożki... Ale Sabina rześko, wesoło, stanowczo, że nie, że niech każdy robi co do niego należy, a co do jej powrotu to nie ma ani wcześniej, ani później, tylko zawsze tak samo... I obiad musi być na czas i nie ma dyskusji!...

Zupełnie jakby mężczyzna przyszedł do domu z pracy, prawdziwy mężczyzna, który pracuje, zarabia, daje na utrzymanie i musi mieć. A nie tamta zgryziona Sabina w wykrzywionych pantoflach, przedwojenna Sabina „przy mężu", wpatrzona w jego pełen niewyraźnych luk męski dzień — Sabina pozbawiona dnia własnego...

Więc wchodzi w popielatym kostiumie z fiołkami, czy w granatowym palcie z futrzanym kołnierzem, nowa i powojenna, w jasne ściany nowego mieszkania, w przejrzystość nie zawaloną jeszcze po kątach przez zadomowienie się nieokreślonych gratów... Mebli mało, ale takie jak potrzeba — do leżenia, do siedzenia, do pracy, do Tomasza. A każdy z nim razem długo omawiany, wybierany. Przecież

Sabina pracuje, zarabia, utrzymuje dom, więc chyba musi mieć wszystko zorganizowane tak, jak jej jest wygodnie, żeby mogła żyć i pracować, no nie?... Czy matka tego nie rozumie? Czy pani Gołębiowska tego nie rozumie?...

Pani Gołębiowska rozumie i matka rozumie. Jeszcze tylko tak trochę pogaduje przy obiedzie. Troszeczkę. Dawnym głosem:

— Ciekawe, co ta Gołębiowska sobie myśli. Co się w głowie takiej kobiety musi dziać, kiedy widzi...

— Że co?

Matka nie objaśnia bliżej. Wiadomo jednak, że chodzi o Tomasza.

Sabina nie wie, co może się dziać w głowie „takiej kobiety" i co więcej, nie zamierza tego dociekać. Wstaje. Właśnie się umówiła.

Przychodzi Kazimierz. Uczeń. Druga klasa. Pewny siebie. Odkąd jest w bursie, „na trójkach jedzie". Przynosi węzełek z brudną bielizną, zabiera czystą. Pojada coś pod okiem babci. Mówi, że w niedzielę znowu był ojciec, zabrał go do cukierni. Zamyśla się.

— Jak tak wejdę i tatuś powie mi, żebym sobie wybrał, to mi się z początku zdaje, żebym zjadł wszystko: i rurkę z kremem, i napoleonkę, i z jabłkiem, i takie z grzybkami, tylko kruche nie. Kruchego to już nie! Ale potem jak zacznę, to zjem dwa, trzy... No, cztery — dodaje po namyśle i zaraz przechodzi do sprawy roweru. Nie ma go dotąd co prawda, ale za to zna wszystkie marki i wszystkie fabryki, wie, jakie mają zalety, jakie wady. Mówi, jakby miał wykład o rowerach.

— Ale właściwie na wiosnę to już muszę go mieć — i patrzy na matkę, jakby to ona mu obiecała, a nie ojciec, i wychodzi na to, że Sabina jest

winna, że Kazimierz nie ma dotąd roweru. — Czy nie mogłaby wziąć na raty? Już on, Kazimierz, jest w tym, żeby się dowiedzieć, gdzie będzie można najdogodniej...

Kręci się po małym mieszkaniu, ogląda wszystko. — Ciągle coś przybywa — stwierdza z dezaprobatą. Właściwie ma na myśli kartony: starą kobietę w czepku, o beznadziejnie spłowiałych od życia oczach, które już prawie nie żyją, i wesołego potwora z wielkimi, koralowymi ustami i słomianą strzechą włosów, tamtą Sabiny „kontemplację".

— Ach, to pewnie pan Tomasz znowu wymalował — powiada — szkoda, że on czegoś pożyteczniejszego nie robi, tylko „takie coś"... — Tu patrzy na babkę w doskonałym porozumieniu, ale doznaje zawodu. Babcia milczy dyskretnie, jakby nie słyszała...

Przynosi doniczkę z begonijką: — cała srebrna, ciemnoczerwona, matowoczarna, cudacznie nakrapiana. Z rozczulającymi, jasnymi, purpurowymi włoseczkami na skręconych pastorałkach przyszłych liści, dziwacznie i przesadnie śliczna, jakby nie prawdziwa, tylko z czegoś zrobiona, aż Sabina wyciąga do niej, rozjaśniona, ręce, jakby do miłego małego zwierzęcia...

— Ach, Kazimierzu, skąd to masz?

— Kupiliśmy z tatusiem. Tatuś powiedział: zanieś to matce, więc zaniosłem to matce — śmieje się dumnie mały mężczyzna.

Babcia rozrzewnia się nad czerwonymi liśćmi: — pamiętasz, Sabino, jak ślicznie kwiaty rosły na Kruczej? Tam było takie dobre okno!... Ten szparagowiec, to wszyscy aż się dziwili... a fikus!...

— Ach, na Kruczej!...

Ale Kazimierz musi już iść. Unosi tobołek z bie-

lizną. I paczkę z „żarciem" — jak powiada. Babcia zawsze musi upiec mu coś słodkiego — a także kawał cielęciny mu się przyda... bo przy takim jedzeniu z kotła...

— Moja mamo, już tyle razy mówiłam, że tam dobrze dają... Przecież Kazimierz je tak jak wszyscy chłopcy...

(No nie... jaka ta Sabina zrobiła się teraz!... a to wszystko od czasu jak ma tę posadę i Tomasza).

W przedpokoju Kazimierz spotyka się z wchodzącym Tomaszem. Stoją naprzeciwko siebie dwaj mężczyźni: — duży, ciężki, bezbronnie uśmiechnięty Tomasz ze swoim wielkim, szlachetnym w profilu nosem i mały, czupurny Kazimierz z beztroskim, prostym, krótkim nosem Jana.

— Jak się masz, młody człowieku? już uciekasz? cóż powiesz dobrego?

— Nie uciekam, tylko najzwyczajniej na świecie powoli wychodzę, a powiem chyba już tylko do widzenia matce i babci, jeżeli to ma być dla pana dobre...

I złośliwie uśmiechnięty, władczy znika, zapowiadając się na sobotę; — „młody człowiek". Babci jest przykro — przypuśćmy, że to wszystko jedno, co myśli taka pani Gołębiowska, ale co myśli rodzony syn, to już chyba nie wszystko jedno?... Sabina i Tomasz uśmiechają się do siebie sztucznie — ach, przecież wiedzą, że nic nie przeprze niechęci małego mężczyzny do kochanka matki. Matka jest od tego, żeby kupowała synowi rower na raty, a nie żeby kochała się z jakimś tam Tomaszem...

Babcia też znika. W jasnych ścianach zapanowuje niepodzielnie ogromny Tomasz. Jest wielki i ciepły, jak matka dla dziecka, a przy tym pachnie mężczyzną i papierosami, które sam sobie napycha nad

drewnianą szkatułką. Jest ciężki i niełatwy do decyzji. W jego wielkiej, szlachetnie sklepionej głowie rodzą się bez cierpień i łagodnie zamierają piękne, niezrealizowane pomysły. Sabina już wie, że tak będzie — wita je z radością, jakby miały żyć, a potem grzebie je bez żalu — baczna tylko na to, żeby Tomasz się nie zmartwił, że znowu nic...

Ale pogodny Tomasz nie martwi się tym. On chyba nawet tak woli, bo oto nadchodzi mu już nowy pomysł — jeszcze szlachetniejszy, jeszcze lepszy — obraz, książka, dramat, film... Uskrzydlone myśli Tomasza przysiadają na jasnych meblach jak leciuchne ważki — jednodniówki o słodkim życiu i łagodnej śmierci: — obrazy, dramaty, książki, filmy...

Sabina pokazuje begonijkę: — To Jan mi przysłał — i cieszy się, że imię Jana nie mąci już całej jej istoty od stóp do głowy znajomym wzburzeniem. Skończone, skończone z Janem... Ach, jak Sabina się cieszy!...

Ale Tomasz smutnieje: — I po co on ci przysyła takie rzeczy? — mówi ponuro. — Po co ci przysyła takie rzeczy po tym wszystkim?

Jednak i jego zagarnia wdzięk „takiej rzeczy" — ach, dlaczegoż miałby być smutny?... Przecież wie?... No wie, wie, ale zawsze...

Co „zawsze"?... Już teraz Sabina najlepiej wie co „zawsze"... Sabina długo była niedorosła, ale teraz jest dorosła i za siebie, i za wielkiego, powolnego Tomasza, i za wesołego, szybkiego Jana, i za wszystkich... Wśród pięknych efemerycznych myśli Tomasza chodzi sobie odpoczywająca jak królowa po swoim jasnym pokoju — byle mądrze, byle w miarę, byle nie za bardzo, byle nie za bardzo...

— Powiedz mi, Tomaszu, jakim imieniem myślisz o mnie?

— Nie myślę o tobie żadnym imieniem, tylko całym sobą. Jeśli mi jest spokojnie i dobrze — to ty... Przecież jesteś jak sama radość...

Tomasz jest po prostu natchniony. Mało mu, żeby Sabina chodziła wśród jego myśli, czemu nie ma chodzić wśród kwiatów? Bo co by to szkodziło, żeby cały pokój był w kwiatach — w takich liściach begonii — matowoczarnych, czerwonych, srebrnych, nakrapianych, pomarszczonych — i wielkich, gigantycznych... Ach, i w bluszczach pokręconych jak liany, i w jasnych kaskadach szparagowców — pomarańcze też mogą być — tym lepiej, bo będą kwitły.

Wilgotne, miękkie dusze roślin, wilgotne oddechy ziemi w wielkich cebrach. Słodycz kwiatów.

Sabina już to widzi, Sabina już chodzi po tym jak po lesie — taki ogród w pokoju... — czemu nie?... Chwyta ją nagła tęsknota do ziemi...

— Kupimy sobie fikus, urośnie jak drzewo, i oleandry też... Wiesz, to jest drzewo mojego dzieciństwa. Opuncje też szybko rosną. Czy lubisz opuncje?

Tomasz ani lubi, ani nie lubi opuncji, bo nie wie dobrze, jakie one są. Sabina opisuje mu, że taki zielony placek na zielonym placku i jeszcze wiele takich placków, a wszystko osypane kolcami i z tego robi się taki gąszcz... Ach, jasny pokój na Filtrowej!... Tomasz panuje w nim niepodzielnie, ale nie za bardzo — byle nie za bardzo, bo Sabina już jest mądra, bo Sabina już nie chce cierpieć...

O jakiejś godzinie mówi mu: — No już idź, bo ja muszę się wyspać, inaczej będę na lekcji nieprzytomna... — I olbrzym posłusznie odchodzi. Tak, przecież Sabina pracuje, przecież Sabina musi zarabiać!

Ach, jasne pokoje na Filtrowej!... Wszystko

w nich jest przejrzyste, nie ma nic nieokreślonego. Na Freta były całe jakieś kupy czegoś niepojętego, jakieś walizki, kosze czy inne graty zwalone na stos, do połowy okryte starą portierą, jakby się same zrobiły ze starzyzny, z kurzu i z cudzych żyć w tym starym mieszkaniu. Gdy się zapaliło lampę pod zakurzonym kloszem, to wychodziły z kątów jak archiwa czy małe groby cudzych trosk, jak stare krewne zjawiające się z niewiadomo skąd, kiedy ktoś umiera w rodzinie i trzeba sprowadzić księdza. A tu w mieszkaniu na Filtrowej wszystko jest nowe i przezroczyste...

— Wiesz, Tomaszu, jak byłam mała, to się bałam, że z takiej kupy rzeczy za firanką wyjdzie złe jak we śnie...

— Bo tak jest, Sabino, bo właśnie z takich niejasności wychodzi złe.

Miał rację. Wyszło z nieokreślonych, niejasnych poszeptywań, niedomówień, zamilknięć w kuratorium. Nazywało się „przeniesienie na etat" na prowincję. Wyglądało strasznie, a zaniosła mu „to" do pracowni na niedzielę, na długo przygotowywaną, na oczekiwaną, na obmyślaną. Dotąd nosiła zawsze dobre słowa, tak jak wodę w stulonych dłoniach. Tomasz nazywał je wodą życia.

— A niedobrych słów to mi nigdy nie mów, choćbyś je nawet myślała, bo raz wymówione tracą swą wagę...

Przywitali się przy drzwiach, przywitali się w korytarzu, przywitali się w pracowni. Nie powiedziała nic.

Siedziała na jedynym fotelu, skulona. Było jej zimno. Tomasz kręcił papierosy z bibułki nad innym już pudełkiem.

— Nowy wdzięk mi przybył — śmiał się do niej

sponad tej skrzyneczki z tytoniem, po swojemu, pogodnie, a niewesoło, samymi tylko białymi zębami. Nic po niej nie zauważył.

Sabina zaczęła:

— Wiesz, Tomaszu, zdaje się, że teraz to już jednak... Właściwie to nawet na pewno... W lutym będę przeniesiona do Murszewic...

Tomasz nic nie powiedział. I nawet ręka mu nie drgnęła.

— No cóż... — zaczął po chwili — przypuszczam, że tam klimat równiejszy niż tu. Tam podobno ma być bardzo ładnie... „charoszaja strana"... — zaczął podśpiewywać.

Sabina patrzała na niego. No tak, Tomasz jest mężczyzną, nie ma wyobraźni do rzeczy złych, które nie przyjdą jutro, tylko dopiero pojutrze. A cóż dopiero „od pojutrza popojutrze"... Przy tym Tomasz nie lubi męczyć się na zapas. To tylko Sabina potrafi znakomicie męczyć się na zapas i wstecz, i na wszystkie boki. A teraz właśnie z tego wyrasta... ach, być mężczyzną!... być jak mężczyźni!... Nie męczyć się!... Więc cóż z tego, że nie będzie już Filtrowej? Przecież te Murszewice to też nie pustynia... „Charoszaja strana"... próbuje podśpiewywać razem z Tomaszem i nagle urywa, słysząc swój niepewny głos.

— Ale wiesz, kochanie — przypomina sobie — że ja nie będę mogła dziś być tak długo, jakeśmy przed tym mówili, bo będę musiała jeszcze masę rzeczy zrobić... wiesz, w związku z tym, co się tak nawaliło na mnie...

Dopiero teraz! Dopiero teraz zatrzepotały się w bezradnym przerażeniu wielkie ręce. Tytoń posypał się drobniutkim brązowym deszczem na rozrzucone kartki doskonałego rękopisu, który nie miał

nigdy oglądać drukarni... W poszarzałym nagle powietrzu zafruwały białe motyle bibułek i opadły na szkic obrazu, który nie miał być nigdy skończony...

Zmieniony głos powiedział: — Jak to, a nasza niedziela? Przecież pamiętasz, jakeśmy postanawiali...

Sabina patrzy na Tomasza: — aha, więc nie dość jest wyrosnąć z „męczenia się", trzeba jeszcze być dorosłą za lekkomyślnego Jana, który sam nie wie, jaki jest, i za poważnego Tomasza, któremu jest najwygodniej być takim, jakim właśnie jest...

Więc była już dorosłą aż do końca. Aż do samego wyjazdu. Poprzez wszystkie gadania — że to niby nie na długo, że trzeba się będzie jakoś stamtąd wydostać, że nawet mieszkanie weźmie byle jakie, byle blisko dworca... To znowu przez wszystkie odwrotne plany, że to niby Tomasz zlikwiduje wszystkie swoje tutejsze sprawy i pojedzie tam za nią... A co najważniejsza: — poprzez wszystkie niezlikwidowania tych spraw i nie pojechania tam za nią... Był może jeszcze jakiś wyłom w tej dorosłości, był...

W każdym razie z Filtrową skończone.

DALEKI ŚWIAT...

Daleki świat... Więc nie trzeba na to długich podróży do odległego miejsca ziemi, innego i pełnego dziwności? Nie muszą się tam kręcić Murzyni ani Lapończycy i gadać Bóg wie po jakiemu? Wystarczy zostać na małej stacyjce, pachnącej brzozowym drzewem ułożonym w sągi, pachnącej mrozem i słońcem, koleją i pobliskim lasem... Jest jak wszystkie stacje widywane z okien wagonu, gdzie na peronach stoją nie Sabiny, nie matki, ciotki, nie

stryjkowie Konstantowie, nie Ziutki i Niutki, i nie Alicje i panie Witkowskie, tylko jacyś panowie i panie, tylko jacyś ludzie, którzy nie wiadomo skąd przyszli i nie wiadomo dokąd odejdą w nieodgadnione swoje sprawy... A teraz Sabina do nich należy, i jest sobie też „jakaś pani", a może „jakaś kobieta", bo teraz to nic nie wiadomo — i stoi na peronie, koło swoich rzeczy, które wyglądają tylko jak „jakieś rzeczy". Jakby z odejściem pociągu, który je tu przywiózł, odszedł wszelki związek z domową pieczołowitością rąk, które je układały: nowa, porządna walizka (żeby przecież wyglądać jakoś, jak się „tam" przyjedzie), tobół z pościelą, z natury rzeczy niefortunny, a uświetniony pokrowcem w szare pasy, z monogramem wyszytym przez matkę łańcuszkiem i pocztowym ściegiem (D. M. C. wygotowało się w occie, choć to właściwie było niepotrzebne), żółte pudło z rzemykiem, niechętnie przez Sabinę widziany koszyczek z jedzeniem (zobaczysz, jak ci się przyda nie tylko w drodze, ale i „tam"...).

Tragarz przyjechał swoim wózkiem, ludzie się gdzieś porozchodzili, zapalono wczesne światła i po nich się poznało, że zimowy dzień już się zmierzchał. Jakiś dzwonek przestał dzwonić i po tym się dopiero poznało, że przedtem dzwonił... Sabina zostaje sama na szybko pustoszejącym peronie, jak jakaś Sabina w jakimś miejscu dalekiego świata, wyciekającego błyszczącymi szynami za pobliską granicę... i nie stoi za nią, za jakąś Sabiną, żadne czekanie matki w obskurnym mieszkaniu na Freta ani Tomasza w jasnym na Filtrowej, tylko najwyżej jakiś pokój, który „trzeba sobie będzie wynająć". Chodzi tylko o jedno: czy dać rzeczy do przechowalni i iść do dyrektora, a potem szukać pokoju,

czy dać rzeczy do przechowalni i szukać pokoju, a do dyrektora iść rano?

Rzeczy złożone na wózku wyglądają już nawet nie jak „jakieś rzeczy", tylko jak „wszystkie rzeczy" — i jak na wszystkich rzeczach urzędowe ręce na ladzie nalepiają klajstrem karteczkę z numerem... — żeby tylko nie na monogram — drgnęła Sabina nie słowami, tylko sobą — nie, ja tylko na rzemieniu — pozaurzędowo, odpowiedziała jej tamta ręka. I tak w okienku przechowalni, w obcym, zimnym zapachu dworca i podróży daleki świat zamknął się na chwilę dokoła Sabiny zwyczajną, ciasną domowością.

Ale kiedy pijąc potem herbatę w bufecie drugiej klasy ze sztuczną palmą i baterią zawsze tych samych butelek na środku stołu, zjadła niedobrą kanapkę spod klosza i zaczęła żałować, że nie wzięła z przechowalni koszyczka z jedzeniem i wahać się, czyby jednak tego nie zrobić, przyszło jej do głowy, że przecież może, na miłość boską, zjeść porządny obiad na mieście zamiast zimnego kotleta pachnącego koszyczkiem i domem i od razu zrobiło się jej mimo wszystko wesoło. Szeroki świat!...

Rozpakowała koszyczek dopiero wieczorem, na tym nowym mieszkaniu na Dworcowej. Ściany były żółte i czyste, świeżo odnowione. Podłoga aż błyszczała. Pełno było serwetek, podstawek, kapek z napisami. Sabina z początku chciała to wszystko usunąć, ale potem dała spokój. Stara Szulcowa w filcowych pantoflach nakryła pięknie stolik i przyniosła jej herbaty.

Za czystym oknem starannie opatulonym w cały system firanek, stor i zasłon stała nocna, pusta o tej porze ulica z brukiem, chodnikiem i latarniami — wszystko nieoczekiwanie porządne jak na tak małe miasto.

Sabina usiadła na zielonej kanapie z drewnianą ramą, na której stały różne piękne rzeczy, i wzięła na kolana czarnego kota. Nie wiadomo, skąd się tu wziął.

— Pewnie wszedł za mną, bo on tak chodzi jak pies — nieśmiało tłumaczyła Szulcowa — zaraz go zabiorę. — Nie, nie szkodzi, ja lubię koty — i Sabina w zamyśleniu gładzi jego ciepłe, wibrujące mruczeniem cielsko. Nagle ręka jej znieruchomiała, przeczekując dudnienie dalekiego pociągu: rosło, jakby napełniało cały dom — to tu tak słychać wszystkie pociągi? — zdziwiła się Sabina. Nie zdawała sobie sprawy, że po długim kręceniu się po mieście znalazła się znowu tak blisko dworca. Szulcowa jakby się zmieszała: — w dzień tak nie słychać, tylko wieczorem i w nocy... jak kto nie śpi — dodała po chwili — ale my to nawet lepiej śpimy, jak tak słychać pociągi. — Mnie to też nie szkodzi, i owszem — uspokoiła ją Sabina. — Dobranoc — odpowiedziała Szulcowej zamykającej cicho drzwi za sobą, z kotem na ręku. Było jej tak, jakby zostawała sama ze swoim życiem.

Dopiero teraz. Dopiero teraz zaczęło się na dobre. Na całego. Jakby tamto aż dotąd było niczym. Dopiero teraz się okazało, jak to naprawdę wszystko jest tam na Filtrowej: matka szuka lokatorów, obcy ludzie wtargną do jasnych pokojów pełnych Tomasza, słońca i nowego życia Sabiny, a ona, Sabina, leży tu w tym nieznajomym pokoju pełnym głupich jakichś ozdób, pełnym idiotycznych wyszywanych napisów na „biegnikach" i ręcznikach — leży pod pierzyną, z której wszystko pierze ucieka gdzieś w dół i piętrzy się jak góra na nogach, a zimne jak lód ręce podciągają pod brodę, pod samą rozpaloną twarz pustą wsypę, pachnącą obcością, pra-

niem i chlorkiem. W głębi mieszkania otworzyły się jakieś drzwi i zaraz zamknęły, ktoś coś powiedział, nie wiadomo co. Za oknem rozległy się spóźnione kroki, nienaturalnie głośne w pustej ulicy, ktoś coś śpiewa po pijanemu — i wszystko razem tonie w dalekim szumie nadlatującego pociągu. Szum rozszczepia się na dudnieniu, dudnienie rozrasta się w huk, jakby się cały dom miał zawalić... i właśnie o tej chwili nie wiadomo dlaczego staje się jasnym, że Tomasz nie przyjedzie ani tym, ani żadnym innym pociągiem. Zresztą... czyż nie wiedzieli tego oboje? A jeśli mówili, że będzie inaczej, to tylko dlatego, żeby jakoś łatwiej to wszystko przeszło.

A teraz w tym obcym mieście Sabina w za szerokim i zimnym łóżku obejmuje ramieniem poduszkę dziwnie małą, twardą i nieprzychylną — (tu chyba jest taki zwyczaj, że używają takich małych poduszek?) — i mokrą od łez twarzą natrafia na ogromny, sztywny, atłaskiem wyszyty monogram (czy to Szulcowa rano nie zauważy, że poduszka jest mokra od łez).

To jest po prostu coś okropnego, żeby człowiek tak sobie dokładnie, tak zupełnie wyobrażał coś, czego nie ma i nie będzie? Żeby tak strasznie czegoś chciał, i żeby to chcenie rozbijało się jak o mur, o śmieszną poduszkę pani Szulcowej z monogramem wyszytym na sztywno... Nie, Sabina już tego nie wytrzyma — na miłość boską, dlaczego tak miałoby być?... Czy dlatego, że wszystko się zmienia?... że ucieka przez palce i niczego nie można utrzymać w rękach?

Ale jeżeli wszystko się zmienia, to i to musi się zmienić — i zbuntowana Sabina uniósłszy się na łokciu, przyszłym ruchem ostatniej Sabiny wpatru-

je się w szarawą ciemność uważnie, bystro, czujnie, jakby za chwilę miało się coś stać. No tak, dobrze, wzięła ten pokój tuż przy dworcu, bo przecież długo nie będzie tu popasać, ziemię i niebo poruszy, żeby się stąd wydostać. Przecież jeszcze, u licha, ma jakichś znajomych w kuratorium, chyba jeszcze może coś zrobić... I to prędko, i to zaraz, zanim matka odnajmie mieszkanie na Filtrowej, zanim porozmieszcza, porozprasza po znajomych jasne meble, wybierane razem z Tomaszem. Zanim Tomasz... zanim Tomasz ktoś... zanim Tomasz z kimś...

Ach, więc o to Sabinie chodzi?... więc na nic poszła nauka całego życia, na nic wszystkie ochronne „byle nie za bardzo", „byle się nie męczyć"?...

Bo właśnie rozdarta znajomą męką opada znowu twarzą w mokrą już od łez, twardą poduszkę pani Szulcowej.

Bo po prostu strach pomyśleć, jak się te wiosny marnowały w Warszawie i wcale ich nie było znać. Bo po czym? Może po tych bukiecikach z niby to białych, a zielonkawych z zimna pierwiosnków, otoczonych małymi, sztywnymi rózgami mchu? Pachniały nie wiosną i lasem, tylko wiatrem i biedą, bo dłużej było ich życia w koszu u przekupki niż na ziemi.

Co innego tu. Kiedy Sabina rano szła do szkoły, brzozowy lasek nad tartakiem był jeszcze nagi jak w zimie, a kiedy wracała w południe, to już stał w drobniusieńkich, delikatnych listeczkach, jak w drżącym, migocącym deszczu z jasnej zieleni. Z ławki na skwerku pod ogromnym czarnym jeszcze krzewem śnieguliczki podnosi się Michał. —

A co, wiosnę mamy? — tryumfował, jakby to była jego zasługa — a może naprawdę było w tym coś z jego zasługi. Może? — śmiała się Sabina, a Michał zaraz pędził do swojej szkoły, bo miał masę roboty. Wpadł tu tylko na chwileczkę, po lekcjach, żeby się z nią zobaczyć jeszcze przed obiadem — przyjdę jak zwykle — wołał, zbiegając prawie z górki, bo całe to miasto tak leżało: to w dole, to na górce...

Dziewczynki znosiły do szkoły kwiaty dla „swojej pani". Z początku małe bukieciki, potem coraz więcej. — Czy pani wie, że na mokrej łące za cegielnią już kwitną kaczeńce?

Sabina nie wiedziała. — Czy być może? Przecież to jeszcze za wcześnie na kaczeńce? — Więc przyniosły trochę, żeby ją przekonać. Były zbite w pęczek, skurczone i było ich tyle, że Sabina nie mogła już ich sama zabierać i dziewczynki odprowadzały ją do domu ze szkoły, dźwigając całe naręcza kwiatów. Wchodziły tak ze słońca do ciemnego, głębokiego pokoju i zatrzymywały się przy drzwiach z kwiatami. Nie wiedziały, gdzie je położyć.

— Połóżcie je tymczasem byle gdzie i siadajcie — wołała Sabina — albo może do miednicy z wodą, żeby trochę ożyły... ja tu zaraz coś wyszukam...

I krzątała się po tym ciemnym pokoju z żółtą podłogą i chodnikami ze pstrych szmatek. Po małej, wesołej i jasnej kuchni. Dziewczynki skwapliwie przysiadały na kanapie w białym pokrowcu. Rozglądały się.

— A takie chodniki z szmatek to robi ta Mikulska na Bydgoskiej. Matka tej naszej Mikulskiej z pierwszej klasy — mówiła jedna.

— Idźże, idźże — odpowiadała druga — to na pewno robiły kobiety z przytułku. Bo w przytułku też takie robią, i to taniej wychodzi.

Przez chwilę spierają się o to, skąd te chodniki: od Mikulskiej czy z przytułku. Potem przechodzą na inne roboty. Kwaśniakówna zachwala siatkowe: jej starsza siostra chce „dorabiać" sobie takimi robotami, jak wróci z pracowni. Będzie je oddawała w komis do sklepu Nürnbergowej koło apteki.

— Dużo tam kto kupuje u tej Nürnbergowej — krzywi się Michalakówna — taka piękna serweta „lasetem" na „florze" wisi już chyba będzie z pół roku, i pies kulawy o nią nie spyta... teraz nie takie czasy, żeby ludzie robótki kupowali!...

Ale już po chwili zaczynają się troszczyć o to, czy Sabina ma aby dobre obiady? czy jej nie wyzyskują? Bo jeżeli niedobre, to tam na Małym Rynku wydaje jedna... „Podobnież bardzo są z nich zadowoleni"... Niektórzy też chwalą u Cieplicha pod Białym Orłem, ale toby może za drogo wypadło!...

Teraz znowu o mieszkaniu: czy tu aby jest ciepło w zimie? Czy nie za drogo opał wynosi? Że też ten Zarubowicz nie chce wyciąć drzew pod oknami? Przecież od tego wilgoć „się zaprowadza"... Pani od robót i od śpiewu, co tu mieszkała dawniej w tym pokoju, zawsze mówiła, że tu jest wilgoć i ciemno... — to ona tu mieszkała? A ja myślałam, że u Cieluchowej na Brodnickiej!... — Idźże, idźże, na Brodnickiej mieszkał Myszkiewicz, ten ze starostwa... — a pani od robót teraz mieszka u Bujczyńskich za składem trumien. Dobrze tam ma, tylko że te trumny ją straszą. — Eeee, głupstwo! — Kwaśniakówna nie wierzy w takie rzeczy. — Jak kto ma umrzeć to i tak umrze... znakiem tego, że ta stara Michcińska...

Sabina chodzi po pokoju, rozmieszcza kwiaty po naściąganych ze wszystkich kątów garnkach i dzbankach i przysłuchuje się: w ich wieku jakże

daleką była od takiego gadania! W jakiejże żyła magii dzieciństwa! I teraz jeszcze... a one, czyż nigdy nie były dziećmi? Gadają jak stare...

W końcu wychodzą, oglądając się i ociągając, z książkami „żeby było co do czytania" dla matek, którym będą musiały głośno czytać... Sabina zostaje sama, bo Teofila poszła po obiad. Kładzie się na kanapie, podkładając sobie pod głowę miłą, brzydką poduszkę z krasnoludkami i muchomorami. „Lasetem na florze" — przypomina sobie, co tamte mówiły, i odwraca poduszkę na aksamitną stronę. Przytulona policzkiem do przymilnej gładkości, patrzy, senna, spod przymrużonych powiek. I teraz, kiedy w swoim łóżku myśli o tamtym pokoju na Piłsudskiego, to widzi go tak samo jak wtedy, kiedy patrzała przez rzęsy, leżąc na kanapie i czekając na obiad.

... może nie tyle ciemny był ten pokój, ile pełen leciutkiego, zielonkawego cienia od zaglądających w okno drzew — jakże to dobrze, że ten Zarubowicz nie chce ich wyciąć — przy czym wydaje się, że przeciwległa ściana ze stojącymi przy niej fotelami w białych pokrowcach jest bardzo daleko. Na staroświeckich stolikach pod szydełkowymi serwetkami stoją w byle co powstawiane kaczeńce — przecież Sabina nie ma tylu wazonów, skądżeby!... — na głębokich talerzach mokną niezapominajki przyciśnięte kamieniem — trzeba będzie już raz wybrać się na rynek w dzień targowy i nakupić garnuszków glinianych i dzbanuszków na różne kwiaty — dziewczynki tyle tego przynoszą.

Na ścianach wiszą fotografie krewnych z Ameryki, Zarubowiczów, wiszą potworne drewniane ramki laubzegowej roboty, ale Sabiny to nie razi, Sabiny nic nie razi w tym mieszkaniu... jest cicho,

jest dusznawo od kwiatów i od lekkiej stęchłości, czy od zamierzchłej jakiejś domowości, która napełnia ten stary dom w ogrodzie. Jest przyjemnie — Michał przyjdzie nad wieczorem! W otwartym, niskim oknie ciepły wiatr porusza siatkową firanką, która się tak podobała Kwaśniakównie, ciepły wiatr nawiewa pokój sadem i pogodą — przyjdzie Michał! I nie trzeba nań czekać, przyjdzie na pewno i wszystko samo się zrobi...

W kuchni Teofila szczęka już menażkami, Sabina jest bardzo głodna: ciekawe, co jest dzisiaj na obiad? Na ogół Machnicka stara się bardzo, nie można powiedzieć... Kto to? Panna Maria?

Wsuwa się po swojemu przez kuchnię, przyklęka przy kanapie — niechże się pani nie podnosi, niech pani odpoczywa!... — Kiedy ja i tak muszę wstać do obiadu, panno Mario! — To ja pani tu podam, dobrze?

Z bliska patrzy Sabina w otwartą, młodą, wymizerowaną twarz. W dobre oczy. Może ona by i ładna była, ta panna Maria, gdyby choć trochę przytyła, gdyby nie nosiła ciągle tej swojej brązowej sukni, przybranej, to znaczy nadsztukowanej i poszerzonej czymś ciemniejszym. Jednym słowem, gdyby nie miała na karku czterech osób — matki i tych trzech bizunów braci — muszę powiedzieć Michałowi, żeby się z nimi rozmówił...

— Zje pani ze mną obiad, panno Mario... Podzielimy się, Machnicka zawsze daje tak dużo!...

— Za nic w świecie — i Sabina już wie, że jej nawet najgłodniejszej nie namówi.

— Ja tylko przyszłam prosić na jutro... Będzie popis moich dzieci z przedszkola... Pani wie, jak mi na tym zależy, żeby to jakoś wypadło!...

— Och wiem!...

— I pana kierownika pani namówi... Od niego tyle zależy!...

— Pana Michała... Och tak, na pewno namówię!...

Gładzi jej nigdy nie ondulowane włosy. Ładne są. I czemu ona, biedulka, nikomu się nie podoba — gdyby zechciała sobie przerobić moją beżową suknię — ale tego nie można jej nawet zaproponować... Może by jej Michał mógł wyrobić u Nürnberga, żeby mogła brać na małe raty...

Frontowymi drzwiami od ganku wchodzi dyrektorowa skłopotana, zaaferowana, szara jak mysz. — Pani Sabino kochana, przyjdzie pani jutro wieczorem, ale koniecznie? Bo bez pani to nic nie ma... i pana Michała pani ze sobą przyprowadzi. Z panią to on przyjdzie, a jak ja go poproszę, to powie, że nie ma czasu...

Sabina się śmieje... ach, jak Sabinie jest wesoło! — Kiedy on naprawdę jest bardzo zajęty, proszę pani: te odczyty dla rodziców, wie pani? A koniec roku, a egzamina...

— Wiem, wiem!... i ten ogród przy szkole — martwi się dyrektorowa — ale pani go namówi, prawda? Bo jak was nie ma, to nic nie ma!...

Powiedziała: „was"! Powiedziała: „was"! Podchwytuje coś w Sabinie jak sama radość, zmieniająca każdą rzecz w pokoju, że aż warto jej się przyjrzeć na nowo... — Co tu zawsze kwiatów u pani! — wzdycha dyrektorowa. I kiedy tak się kręci po pokoju, zanurzając nos to w kaczeńce, to w niezapominajki, zasuszona i niepozorna, to wygląda tak, jakby dopiero tu dostrzegła, że jest wiosna. Tu, w tym ciemnym pokoju.

— Gdybym wiedziała, że pani je obiad, tobym przyniosła pani kisielku żurawinowego, bo właśnie mieliśmy dzisiaj. A pani lubi?

Sabina śmieje się, a panna Maria patrzy na nią z dziecinną powagą swymi poważnymi, młodymi oczami, którym jest nie do śmiechu... Na pewno myśli, że nie ma z czego — czuje Sabina i śmieje się jeszcze bardziej: — A pani lubi?

Dyrektorowa macha ręką — ja już sama nie wiem, co ja lubię, a czego nie lubię... robię to, co „oni" lubią, bo zawsze narzekają, że im daję jedno i to samo... Pani co innego: pani jest wolna, wesoła...

Sabina znowu się śmieje: — dosyć ja się już nastrachałam w życiu tych różnych „onych"... ale przecież wszystko się zmienia, no nie?

— U mnie się nic nie zmienia — wzdycha panna Maria. I tym razem wesoła Sabina i zgryziona dyrektorowa zgadzają się na jedno, że się jeszcze zmieni, zmieni się na pewno... Milkną wszystkie i siedzą cicho. Każda myśli o swoim...

Ciepły wiatr porusza firanką, Teofila z kimś gada w kuchni. Sabina nasłuchuje: może to Michał przysłał tego człowieka, żeby się z nim rozmówić o nawóz? Ach, co to wyrośnie na tym nawozie w „ich" ogródku!... i znowu ten czerwony kisielek żurawinowy: lubi, wszystko lubi! Patrzy na dyrektorową uśmiechnięta: ta pewnie się gryzie jutrzejszym obiadem, dwójkami i chorobami dzieci, płochym swoim dyrektorem... patrzy na pannę Marię, jak coś kalkuluje, oblicza w myśli... zbiedzoną swoją młodość?

Czy to wiatr mocniej porusza firanką? Nie, to ręka w granatowym rękawie od nowiutkiego kostiumu, to kostium, to złote zęby, to rumieńce, to woaleczka, kapelusz, zdyszany oddech, torebka, paczki — to cała aptekarzowa zagląda w niskie okno. — A cóż, panie, siedzicie tak cichutko? Myślałam, że nikogo nie ma — śmieje się, i od razu robi się tak, jak od widoku wielkiej bani z czymś niebieskim

w oknie apteki naprzeciwko kościoła. — Teraz tak ładnie — proponuje aptekarzowa — czybyśmy się nie zabrali wszyscy razem jutro, przy niedzieli do lasu? Wozem! Konie wypożyczy się u tych braci Kminkowskich... Co to, Teofila tak wyśpiewuje w kuchni? Przecież to ta sama Teofila, co służyła u Pianków, taka zawsze była ponura, Pianko zawsze żartował, że wygląda jakby go chciała utopić w łyżce wody... Tak, tak, przy pani Sabinie to każdy musi poweseleć... Spotkałam pana Michała, ale się okropnie śpieszył, leciał umawiać się z Gancem o tę salę na odczyty, i do starostwa, że chce robić dla swojej szkoły to boisko za cegielnią... nawet mu nie mówiłam o tym projekcie, bo zaraz by odpowiedział, że nie ma czasu, a tak to pani go namówi... Boże, jak ten człowiek ciągle coś musi organizować... no co, jedziemy? — aptekarzowa już jest bez tchu...

Dyrektorowa sama nie wie: bo co powiedzą „oni"? Panna Maria nie bardzo ma w czym jechać... ale Sabina chce, okropnie chce!

— Jedziemy! Jedziemy! Jedziemy!

I zaraz dyrektorowa nabiera animuszu: cóż u licha? Przecież raz w życiu może się chyba ruszyć z domu? Widocznie w lesie musi być naprawdę ślicznie, jeżeli dziewczynki przynoszą stamtąd tyle kwiatów... Panna Maria kombinuje, kombinuje: może by od biedy dało się pojechać w tej granatowej sukience w kropki? Przyszyłoby się biały kołnierzyk... ostatecznie na jazdę wozem nie trzeba takich znowu strojów!...

— Jedziemy!

Michał przychodzi późno, już po odejściu wszystkich tych pań. Zlatany. Zmęczony. Wynajął salę. Sprowadza prelegentów. A co do boiska, to jeszcze

nie wiadomo, jak będzie, bo starostwo, bo wydział, bo to, bo owo... ano, zobaczymy! Michał nie zwykł ustępować. A postanowił, że jego dzieci będą przez całe lato szaleć na boisku... Doświadczalny ogród też zrobi. A czy przychodził tu ten człowiek z furą nawozu? I zaraz woła Sabinę do ogrodu: trzeba obmyślić, jak i co: tu rozrzucić, tam skopać...

— A to, to ja już sam zrobię raz dwa!...

— Teofila skoczy do Gruchały, żeby naostrzył gracę! A czemu to sadzone nie pod sznur? Jak tylko ja odejdę, zaraz zaczyna się jakaś fuszerka... — No nie, już dobrze, już dobrze... Za rok będziemy mieli na otwarcie półkolonii własne truskawki... Pomówić z tymi chłopami od Marii? Draby to są: już ja się nimi zajmę, ale nie wiem, czy będą z tego zadowoleni. Iść na popis przedszkola? No można iść, jak chcesz, ale grunt to, żeby coś dla niej znaleźć na lato, biedna z niej dziewczyna! Co? Do lasu znowuż jechać? Doskonała ta aptekarzowa! — Spotkałem ją, to mi nic nie powiedziała...

— Bała się, że powiesz, że nie masz czasu... prosiła mnie, żebym cię namówiła. Dyrektorowa też...

— Wszystkie te baby, jak się boją ze mną mówić, to posyłają ciebie — chełpi się ze śmiechem, stojąc wsparty na łopacie w bruździe, z której „wybrał" właśnie ziemię na grzędę pod ogórki, tam gdzie ma się nawóz kłaść. I w tym zapadającym, ciepłym wieczorze, w zapachu poruszonej ziemi, zwalonej pod płot kupy nawozu, w obliczu tych przyszłych ogórków, czereśni, jazdy na słomie przykrytej pasiatą derką, glinianych dzbanków na kwiaty, Sabina nie może nie myśleć o tym, że życie jest prostsze niż wtedy, kiedy miała piętnaście lat. — Muszę też kupić miskę na niezapominajki — postanawia i jednocześnie odpowiada Michałowi na tamto, niefrasobliwie:

— Bo wiedzą, że mi nie odmówisz...

— Nie odmówię? nie odmówię? — i wobec wracającej z gracą Teofili zaczyna innym głosem: — ma pani co dobrego na kolację, pani Sabino? Głodny strasznie jestem, nie miałem dziś nawet czasu porządnie zjeść... — i znowu zabiera się do roboty, aż mu się pali w rękach...

Sabina się śmieje: ach jak ją wszystko teraz śmieszy. Naradza się z Teofilą, chichoczącą z pożądliwym uznaniem: — panu kierownikowi należy się co najlepsze, bo robi za trzech!...

Pracują do ciemna. Jest tak ciepło, że Sabina niepokoi się, czy nie będzie deszczu na jutro.

Michał rozgląda się po niebie — nie, to błyska na pogodę — decyduje. A po kolacji sądzi, że już mu nie warto wracać do domu, skoro mają tak wcześnie wstać... przecież już niedługo zacznie świtać...

Patrzy na Sabinę.

Sabina odpowiada po prostu:

— Naturalnie, że nie warto...

ZMIERZCH

Helena zdejmuje z małego, trzcinowego fotela matki jakieś rzeczy, które najniepotrzebniej na świecie tam leżą, i zasiada przy łóżku. Niełatwo jest teraz rozmawiać z Sabiną, niełatwo... tak rozważając, zaczyna pogodnie: — dawno już nie miałam chwili czasu, żeby tak posiedzieć przy tobie.

Sabina milczy.

— Inna sprawa, że ty teraz często tak wygląd-

dasz, jakbyś była zajęta... jakbyś nie chciała rozmawiać... — ciągnie dalej już mniej pewnie.

Sabina milczy: jak ci zdrowi nie mają pojęcia o rzeczy! Oczywiście, że jest zajęta, ale to wcale nie przeszkadza jej rozmawiać, wszystko słyszeć, wszystko widzieć, co się dokoła niej dzieje. Na przykład jak doskonale widzi ten pokój: zupełnie jakby już leżał na boku od codziennego traktu pozostałych trzech pokoi z kuchnią. Nie tylko stolik, ale już wszystko zarasta w nim gratami. Niedługo będzie jak na Freta...

— Dzień się już wyraźnie przedłużył — zaczyna znowu Helena i tym razem Sabina podejmuje temat: tak, tak, do niedawna jeszcze o piątej nie było wcale prawie widać tej maminej żółtej szafy, a teraz... Biurka nie widziało się już prawie, jakeście wstawali od stołu... — i nagle kończy ze wstydliwym uśmiechem:

— A to biurko to chciałabym, żeby było... potem... dla Kazimierza...

Jest tak, jakby popełniła niewłaściwość. I starsza siostra naprawia ją spokojnie:

— Trzeba będzie się znowu dowiadywać o ten pokój od gospodarza. Bo jak tylko będziesz zdrowsza, musisz już mieć swój kąt. I tam się postawi wszystkie te rzeczy po mamie, i to twoje biurko, i co tam jeszcze jest z Filtrowej...

Więc niewłaściwość już jest naprawiona. Znowu gadają pogodnie o tym pokoju z wejściem od schodów. Teraz mieszka w nim szwaczka, ale ma się podobno wyprowadzić do ciotki, która ma duże mieszkanie. I o gospodarzu; czy można mu zaufać, że on nikomu innemu nie wynajmie? I że trzeba będzie ten pokój odnowić, i że skąd wziąć pieniędzy? Z ubezpieczeń jeszcze się przecież należą... i stąd,

i zowąd... że doktór tyle kosztuje? Ach nie, przecież ten poczciwy Rozencwajg już za dwie wizyty nie chciał wziąć... Tak, ale Sabinie jest to bardzo przykre. — Nie, nie martw się tym. Dasz mu jaki prezent... Tylko trzeba będzie już coś naprawdę ładnego...

Dzień się wydłużył, ale żółta szafa pociemniała już i zmatowiała, jak wczoraj, jak pozawczoraj. Tylko lewa strona drzwi lśni, jakby się w niej odbijało jakieś światło. — Skąd jest to światło na szafie? — nagle pyta Sabina.

— Na jakiej szafie? Ach, na tej... — zastanawia się Helena — poczekaj, to chyba będzie od tej latarni w podwórzu na prawo od bramy... Stróż zawsze najwcześniej ją zapala...

Milkną obie. I dopiero teraz widzą, że w pokoju jakby ktoś potrząsnął mrokiem, a najgęściej przy sprzętach: biurko w kącie wygląda już jak bezkształtna kupa czegoś, to jasne biurko, które kupowali razem z Tomaszem na Filtrowej...

— Powiedz no mi... bo nie mogę sobie przypomnieć — rozważa Sabina — jak to ja długo mieszkałam wtedy z mamą, po przyjeździe z Murszewic?

— Wtedy? Czekaj — znowu mówi Helena — zaraz: mama umarła dwudziestego października... więc to musiało być jakieś sześć tygodni... A dlaczego pytasz?

— Nic, nic (tego nie można chyba zaliczać do mieszkań). Ja sobie tylko tak przypominam różne rzeczy... A ten maminy fotel to wyście od razu wzięli tu, czy on był na składzie?

— Ten fotel? Zaraz... nie, on nie był na składzie, tylko razem z mamy rzeczami u Rajmanowej... Ale po co ty to teraz — niepokoi się Helena. (Tak się dobrze rozmawiało i było całkiem zwyczajnie).

— Nic, nic, ja tylko tak pytam...

Ale tamta zwyczajność już się przerwała. Milkną obie. — Nie, stanowczo tamtego wszystkiego nie można liczyć. Ostatnie prawdziwe mieszkanie to było tamto, na Piłsudskiego 2...

Helena siedzi plecami do okna i niewyraźnie widać jej twarz. Znowu zaczyna mówić. O Halince, że kocha się w niej jeden z kolegów. Jeden z tych, którzy po nią przyszli, kiedy to szła na bal... — w tej twojej beżowej sukni, pamiętasz? ten wyższy...

Nie, tego wyższego Sabina nie przypomina sobie. Niższego też nie. Zamyka oczy i słucha, jak Helena coś wyjaśnia, że jakiś drugi także, ale ona, Helena, nie przywiązuje do tego żadnej wagi. Sabina otwiera oczy i chce też o tym mówić, ale nagle przychodzi jej coś innego do głowy, od czego słowa Heleny robią się dalekie, od czego cała Helena oddala się razem ze swoją bielejącą w zmierzchu twarzą i domowymi sprawami.

Już jest prawie ciemno. Ale to, co było najciemniejsze i najbardziej matowe po kątach i wzdłuż ścian, zaczyna teraz połyskiwać różnymi odblaskami rozświecających się z zewnątrz okien i latarń. Na kaflach pieca. Na ścianach. Na politurze mebli. Coraz to coś nowego. Jakby te światła z zewnątrz odepchnęły mrok od ściany, nagle rozjaśnionej, a przekreślonej ciemnym krzyżem przeciwległego okna. Jakby go wypchnęły na środek pokoju, żeby się czepiał łóżka Sabiny, razem z trzcinowym fotelem matki i mało już co widoczną Heleną. Czemu ona nie zaświeca lampy? Ach, dawniej to się nazywało, że „Helena lubi szarą godzinę"... Mówi teraz o Marysi, że się nauczyła kłamać, o Stasi, że ciągle lata na wiece i czyta broszury, o Karolu, że kaszle

i nie chce się leczyć, ale że to na pewno wszystko od papierosów...

Wpatrzona ze swego mroku w ten okienny krzyż na ścianie, Sabina słucha jej głosu oddalającego się bardziej, coraz bardziej...

Bo oto, co jej przyszło do głowy, co poczuła, choć wiedziała o tym dawno: że właśnie to jest jej ostatnie mieszkanie...

Część trzecia

PO SŁUŻĄCYCH

Nie wierzę

AJ — WAJ — MIR!

Z mieszkaniami skończone. Sabina oddycha, jakby odwaliła za siebie ciężką robotę. Nie, nie całą robotę, tylko część... bo przecież nawet woli, żeby jeszcze było dużo do przemyślenia, żeby jeszcze nie był koniec... no, czyż nie? Na przykład taka rzecz: z mieszkaniami, zdawałoby się, skończone. Ale w każdym mieszkaniu była kuchnia, a w każdej kuchni był piec kuchenny i paka z węglami. A pomiędzy piecem a paką tkwiła służąca i była jak ten piec i jak ta paka, jak łóżko i stół, i szafa, jak obiad i buty, jak wszystko, bez czego nie można żyć... Tkwiła a czasem „latała", a jak „wyleciała", to gdzieś „siedziała" i to właśnie wtedy, kiedy powinna była jak najbardziej tkwić i podać Sabinie herbaty. A kiedy Sabina chciała drugiej szklanki, to okazywało się, że jest właśnie „dolane"...

I do każdej z nich mówiło się „ty" i „żeby mi"... a już w najlepszym razie „żeby Leosia"... I o każdej z nich mówiło się przy niej samej po francusku, i każda miała przy tym taką twarz, jakby rozumiała, i Sabina, jak była mała, zawsze się wstydziła i bała się, że ona jednak jakimś cudem rozumie... Ale dorośli już się nie wstydzą takich rzeczy. Więc się mówiło o każdej, że wprawdzie to i owo jest źle, ale lepiej już to znosić cierpliwie, niż zmieniać, bo te ciągłe zmiany to też na nic... Może być jeszcze gorzej, a tak, przynajmniej wiadomo, jak jest.

I o każdej okazywało się w końcu, że właśnie nie wiadomo, jak jest... Modestowa...

Ach, nie! Modestowa to co innego... Modestowa nie tkwiła nigdy pomiędzy piecem kuchennym a paką z węglami. Przede wszystkim dlatego, że tam w ogóle nie było paki z węglami, tylko „drewutnia", miła drewutnia, pełna pachnącego brzozowym drzewem mroku, pełna tajemniczości, jak strych... Drewutnia, gdzie można się było chować przy zabawie w chowanego, bo nie było „wymówione"...

Ale przecież Modestowa nie jest najdawniejsza. Jeszcze na długo przed nią, z czasu najgłębszego dzieciństwa, jak z oparów wyławia Sabina zapach perkalowego kaftanika, korali nasyconych ciałem spracowanych rąk, brązowych od słońca, zapach całej niańki, wielkiej i ciepłej... Ach, ta znajoma szorstkość samodziałowej spódnicy! W niezawodnym bezpieczeństwie jej fałdów małe nogi radośnie tupotały po dwóch dudniących, ruchomych jak klawisze deskach, wiodących przez błoto od dworu do kuchni, jak po czarodziejskiej drodze!... Dwie deski wprowadzają w szczęśliwe, mroczne ciepło, pachnące chlebem i machorką, ktoś przygrywa na organkach, jakieś wielkie ręce porywają Sabinę, unoszą w górę, w dół, w górę, w dół, wysoko — wysoko, aż pod sam zakopcony, czarny od much sufit, w zawrotną, łachotliwą, zanoszącą się od śmiechu radość:

Pryi-chały pany-czy
Hrycza-nyki nape-czy-y...

Wielka noga w zrudziałym bucie z cholewą u kostki sfałdowaną równo jak harmonia przytupuje:

Hop, moi hrycza-nyki
Hop, moi my-ły!
Czohoż moi hrycza-nyki nacze-reni-siły!

— Co to znaczy „na czereni"? — zapytuje Sabina. Ale już „na pokojach". Ale już kiedyś dużo później.

— To znaczy, że takie ciasto... opadło w piecu, jakby było z zakalcem...

— To czemu oni nie śpiewają tak?

— To czemu oni nie śpiewają jak?

— No tak, że ciasto opadło w piecu, jakby było z zakalcem?

— Ale przecież oni śpiewają po chłopsku...

— Ach prawda... — Sabina milknie zawstydzona. Dorośli się śmieją: że też dzieci nie wiedzą najprostszych rzeczy...

Znowu ten sam opar. Odsłania się. Bose stopy przyplaskują o ubite gliniane klepisko. Wielkie kolano galopuje coraz prędzej, coraz prędzej...

Jedzie, jedzie pan, pan
Na koniku sam, sam...

Łachocząca radość przyczaja się, przycupnięta w oczekiwaniu:

Jedzie, jedzie chłop, chłop...
Na koniku hop, hop...

Jeszcze nie to, jeszcze nie to najlepsze, ale już zaraz, tuż-tuż...

Jedzie, jedzie Żyd, Żyd
Na koniku hyc, hyc...

A za Żydem Żydó-weczki
Pogu-biły paty-neczki...

Już zaraz!... Przycupnięty śmiech zaczaja się, żeby już-już, na całego wybuchnąć:

Aj-waj-mir!

No tak. Żadnej twarzy, nic wyraźnego. Tamten śmiech, różowy kaftanik, bosa stopa, wielki but, pachnące machorką duszne, szare ciepło „ludzkiej kuchni" znowu zachodzi oparem jak mgła i tylko słychać jeszcze:

Hop, moi hrycza-nyki
Hop, moi my-ły!

Jakby przejechał i oddalał się, i przycichał kolorowy zaczarowany korowód dzieciństwa. I to najśmieszniejsze:

Aj-waj-mir!

— Oto, jakie mam najdawniejsze wspomnienie z mniejszości narodowych — dowcipnie myśli Sabina na łóżku, jakby opowiadała komuś, i uśmiecha się, smutna — z mniejszości narodowych...

A teraz:

MODESTOWA

...siedzi za stołem wielka, wspaniała, w innej już, ciepłej, sennej kuchni, tak samo czarnej od much. Nadąsana, niechętna. Popija herbatę — od rana jeszcze nic nie miała w ustach. Bezczynna, z rękami na ogromnym brzuchu, niechętnie patrzy, jak chuderlawy Ostap układa w wazonach ostatnie letnie

kwiaty o za krótko ściętych łodygach: georginie, astry...

— Panna pamięta, jak będzie kiedyś robiła bukiety: czerwone zawsze do środka, białe po bokach. Ot, jak.

(Do dziś dnia Sabina pamięta. Nie to, żeby tak właśnie robiła, ale pamiętać — pamięta. Ach, Ostapie, Ostapie, czyż można dłużej pamiętać)?

...posępne, ostroniebieskie oczy Modestowej patrzą z dezaprobatą spod niskich, prostych brwi: — cóż to Ostap sobie myśli, czy to tak układają bukiety na pokojach? I czy to Sabińcia, jak wyrośnie duża, sama nie będzie wiedziała, jak ma układać, tylko będzie się musiała Ostapa radzić? Ot powiedział, co wiedział...

Sabinie żal się robi tak zgromionego Ostapa: podchodzi, przygląda się, dotyka bukietu zbitego w kupę jak kalafior...

Leniwie przesuwa się popołudnie. Muchy brzęczą na wiecznie zamkniętych, nie mytych kuchennych oknach, muchy się męczą w szklanej muchołapce, tonąc w zielonkawej serwatce, to znowu wyłażąc z niej na brzegi. Helena wpada z wrzaskiem, że słonecznik tuż przy płocie panny Malwiny ma już takie czarne ziarnka „jak nie wiem co". I zaraz wylatuje. Rozwalony w wiecznie otwartych drzwiach Bęben ledwie zdążył uderzyć kilka razy wyleniałym, a jednocześnie skołtunionym ogonem w spróchniałe schodki — i musiał odejść stamtąd na dobre, choć nie chciał, bo pejsaty woziwoda zaczyna właśnie przelewać wiadrami ciepłą, brudną, rzeczną wodę ze swej oślizłej beczki na kołach do tej dudniącej czarnej przy drzwiach... koń woziwody, żydowski koń brudnobiały i jakby posypany hreczką, o wystających kłębach i drżących, zgiętych kolanach usi-

łuje, jak zawsze, skubać niską, drobną trawę przed kuchnią i jakoś mu nie idzie. Ostap czyści teraz noże szmatką i tłuczoną cegłą, opowiada, jak to było, kiedy służył w „przeobrażeńskim pułku", i nikt go nie słucha. „W preobrażenskom pałku" — wymawia, a Sabinie to imponuje, chociaż jest patriotką i nie cierpi Moskali...

Dziobata, zielonkawa gęba Rafała zagląda przez otwarte drzwi. — Czego ty tu, synku, przyszedł — burczy Modestowa, ale wstaje, wzdychając, czegoś kręci się po kuchni, coś mu tam wtyka i poszeptawszy za progiem, wraca na swoje miejsce.

— Sabińcia nie powiada nikomu, że Rafał tu przychodził. Nie trzeba mówić...

Ach, nie powie, nie powie, choćby ją nożem rznęli!... Jest taka szczęśliwa, że Modestowa w ogóle czegoś chce od niej... Wczoraj „na pokojach" znowu mówili przy obiedzie, że Rafał jest złodziej, a Modestowa uczciwa.

— A przy tym znajdźcie mi inną, co by umiała tak gotować — dodał stryj Konstanty — ot na przykład choćby i taka zupa jak dziś... zdaje się: nic takiego, a jednak... albo weźmy ten strudel...

Sabinie imponuje, że o Rafale mówi się: złodziej. Sabinie imponuje, że ma nie „powiadać" o jego przychodzeniu... Sabinie imponuje dużo rzeczy „na pokojach", a wszystko w kuchni... Szczęśliwa, tuli się do Modestowej. Ale zaraz zamiera ze zgrozy: słychać, jak woziwoda odjeżdża sprzed domu, krzyczy na konia, świszcze batem...

— Ot, jak wali — radośnie nasłuchuje Ostap.

— On by i człowieka zakatował, a nie to konia — posępnie mówi Modestowa.

Wszystko ucichło. Wchodzi Rózia. Przystrojona w kolorowe szmatki, papierki. Cicho zasiada koło

okna. Kręcący się po kuchni Bęben ostatecznie decyduje się położyć przy nogach Modestowej. Bosa stopa dobrotliwie drapie go w sparszywiały kark.

— Ot tobie dobrze letnią porą, ale jak ty będziesz zimą, jak? Pani napędzi ciebie choćby i na mróz. A i w sionce też dobrze chłodno, co?

Żółte oczy, nalane przesadnym wzruszeniem, wiedzą, że mówi się o nich, ale nie wiedzą, co. Rozkudłane cielsko rozwala się brzuchem do góry, nadstawia brudny brzuch pieszczocie gołej stopy. — Ot, kiedy był młody, ładny, to mówili: z białym krawacikiem — bosa stopa czochra brudny, biały trójkąt pod osiwiałym pyskiem — ot tobie i krawacik... Bębuś, Bębuś — przedrzeźnia Modestowa — a to na kanapę, a to na łóżko... A teraz paszoł won, że stary, że paskudny zrobił się, że pchły puszcza! A gdzież to ten „krawacik", pytam się u jej...

Żałośnie myśli Sabina, że „zimową porą" będzie daleko stąd, w Warszawie na Hożej, i nie będzie komu Bębna bronić... Wszyscy milczą, tylko Rózia coś do siebie szepcze. Coś swojego, jakby nie słyszała, co tu mówią. Ostap patrzy na nią i puka się palcem w czoło. Sabina się wstydzi...

— Co tu się dziwić, że z psami tak robią, kiedy z ludźmi — ponuro ciągnie Modestowa — ot, choćby i ta cała Rózia: troje dzieci wyniańczyła u tego Starynkiewicza, po nocach nie spała, ciągle na rękach nosiła, kiedy „miali" koklusz, co to już wszyscy myśleli, że ta ich mała kończy się... toż te dzieci tak krzyczali za nią jak za matką, i ona przepadała za nimi... a teraz, kiedy już jej ze wszystkim jest niedobrze, to poszła won na ulicę...

Znowu wszyscy milczą, tylko Rózia szepcze coś do siebie, jakby nie słyszała, że o niej mówią... Rozdarta żałością Sabina nie wie, czy ma się brać do pociesza-

nia Rózi czy Bębna... Ale przecież Bęben dopiero w zimie będzie biedny, a Rózia już teraz... Więc włazi jej, jak zwykle, na kolana, małymi, brudnymi rękami zwraca ku sobie jej twarz o dalekich, obcych już oczach... — Róziu, Róziu, po co Rózia ponaczepiała sobie te papierki? Nie trzeba, Róziu, ja lepiej pozdejmuję, Róziu, co? Mogę zdjąć, Róziu? — proponuje nieśmiało...

I Rózia jakby dopiero teraz ją zobaczyła, usłyszała. Przestaje szeptać do siebie, zaczyna przyglądać się jej uważnie — uważnie, zaczyna wykrzywiać się dziwacznie...

Ale już Modestowa wstaje ze swego miejsca, wielka, czegoś niezadowolona. Prędko, prędko zdejmuje z kolan Rózi Sabinę, popycha ją ku drzwiom...

— Niech no panna idzie sobie stąd „na pokoje". Niech no Sabińcia idzie... A to cały dzień siedzieć w kuchni, czy co...

I Sabina zmartwiona wychodzi. W pełnej gratów sionce przystaje nasłuchując: dolatuje ją cienki, kobiecy chichot Ostapa, gniewny, gruby głos Modestowej, a potem jakiś obcy, dziwny krzyk, nie wiadomo czyj, i zaraz milknie...

Sabina pędzi przez pokoje...

SOBIESKA

...nikt nikogo nie kocha, nikt za nikim nie tęskni, zostają tylko same kobiety i męczą się więcej, niż wszystkie ojczyzny razem wzięte...

„Łuk" Kadena

Jak tylko Sabina pomyśli o tej Sobieskiej, to zaraz widzi wszystko tamto, jak było wtedy: —

zapuszczone pokoje, szare, jakby zapajęczone, ogłuchłe, odkąd Helena zabrała Kazimierza, i nie wypełnia ich tupot jego małych nóg. Oślepłe od nie mytych okien bez firanek — zaraz, od kiedyż to?... Zdaje się, że od czasu tego ostatniego urlopu Jana — bo komuż by się chciało myć i sprzątać? No, może by się komu i chciało, ale Sabinie to już na pewno nie — co to, to nie ma mowy — przecież im gorzej, tym lepiej...

Więc jak Sabina przyjdzie ze swego dyżuru w szpitalu, to tłucze się po tych pokojach, ogłuchła, jak to puste mieszkanie, na wszystko, co nie jest krokami listonosza na schodach — oślepła, jak te nie myte szyby, na wszystko, co nie jest zapowiedzią końca wojny w gazetach.

— Mamo, czy mama wie, że dzisiaj w *Czasie* są aż trzy wzmianki o tym, że niedługo będzie zawarty pokój?

— Mamo, czy mama wie, podobno bankierzy orzekli, że wojna nie może już trwać dłużej jak trzy miesięce, bo żadne państwo nie wytrzymałoby tego finansowo?

— Mamo, podobno żywności starczy już tylko do lutego...

Starszej pani, uzbrojonej w cierpliwość jak w pancerz i robiącej na drutach „pulsetki" dla żołnierzy, szary kłębek potoczył się znów na podłogę.

— Sabino, nie chodź tak ciągle po pokoju, lepiej zajmij się czym... Ty o niczym nie myślisz...

— Nie mogę! Zresztą o co chodzi? W „sanitecie" będą wydawali teraz pięć kilo ryżu i trzy ćwierci smalcu. Kazimierz ma u Heleny wszystko... Dlaczego nie mam chodzić?... Muszę chodzić!

Starsza pani wzdycha: nie jest teraz miłe życie z Sabiną, o nie...

— No to podnieś mi przynajmniej kłębek... Znowu potoczył się pod kanapę.

— Dobrze.

W kuchni słychać, jak Sobieska postukuje łyżką o brzeg garnka — zupełnie jakby nie było wojny. Po prostu robi się obiad, jakby było wszystko zwyczajnie. A że obrzydliwy, to tym lepiej. Morska ryba suszona, moczona w wodzie przez ileś tam dni, żeby ją w ogóle można było zjeść, jakieś roślinne kotlety „Sydonia", z pieprzem...

Sabina tłucze się po pokojach: — czyż może mieszkanie tak się zmienić dlatego, że Jan pojechał na wojnę?... Widocznie może... To mieszkanie wygląda jak zdziwaczały nie ogolony mężczyzna, noszący „na po domu" zamiast szlafroka stare palto z wyłażącą watą — wygląda jak nie myta, rozczochrana kobieta w płaszczu włożonym na koszulę, w kaloszach na bose nogi, bo nie ma po co się ubrać — postarzała o dwadzieścia lat od wczoraj, kiedy ją porzucił kochanek...

Z kuchni słychać, jak Sobieska pierze: — wesoło, rytmicznie chlupoczą w balii mydliny, jakby na świecie nie było wcale wojny... — Ładnie byśmy wyglądały, gdyby nie ta Sobieska — mówi matka. — Ty o niczym nie myślisz, a ona wszystko wie, o wszystkim pamięta — kłębek znowu potoczył się pod komodę.

Sabina tłucze się po mieszkaniu, rozdarta pomiędzy Jana, pomiędzy męczarnie „swoich rannych" w szpitalu, pomiędzy patriotyczne rozdawanie papierosów na dworcach tym jeszcze całym, wykrzykującym z okien wagonów, tym jadącym na nowe męczarnie w czapkach czerwonych od gwoździków, tym oszołomionym, jakby ich napojono rumem i krwią...

— Sabino, wiesz, była stara Witkowska, opowia-

dała, że piła doskonałą herbatę naparzoną z suchych łodyg malin. Podobno to daleko lepsze od obierzyn jabłczanych... Trzeba by spróbować...

— Dobrze, mamo... — i Sabina zaczyna znowu z powrotem swoją wędrówkę, aż w końcu idzie do Sobieskiej do kuchni. Zasiada na niskim stołeczku z łokciami na kolanach, brodą na łokciach. Sobieska przedwojennie krząta się po kuchni, odprawia jakieś swoje proste roboty, jakby ścierki i garnki wciąż jeszcze trwały w sile — ...ot, tak — powiada jak do dziecka z dobrym swoim uśmiechem — półkę trza wyłożyć papierem, wszystko poustawiać, ot tak, to zaraz będzie ładniej.

Albo: — Zasunę szyber, zaraz będzie cieplej... — (chudej Sabinie już w samym cieniu jej wielkiego cielska robi się cieplej bez żadnego szybra). — Bo niejedna to będzie dokładała cały dzień, węgli pójdzie pół paki, jakby to było przed wojną, i nic — a ja to tak: włożę dwa kawałki, drzazg przydam drobniutko poszczypanych, ot tak, i trzyma cały dzień, no nie?... — A naparzyć pani herbaty?... Sacharynka jest...

I pogodnie rzuca na rozpaloną fajerkę spiralną wstęgę jabłczanych obierzyn. Rozchodzi się miła woń...

Ach, Sobieska wie wszystko niezawodnym sercem prostego człowieka; tak, tak... tego potrzeba Sabinie, żeby ktoś zakrzątnął się koło niej, zaparzył tych nieszczęsnych obierzyn, postawił jej — gorące — przed sam nos, i jeszcze sacharyny nasypał na sam koniuszeczek noża, troszcząc się, żeby nie za dużo, bo będzie gorzkie...

— Niech się pani nie martwi, Sobieski też nie pisze, już będzie drugi tydzień, a ja nic, robię swoje, i dobra. A co ma być, to będzie!

Sabina milczy.

— A jak pan przyjedzie i zastanie panią chudą jak szczapa, jak się pani będzie tak zamartwiać, to też nie będzie dobrze... Rację miał, kto powiedział, że kobietom od zmartwienia nic nie przybędzie, chyba tylko zmarszczek na twarzy. Mnie tam już wszystko jedno, jak wyglądam, ale pani...

I śmieje się wszystkimi swymi zmarszczkami.

Czasem znowu jest tak, jakby przez nie mytą szybę wpadł jeden jakiś promień i stanął w ponurym pokoju ukośnym słupem, zrobionym z popielatego kurzu i z wesołego, żółtego słońca. To wtedy, kiedy po długich ceregielach, z przeczekiwaniem łomotu serca, z mdłościami od łowienia nieuchwytnego momentu decydującego o tym, czy listonosz zatrzyma się przy drzwiach, czy pójdzie wyżej po schodach — Sabina otrzyma wreszcie list od Jana.

— Co pisze? — z drugiego pokoju pyta matka.

— Niech mama przeczyta... — ostra jak błysk noża radość przeszyta jest świadomością, że przecież ten krótki list Jana jest taki, że każdy może go przeczytać — i Sabina idzie do Sobieskiej.

W kuchni znowu chlupoczą mydliny, wesoły, czerwony ogień wyziera z pieca wszystkimi szparami. Sabina zasiada na swoim stołeczku. Sobieska wie, co się święci...

— Sobieski dawno pisał?

— W zeszłym tygodniu... kiedyż to?... W sobotę będzie tydzień. Ale ja tak nie latam za listonoszem jak pani... Co ma być, to będzie...

Wyciera ręce fartuchem, przekłada bieliznę z kotła na balię, zalewa wodą... Naparza sobie herbaty z obierzyn, szykuje wielki kawał kartkowego chleba z marmoladą z buraków... — A pan kiedy pisał?... — zapytuje chytrze, jakby nie wiedziała.

— Dziś miałam list — odpowiada Sabina, ta „od Jana", jakby nie wiedziała, że tamta wie, i nie wiadomo dlaczego „robi" obojętność.

— Aha... a przyjedzie pan niedługo?

— Może i przyjedzie. Jeszcze nie wiadomo... — i Sabina opowiada długą historię o urlopach, przepustkach, służbowych sprawach — musi o tym mówić, musi, musi, musi!

Sobieska słucha uważnie. Potem milczą obie wzdychając.

— Tak, tak — zaczyna po chwili — widzi pani, prosty człowiek to nie może się martwić jak pani. Prosty człowiek musi pracować. Pani, jak przyjdzie ze swego szpitala, to tylko chodzi tam i z powrotem, tam i z powrotem... Kaziuńciowi dobrze u cioci, że i lepiej nie trzeba...

Zamyśla się. — Albo i ten cały szpital: potrzebne to człowiekowi bebechy nazad wciskać, brzuch zaszywać po to, żeby go potem wysłać tam, gdzie mu nazad wszystko wywalą? I to wszystko ma być z tego miłosierdzia? Żeby tak na mnie, tobym wolała, żeby mi dali zdechnąć na łóżku, niż żebym musiała znowu od początku zaczynać...

Sabina „od rannych" kurczy się i zamiera. Sabina „od patriotyzmu" występuje naprzód.

— Przecież to nie na marne idzie wszystko, Sobieska. Przecież właśnie o to chodzi, żeby nie poszło na marne...

— Co ma nie iść na marne...

— A te... wszystkie... straszne... męczarnie... przecież sto lat czekaliśmy na tę wojnę, żeby Polska... — mówi jak z broszury czy z gazety.

Ale i Sobieska wstaje. Robi się daleka. Surowa.

— Dla państwa może i nie na marne. A dla

nas, dla prostych ludzi zawsze na marne. Jak ja słyszę, jak to państwo całymi godzinami tak gadają: a to Rosja, a to Austria, a to to, a to to... Chryste Panie! Biednemu człowiekowi wszędzie tak samo, i pod Austrią, i pod Rosją, i pod Polską... takie rzeczy to dobre dla panów...

Milknie i zaczyna obrzęd farbkowania. Skręcone białe zwoje toną w przezroczystej, nikłej niebieskości.

— Mądra była pani starsza, że nakupiła farbki. Bez farbki to wszystko żółte, jakby i nieprane...

Już się z tej Sobieskiej nic więcej nie wyciągnie. Sabina może znowu rozpocząć swoją samotną wędrówkę po pokojach. Choćby do wieczornego dyżuru. Albo nawet do jutrzejszego listonosza. Ma o czym myśleć...

Czasami mieszkanie rozbłyska na całego, jakby nie myte okno rozwarło się na słońce i lato. Jan przyjechał.

Zaraz zaczyna tu pachnąć mężczyzną, tytoniem, wodą kolońską, butami, mydłem do golenia. Zapuszczone, ponure, zasnute kobiecym smutkiem jak pajęczyną, szare od kobiecej beznadziei pokoje, momentalnie po prostu „do podziwienia" doprowadzone przez Sobieską do porządku, napełniają się od razu innym, nowym nieporządkiem, wesołym, męskim i lśniącym. Znika Sabina „od ran", znika Sabina „od patriotyzmu". Zostaje Sabina „od Jana" i leci do kuchni, rozpromieniona.

— Sobieska, co my zrobimy na obiad? Tylko nie ryba, i nie Sydonia... i do herbaty żeby trochę cukru...

Sobieska zna wagę chwili. Namyśla się, ważna, skupiona.

— Już niech się pani nie boi, zrobi się tak, żeby było...

I robi się tak, „żeby było". W odmłodzonym, rozbłysłym mieszkaniu nawet chuda, zjedzona smutkiem Sabina wygląda jakby przytyła, i „brunatne" oczy, spłoszone od ciągłego wyglądania, skąd spada nowe zło, trochę jakby się uspokoiły, że przecież — jednak — mimo wszystko — Jan jest, że na niego patrzą. I że przecież — jednak — mimo wszystko — Jan w nie patrzy.

Niedługo. Mija jedna, druga godzina, wypełniona wesołym tupotaniem małych nóg Kazimierza, na gwałt sprowadzonego od Heleny. Wypełniona zbożnym, chciwym wysłuchiwaniem przez starszą panią wieści „stamtąd", opowiadań, jak „tam" jest. Wypełniona naradami, zabieganiem o poziom wspaniałej kolacji z fasoli, żeby go utrzymać przynajmniej na wysokości obiadu. I już Jan zaczyna się niespokojnie oglądać za szablą, pobrzękującą ku zachwytowi małego syna, za całym swoim aparatem chrzęszczących rzemieni... Już się okazuje, że wszystkie pełne gwaru soldateski i dam kawiarnie „hinterlandu" tylko czekają na niego z otwartymi ramionami, żeby w nich właśnie zbawiał teraz dalej ojczyznę, że cała banda wojennych kobiet wyciąga go z domu z jego szablą, z jego pięknymi butami, z całym oficerskim splendorem. Wyciąga tego nieopornego, a wesołego, tego beztroskiego, tego odważnego, co bez wahania pójdzie sam jeden na cały las bagnetów, ale zginie raczej ze wstydu, niż da się posądzić, że chciałby posiedzieć w domu ze swoją smutną, chudą, przedwojenną żoną...

Sabina zostaje sama. Sobieska miała rację.

„ONE WSZYSTKIE"
I TA, KTÓREJ NIE BYŁO

Stasia przyszła, przyniosła mleko na tacce, przyniosła jakieś sucharki — to z tej nowej piekarni, może będą pani lepiej smakowały... — z jakiej nowej piekarni? — A z tej, co otworzyli naprzeciwko... — tak, kiedy ja jeszcze chodziłam, to tam nie było jeszcze żadnej piekarni... — aha, wtedy jeszcze nie było...

Milkną obie. Stasia chce postawić tackę i nie ma gdzie, więc stawia na krzesełku i przesuwa wszystko na stoliku, żeby zrobić miejsce — znowu ponastawiali... i skąd się tyle tego nabrało? Przecież panna Zofia sprząta co rano...

— Bo co kto przyniesie, to zostawi — Sabina łapie się na tym, że już mówiła to najmniej sto razy — niedługo tak narośnie tego wszystkiego, jak w tamtym mieszkaniu na Freta... Stasiu, czy tam na pewno nie ma kożuszka na tym mleku? — i z góry wie, że „cedzone" — ach, żebyż taką Stasię mieć tam na Freta! Cóż by to było za szczęście wtedy, a teraz już jest za późno na wszystkie szczęścia...

...na Freta matka mówiła co rano: — Widzisz, trzeba było jednak wziąć jakąś dziewczynę. Choćby najtańszą, choćby bez gotowania. Nic, tylko żeby przyniosła co trzeba, sprzątnęła, zmyła. Śniadanie by podała. Bo tak, to nie dasz rady...

Sabina w kuchni zastanawia się nad tym, jak zeskrobać wczorajsze błoto z obuwia: czy wierzchem szczotki, czy specjalnie ułupaną drzazgą, czy jeszcze czym innym? Potem z obrzydzeniem wdycha kurz z czyszczonej, wiecznej czarnej sukni...

— Sprzątnęłaby, podłogę by natarła pastą, po-

wynosiłaby graty na strych, toby się tu zaraz zrobiło luźniej — utyskuje dalej matka.

— Napaliłaby w piecu — wzdycha Sabina, bo właśnie zaczyna się to najgorsze...

Przykucnięta przy piecu, zgarnia na starą gazetę całe góry szarego popiołu — i skąd się tyle tego bierze?

(Zupełnie jak teraz tych gratów na stoliku przy łóżku).

— Bo ja ci mówię, że ten węgiel ze składu to na nic — dogaduje starsza pani. — Czy ty pamiętasz, jak Leosia momentalnie umiała napalić w piecu? Ach, co do pieców, to już ona naprawdę była specjalistką...

— Ach, nie tylko do pieców ona była specjalistką — przypomina sobie Sabina przykucnięta, zastygła w oczekiwaniu, zapatrzona w niebieskawy, nikły płomyk, opełzujący gałkę zmiętoszonego papieru: czy ogień przejdzie na chytrze ustawione w kozioł trzaski, czy polizawszy je tylko i okopciwszy zamrze?

Przeszedł. Zatliły się czerwono. Za przymkniętymi drzwiczkami zahuczało niegłośno i obiecująco.

— Nie tylko od palenia była specjalistką — wspomina dalej, nieco uspokojona — nie tylko... ach, trzaski się zajęły, to już dobrze... czy tylko ten węgiel raczy się zająć? Trzeba czekać...

— Przymknij drzwiczki! Przymknij drzwiczki! — niespokojnie woła matka.

Sabina zwraca ku niej usmoloną, bladą twarz... ach, dlaczego palący w piecu inteligent musi mieć taką właśnie twarz? — Przecież muszę zajrzeć, czy się rozpala — odpowiada ze złością. I zaraz pogrąża się w tamtym...

...we wtorki i w piątki była gimnastyka. Chodziło

się z Leosią... wiosenny wieczór, ciepło, dużo ludzi na ulicach, dużo świateł, Sabina uwieszona na łokciu Leosi, rozgadana — patrz Sabińciu — mówi Leosia — ile „paniów" „do figury"... A w południe jakem szła, to prawie wszystkie były „do figury", o ile więcej niż teraz... Więc czemu teraz włożyły palta, kiedy ciepło? — dziwi się Sabina. — A ty myślisz, że to te same? — i zaśmiewają się obie.

Zatrzymują się przed wystawami: — mam jedną taką rzecz, którą chcę sobie kupić — mówi Leosia. — To po co chcesz sobie kupować, kiedy już masz? — i znowu śmiech. Ale Sabina jest ciekawa. — A co to za rzecz? — zgadnij! — A tu jest ta rzecz? — Jest... — na prawo czy na lewo? — Nic nie powiem, zgadnij...

Sabina się zamyśla — może taki beret? (Leosia najczęściej chodziła „we włosach"). — Zgadłaś. Ładnie mi będzie? — i zaraz zaczynają wypatrywać takie berety... — Leosiu, Leosiu, widzisz, ot ta ma taki beret, wiesz, ona jest ubrana jak dziewczynka, ale chyba jest dorosła, i... widzisz? Zawraca teraz od rogu, i pierwej, jakeśmy dochodziły do tej wystawy, to też zawróciła od rogu, dlaczego ona tak chodzi, Leosiu, co? Czekajmy jeszcze, co zrobi... o, znowu zawróciła, widzisz, widzisz? — Sabina się zaśmiewa.

Leosia jest niezadowolona: — nie patrz tak na nią, bo jak zobaczy, że my tak patrzymy, to tak nas zwymyśla, że nam w pięty pójdzie. O, już się przygląda... chodź! chodź! — I ciągnie ją za rękę.

Ale Sabina się nie daje, rozbawiona: — Leosiu, a może to taka, co to Leosia kiedyś mówiła, że zaczepiają panów na ulicy... Co? Leosiu, to i my zaczepiajmy, Leosiu! — I Sabina znowu zaśmiewa się po swojemu.

Leosia ciągnie ją, już zła: — Sabinie to nic powiedzieć nie można, Sabina to jak dziecko, nic nie rozumie... przecież to kurwa!!!

I nic nie rozumiejąca Sabina przycicha od samego jej głosu. Skręcają na swoją ulicę. Leosia nic już więcej nie powie. Jest dziwnie.

— Sabino, mówiłam, przymknij drzwiczki — woła matka na Freta, do przykucniętej przed piecem Sabiny. — Widzisz, już gaśnie! Że też ty nigdy nie zrobisz nic tak, jak ci się mówi!

Rzeczywiście, zimne drzazgi wysterczają z kunsztownego rusztowania opalonymi końcami jak zgliszcza. Zwęglony papier rozpada się miękko, jak zetlała czarna róża. Kawały węgla leżą zimno, martwo i wrogo... rób co chcesz! Zgasło!

— Więcej papieru! więcej papieru!

Sabina dmucha jakby miała z siebie wytchnąć ostatni dech. Kosmyki włosów lepią się jej do czoła. Przymyka drzwiczki. W piecu, jakby na kpiny, zaczyna znowu huczeć... więc można znów zapaść się w tamto...

Ale w następny piątek powiedziała... wszystko! I o kurwach, i o „panach". I w ogóle. Jak to się robi. I jeszcze jak się dzieci rodzą.

Stało się, jakby ktoś zamieszał kijem w wiosennym wieczorze. Wszystko się pokręciło: świetliste sznury latarń z wystawami, tramwaje z ludźmi... Własne kroki zrobiły się inne, i inne własne palce na spoconych dłoniach, a twarz gadającej Leosi jakby się zbliżała, to znów oddalała. W tym nowym widzeniu każda rzecz zrobiła się nowa i nadzwyczajna, a wszystkie razem zatonęły jak w kąpieli, w ciekawości lepkiej, bolącej, drapiącej, nie dającej spokoju... nie wiem, co by się dało, żeby wrócił tamten wtorek, kiedy się jeszcze nie wiedziało, a za-

razem za nic by się nie chciało, żeby wrócił tamten wtorek...

— Co, znowu zgasło? — woła matka z drugiego pokoju.

— Nie, huczy!

— No, jak huczy, to już dobrze!

I jeszcze powiedziała wtedy Leosia, że wszystkie kobiety mają co miesiąc „na bieliźnie" i Sabina będzie też miała „na bieliźnie". Może już niedługo. Bo Leosia była nawet młodszą od Sabiny, kiedy dostała. Więc niech się Sabina nie przelęknie, kiedy dostanie...

O, co to, to już nie. Tamto wszystko — może, ale Sabina żeby miała mieć takie rzeczy, to już nie! To już Leosia kłamie!

Nie kłamała. Przyszło niedługo potem i Sabina, choć ostrzeżona, myślała, że zwariuje! A Leosia pogodnie prała „podpaski" i mrugała do niej porozumiewawczo. I potem „one wszystkie" kolejno prały wstrętne podpaski, aż któraś jedną taką... „szmyrgnęła" o ziemię. To była ta Polcia na Kruczej... ta sama co pytała: „czy jeszcze będziemy czekać na pana z herbatą?"

— Co ja mam prać pani takie brudy? Niech pani sama sobie pierze.

Miała rację. Sabina mało nie umarła ze wstydu i zaczęła używać waty. Zresztą na Kruczej i tak nie trzeba było podpasek: była ciąża...

Ale że matka nie ostrzegła jej przed taką rzeczą... i jak to się skończyło z tą Leosią? Odeszła tak jakoś nagle i jakby bez pożegnania...

— Mamo — mówi Sabina, wstając sprzed pieca i rozprostowując zmęczony grzbiet — mamo, jak to było z tą Leosią, co tak umiała dobrze w piecach palić? Czy ona nie była aby w ciąży?

Starsza pani namyśla się: — Leosia? Nie, skądże znowu...

— Jak to: skądże? — niecierpliwi się nagle Sabina — chciałabym bardzo dowiedzieć się, co się z nią stało. Bo wie mama, ja jej dużo zawdzięczam — dodaje twardo w nagłej niechęci do przeszłego pokolenia — przecież to ona mnie „uświadomiła". Od niej się „wszystkiego" dowiedziałam, jak mnie odprowadzała z gimnastyki — krzyczy prawie — i ona mnie ostrzegła, że niedługo dostanę periodu. Przecież mama nie powiedziała mi nic! nic! Nie wiem, na co mama liczyła? Czy właśnie na Leosię?

Starsza pani aż się kurczy. Bezradnie rozkłada ręce.

— Moje dziecko — zaczyna przygnębionym głosem — mnie też nikt nic nie mówił... dawniej nie mówiono o takich rzeczach — i tu jej przygnębiony głos przybiera na sile, ma znowu coś z dawnej władczości, aż się również rozdziera od nagłej niechęci do nowego pokolenia — dawniej nie rozprawiano o takich rzeczach tak ciągle jak wy teraz, tak ciągle... I wcale nie widzę, żeby się od tego działo dużo lepiej...

Tak rozmawiają, tak sobie dogadują. A Sabina na łóżku chce się śmiać z obu, z obu, z obu! Jest nad czym pomyśleć, jest, jest... Tylko że znowu jakby widziała tamtą Sabinę z Freta jak się zabiera do zamiatania... i wspomina Marynię tercjarkę, jak to ona nie zostawiła po sobie ani źdźbła pod kanapami, pod szafami, nigdzie, nigdzie... Ale zamiatanie to jeszcze nic. Najgorsze to likwidowanie tego popielatego, miałkiego kopczyka, w którym się przewalają pod szczotką nieokreślone grubsze kawałki. Jak nakłonić to wszystko razem, żeby zechciało z łaski

swojej, żeby raczyło, oporne i pełne sprzeciwu, żeby dało się uprosić i wpełzło na starą fotograficzną grupę szkolną, nie wiadomo czyją i skąd, a służącą w tym powojennym mieszkaniu za śmietniczkę, dzięki swej sztywności? Z uczniami w mundurkach, z księdzem prefektem i brodatym dyrektorem w środku, z zacnymi nauczycielami w długich surdutach... I nachylona, wpatrzona w ich wyblakłe twarze niknące pod prochem w znaczeniu dosłownym, Sabina przemyślała od razu tę całą Marynię...

...Tercjarka była, „dziewica orleańska", jak ją nazywał Jan. Nosiła sznelkowy, czarny szal, nie kradła, latała na wszystkie pogrzeby, marzyła o pochowku w sukni „ładnej, brązowej", ze śmiercią była za pan brat, i na wszystkich znajomych Jana i Sabiny patrzyła pod kątem widzenia ich ewentualnej śmierci i pogrzebu.

— A pamiętasz tę Marynię — pojednawczo zaczyna znów matka na Freta, jakby samo sprzątanie musiało nasuwać myśli o tamtej Maryni — pamiętasz? zacna ona była, ale obrzydła nam wszystkim razem ze swoimi cnotami. Choć z drugiej strony trzeba jej przyznać, że nie tylko kuchnię trzymała tak czysto jak żadna, ale do tego jeszcze dbała o to, żeby było zawsze ładnie, na przykład jakie to ona miała pelargonie, balsaminy, pamiętasz?

Czy Sabina pamięta? Pamięta wszystko.

A teraz, kiedy stoi ze swoją grupą fotograficzną nad przepełnioną paką w kuchni, przerażona, że trzeba będzie znieść tę pakę na dół do ogólnego śmietnika, to w głowie jej się po prostu nie mieści, że przy „takich rzeczach" można jeszcze myśleć o jakichś ozdobach. O pelargoniach i mirtach,

uszczypanych „w lutem" czarnym paznokciem i zasadzonych pod pękniętą szklanką, o „wesołych jasiach" pnących się girlandą kwiatów po drabince, zmyślnie zrobionej z trzasek... o tych papierach wycinanych w ząbki, wyścielających pięknie półki... i żebyż to choć we własnej kuchni! A to właśnie w cudzej, w cudzej, cudzej! Do której państwo o każdej porze wchodzą bez pukania...

„Takie rzeczy" zmieniły się w oczach Sabiny w kupę brudnych naczyń: tak uważały obie z matką, żeby nic nie brudzić, wędlinę jadły wprost z papieru, a jednak narosło tyle tego — cały stos!

Nie ima się woda tłustego talerzyka, nie ima... zmywacz po zmywaniu robi się obrzydliwy i trzeba też jakoś go zmywać... tłuszcz krzepnie i zatyka dziurki zlewu, który wygląda jak wróg. Każda rzecz na kuchennym stole robi obrażoną minę i opiera się rękom, z których cała inteligenckość cofa się, zostawiając drętwe zgrubienie, o specjalnym zapachu spracowanych rąk prostego człowieka. A jak to ta Franciszkowa zmywała tak prędko — prędko i gadała przy tym do małej Sabiny siedzącej na zielonym jej kuferku, gadała, gadała, aż się cała kuchnia zaludniała różnymi „państwami", u których służyła przez długie lata, ich sprawami, ich kłopotami, ich Bóg wie czym!

— U państwa Majewskich, to pani do mnie tak powiada: jak Kasia nie zostanie, to ja chyba nigdzie nie pojadę na lato, bo mieszkania za nic z nikim nie zostawię, tylko z Kasią — niech no Sabińcia tak nie wali w kuferek piętami, bo się psuje...

— Już nie będę... i co, nie pojechała?

— Eeee... pojechała. Andzia została w mieszkaniu. Bo ja wtedy szłam do obowiązku do pani Ko-

złowskiej, co to miała sklep na Zielnej. Nie chciała czekać ta pani Kozłowska.

— I dobrze było Franciszkowej u państwa Kozłowskich?

— Owszem, nie można powiedzieć. Oj, było tam roboty, było... Nogi mi tak puchły, to moczyłam w gorącej wodzie z bielidłem. A pani Kozłowska znowuż jak wyjeżdża, to powiada: zawsze brałam człowieka, żeby rzeczy potrzepał na lato, dywany poczyścił i pozwijał; porządki porobił, ale teraz mi się zdaje, że Kasia sama da z tym rady, a już Kasia dostanie ode mnie ładny prezent...

Sabina o mało ze skóry nie wyłazi: — No i co Franciszkowa dostała, no i co?

— A ten szal, co po starszej pani, po pani Michalskiej, i tę broszkę, co pani przywiozła z podróży, widziała przecież Sabińcia w kuferku...

— Kotwica i serce? Franciszkowa jeszcze pokaże, moja Franciszkowo...

— Pokażę, jak pozmywam. Sabińcia nie wali piętami w kuferek... A Zdzisiunio, jak chorował, to matki nie chciał, nikogo nie chciał, tylko mnie. Kasi i Kasi wołał. To pani Kozłowska tak płakała. że nie wiem. Różne rzeczy mi dawała, co po nim, co po Zdzisiuniu.

— Co dała? Co? Franciszkowa pokaże! Łyżeczkę, kubek, domino?

— A pokażę, jak skończę. Sabińcia nie wali piętami, mówiłam sto razy.

— Już nie będę! A dlaczego oni wszyscy wołali na Franciszkową Kasia? — i Sabina aż drży, żeby usłyszeć znaną odpowiedź: — Bo takie jest moje metrykalne imię... — mówi Franciszkowa z godnością.

Metrykalne imię... Ach jak to tamtej Sabinie imponuje...

Zmywanie skończone. W kuchni na Freta Sabina ogląda swoje ręce, z których uciekła inteligenckość, swoje ręce prostego człowieka. — Trzeba by lanoliną, a jednocześnie myśli o tamtej kuchni, gdzie wśród wszystkich żyć cudzego „państwa" Franciszkowa miała swoje własne metrykalne imię, szal po starszej pani Michalskiej, łyżkę i domino po Zdzisiuniu. A Sabina na łóżku w korowód tamtych wszystkich włącza i tę z kuchni na Freta, tę „której nie było" — że jednak najwięcej roboty przypadło właśnie na nią... już po prostu bez żadnych granic...

STASIA

Pielęgniarka kończy obrzęd „prześciełania" i wsuwa głowę do jadalnego: — czy Stasia może teraz sprzątnąć „u chorej"? — Nie, najpierw musi iść do jadalnego...

Kurcząc się we chwilowej zimnej obcości świeżo przesłanego łóżka, Sabina słyszy trzask otwieranego okna, stuk szczotki o podłogę... — generalne porządki — przypomina sobie — kto to tak mówił: generalne porządki?

Matka otworzyła drzwi i zaraz, zaaferowanym szeptem: już wpół do czwartej, tak się spóźniasz, a tu Gołębiowska czeka... — No to co, że czeka? — Sabina jest głodna i zmęczona, a tu znowuż taka historia z tą Gołębiowską... — Jak to: co? — matka po prostu nie może sobie dać rady — czyż ma tak siedzieć do wieczora? (Boże, jak się ta matka zmieniła...) — nie do wieczora, tylko muszę się przecie rozebrać...

— Zaraz przyniosę ciepłej wody — wesoło oznaj-

mia pielęgniarka, a Sabinie to dogadza, bo przez ten czas przypomni sobie jeszcze tamto, jak to było z tą Gołębiowską.

Wysoka, sucha osoba w palcie i kapeluszu, pośrednia między jakąś panią a jakąś kobietą, podnosi się zza stołu. — Ja względem tej posługi — powiada.

Przywitały się i zaraz zaczęła się wypytywać, z dystynkcją a zarazem fachowo i z wyższością: jakie mieszkanie, i co i jak do roboty, i od której godziny do której... Sabina jest trochę jakby skrępowana i teraz lepiej rozumie niepokój matki. Mówi po prostu: sprzątanie, a nie „generalne porządki" i „odkurzanie ścian", mówi: kanapa, a nie „wyścielany mebel". Boi się, że to wszystko będzie za drogo kosztowało... — Pogodzimy się — wyrozumiale uśmiecha się pani Gołębiowska. — Do wójta nie pójdziemy... — i kto by myślał, że umie się tak miło uśmiechnąć? Wyglądała tak surowo... — A pani gdzie pracuje? — i rozjaśnia się jeszcze bardziej, dowiedziawszy się, że w gimnazjum. Ona ma córeczkę we wstępnej klasie, ale niestety w innym gimnazjum. Ciężko jej bardzo, ale woli tak się męczyć, niż dać dziecko do szkoły powszechnej — pani to rozumie?

— Musi pani jeszcze poczekać na wodę — woła z kuchni pielęgniarka — Stasia musiała wpierw obiad nastawić, bo się boi spóźnić, wie pani?

Czy Sabina wie? A czyż nie powiedziała wtedy do pani Gołębiowskiej, że musi mieć wszystko na czas podane, bo pracuje? I czy pani Gołębiowska nie zapewniała jej, zmiękłszy do reszty, że wszystko będzie jak w zegarku, bo człowiek, jak pracuje, to potrzebuje swego...

Pielęgniarce po uporaniu się z ciepłą wodą, pil-

no już zamienić się w pannę Zofię. — A niech tam Stasia napali u „chorej"! — rzuca jeszcze w przedpokoju.

Sabina protestuje: — Heleno, każ najpierw napalić u siebie, przecież ty nie możesz pracować w zimnie!

Nikt jej nie słyszy. Więc leżąc cicho z przymkniętymi oczami słucha, jak Stasia nabiera węgla do kubła, jak łupie drzazgi na podpałkę...

— A u pani napalę zaraz po obiedzie — uśmiecha się do niej, do Sabiny, przechodząc z kubłem do sypialni.

I zaraz po obiedzie pali, klęcząc na podłodze przed piecem. Ale znowu odwraca się do Sabiny: — czy pani nie potrzebuje czego?

Taka to już jest ta Stasia. Młoda, zdrowa, cała, zdawałoby się, tkwiąca w życiu, daleko poza tym „pokojem chorej". A przecież i dla tej „chorej" zawsze ma coś...

— Nie, dziękuję, Stasiu, nie potrzebuję niczego — i Sabina przymyka po swojemu oczy na znak, że chce spokojnie myśleć. Co to Helena mówiła niedawno o tej Stasi? Że lata na wiece, że jak tylko złapie chwilkę czasu, to czyta jakieś broszury? I przypomina sobie, jak to było z tą Stasią dawniej: krzątała się po domu, usłużna i spokojna, ale jak tylko nadeszło wychodne, i to nawet nie w niedzielę, tylko w powszedni dzień, bo właśnie tak chciała, to choćby tam pioruny trzaskały, choćby się zwalili na herbatę nagli a niespodziewani goście, to znikała, twarda, nieustępliwa...

— Może by pani chciała coś poczytać? Lepiej byłoby, niż tak leżeć i leżeć! Co by to można przeczytać, nauczyć się przez taką chorobę, hoho! — Głos Stasi spod pieca pełen jest wyrzutu, i czego

jeszcze? Zazdrości? A więc i Sabinie można jeszcze czegoś zazdrościć?

I Sabina wsparłszy się na łokciu, patrzy w Stasię rozszerzonymi oczami. Stasia podnosi się również i staje wyprostowana ze skrzyżowanymi rękami.

— A tak. Co ja bym przeczytała książek, gdybym leżała tyle czasu co pani...

Sabinie robi się nieswojo: przecież nikt nie wie, ile czasu... zresztą ona też czyta — wskazuje ręką na stolik.

Ale Stasia śmieje się z jawną już wyższością: same powieści! Co to za lektura taka — tak powiada — co to za lektura! Od tego przecież nie można stać się więcej uświadomionym! Ot, ja pani zaraz pokażę... — rozpromieniona przynosi z kuchni kilka broszur, do cna zaczytanych, jak te książki dzieciństwa Sabiny...

— Tylko niech pani nikomu tego nie pokazuje...

Ale Sabina odsuwa książeczki. — Nie, Stasiu, to już za późno...

I po swojemu zamyka oczy.

Stasia patrzy na nią w milczeniu. I odchodzi na palcach.

Część czwarta

PO KSIĄŻKACH

PRZYMIERZE KRWI

Mamo, czy mogę sobie wziąć konfitur?

— Możesz.

— Ale tych z róży?

— Możesz.

— Ale dwie łyżeczki?

— Możesz. Tylko zawiąż słoik.

— Dobrze.

Tak. Więc teraz trzeba sobie wszystko przygotować, żeby już potem po nic nie wstawać. Kochaną, zaczytaną do żywego książkę oprzeć o matki pudełko do szycia. Albo o cukiernicę. Najlepiej o cukiernicę. Spodek przed książką. I zasiąść, zasiąść na długo, solidnie, wygodnie, albo jeszcze lepiej, uklęknąć na krześle, rozłożyć się na stole i pojadać ze spodka po troszeczce, po drobineczce, żeby na dłużej starczyło i żeby było już zewsząd dobrze, dobrze na całego, i uczytywać po trosze z książki słowa ponad wszystko znajome. Z niezawodnym, wypróbowanym, rozkosznym wzruszeniem na wiadomych stronicach tej historii, zdającej się nie mieć początku ani końca, historii, którą można w byle jakim miejscu otworzyć i zawsze będzie jednakowo dobrze... Konfitury są z tych dwóch krzaków „cukrówki", co rosną u babci przy samym ganku, i jak się nazbiera pełniutki kosz do bielizny ciemnoróżowych, pachnących płatków, to wyjdzie z tego tylko jeden niewielki słoik i drugi taki jak od musztardy...

Perpendykuł
musi mruczeć
w tył i naprzód
dzielne wojsko.
Smutny zegar
północ dzwoni
ktoś ucieka
ktoś łzy roni.

I od razu Sabinę na łóżku ogarnia znajome wzruszenie, jakby się nie przewaliła ponad nią ta cała masa dorosłego życia.

Leci sowa
wielkogłowa
w nocnej ciszy
łowić myszy.

A któż to ponawypisywał te wszystkie miłe głupstwa, kochane banialuki? I jeszcze dodał do nich obrazki? Dlaczego, na miły Bóg, ojciec chrzestny siedzi okrakiem na zegarze ze swoim wiecznym harcapem i czarnym plastrem na oku? I nikt się temu nie dziwi, tak jak nikt się nie dziwi niczemu we śnie? Dlaczego pan prezes z palcem na nosie mówi do swego sięgającego mu do kolan syna: — panie Stanisławie — a wdzięczna Marynia o dobrym sercu i lokach po obu stronach głowy, cienka w pasie i wysokości jednej trzeciej swojej matki, tuli do serca złośliwie uśmiechniętą poczwarę z zielonymi oczami, białą, bawełnianą brodą i drewnianą podpórką dziadka do orzechów... Bo wszystko to razem nazywało się: „Historia dziadka do orzechów" (Casse-noisette), i było podobno satyrą na „ówczesne stosunki", jak poważnie i surowo mawiała matka. Co to „satyra"?... Co to „ówczesne stosunki"?... Nie wiadomo. Nic nie wiadomo... Ale do

tego jeszcze matka wymawiała nie „Dumas", jak głosiła do cna zaczytana okładka, tylko „Düma", co było dorosłe i imponujące. I jeszcze dodawała Dumas-Père, co było zgoła niepojęte...

Tam i z powrotem wędruje Sabina po przeczytanych książkach; tu i ówdzie wytryskują spod jej kroków rzeczy i ludzie. Nie zwraca na nie uwagi, omija je. Czego innego szuka. Szuka czarodziejskich stanów, jak przy czytaniu książek dzieciństwa. Gdzież to było, kiedy tak było?... Ach, to było daleko później, już przy Selmie Lagerlöff... I wtedy mówiło się już: ach, jaki ona ma talent...

Więc Gösta Berling. Majorowa. Dwunastu rezydentów. Jeden z nich tęskni za żoną i dziećmi. Okropnie. Postanawia wracać, ale wtedy znowu robi mu się żal dworu w Ekkeby. Zaczyna płakać i tak płacze, tak płacze, że kiedy mu przyprowadzają srokatego wołu, zamiast konia do podróży, to on tego nie widzi przez firankę łez. Nie widzi również, że siada twarzą do ogona, zamiast do ukwieconych rogów, i tak już jedzie do tej żony. Jedzie, jedzie, ale dojechać nie może, bo po drodze spotyka trzy panny w lesie. Są różne przygody. I wieczorem, spity, zhulany, ukradkiem, wstydliwie wraca na swoim srokatym wole chyłkiem pod oficynę w Ekkeby...

Ale to było dużo później. A co przyszło zaraz po historii „Dziadka do orzechów"? „Małe kobietki"? „Robinson"? czy przenajdroższe „Serce" Amicisa?

Nie chciało się Henrykowi po wakacjach iść do szkoły, okropnie się nie chciało. Więc ojciec pisze mu w pamiętniku kursywą (Sabina pamięta, że kursywą), żeby był dzielnym chłopcem, żeby szedł raźno, wesoło, bo w tym dniu wszystkie dzieci idą

do szkoły, wszyscy mali pracownicy wielkiej armii jutra. Idą, idą po wszystkich drogach, ścieżkach i gościńcach, polami i miedzami, górami i skałami, i łodziami płyną...

Boże drogi. Były potem rewolucje i wojny, i wielkie ruchy świata. I czyż to nie tamten tupot małych nóg po zielonych i różowych krajach mapy odczuwała duża Sabina, jak szli przez gęsto kreskowane wyżyny i puste niziny starego atlasu Kozena?... Że to tak wszyscy wspólnie, że to tak wszyscy razem... Nie, to jest po prostu niesłychane, jak dorosły człowiek w groźnych odkrywkach świadomej swojej dojrzałości widzi nagle, jak na dnie leja, czarodziejską twarz dzieciństwa...

A ta indiańska heca?... Te tomahawki, te wigwamy, te mokaseny?... Kochało się Delawarów, nienawidziło się Irokezów, a Siuksy to już po prostu były podłe psy! A te, pożal się Boże, skalpy?... Czy to nie ona sama, nie Sabina, mrąca z żałości nad zarzynanymi przez Ostapa kurczętami, lubiła, no tak po prostu lubiła, chwaliła sobie dobrze, starannie wykonany skalp, gładziutko, równiutko obciętą skórę na czaszce, żeby nie było strzępów.

Ale czy znowu za pogodnie — okropną indiańską groteską, za ogromnym orlim nosem, za diademem kolorowych piór nad sztywno wystruganymi, gładkimi, czarnymi włosami nie czaiło się coś, co się tęsknotą przewlokło przez całe życie dużej Sabiny? Bo czegóż to szukała we wszystkich chwilach, rozdzierających świadomością zakłamany pośpiech życia, jak nie „przymierza krwi" z jednym jedynym człowiekiem, którego by mogła być naprawdę pewną?... I nie było takiego człowieka... Jan...

Ach, dajcież pokój z Janem... Teraz książki, a nie Jan... Więc jakżeż to było?... Kiedy Sokole

Oko zawarł przymierze krwi z Pogromcą Zwierza albo Wielki Wąż z Wilczym Kłem, to choćby go poddano męczarni „młodych drzew" albo krajano w paski, starannie posypując solą, to ani się nie zaparł, ani nie zdradził, ani się w ogóle nie zmienił, ani nic... Był zawsze taki sam i zawsze tak samo można było na niego liczyć. Nie zmienił się. Otóż to — nie zmienił się!

Leżąca na wznak Sabina ze splecionymi palcami rąk, nieruchoma rozważa, rozważa: — ileż to razy łamała ręce nad czwartkowym porankiem, tak niepodobnym do środowej nocy?... ileż razy modliła się do poniedziałku, żeby raczył mieć w sobie choć cośkolwiek z niedzieli?... do listu powierzanego zapadniętym zębom skrzynki, żeby zdążył dojść do nie zmienionej jeszcze pieszczoty rąk?... ach, nawet do otwieranej na dole przez zaspanego stróża bramy, żeby zatrzasnęła się nad nie zmienionym jeszcze nastrojem schodzących z trzeciego piętra kroków?... do nieprzytomnych ze słodyczy słów, żeby nie odskakiwały, już niepotrzebne, od zachodzących mgłą obcości oczu...

Ale Jan, Jan... W znajome zmącenie od włosów do pięt wpada jakiś z tamtych jeszcze czasów ułamek śliskiej od łez rozmowy: — Dlaczego mu nie powiesz, że się tak męczysz?... — pytał ktoś dobry — Alicja, Helena?...

I Sabina słyszy swój tamten umęczony głos: — Jakże mu mam powiedzieć, kiedy on już się dziesięć razy zmienił od tamtego czasu...

Z wysokości swego łóżka Sabina mówi surowo: — Dość tego. Czy się zmienił, czy nie zmienił, czy się męczyłaś, czy nie męczyłaś, to teraz wiesz, że człowiek zawsze umierać musi sam... — I prawie poczerniała wyciąga rękę, żeby spośród baterii fla-

szek na stoliku wyszukać po omacku palcami znajomą flaszkę z kroplami na sen...

PONURY, GROŹNY GŁOS BĘBNA...

Więc tak. Kolorowym pochodem cicho przeszli w swoich mokasenach wspaniali Indianie, zabrali ze sobą „przymierze krwi", zabrali ze sobą dzieciństwo Sabiny — i znikli. Odnaleźli się dopiero w wiele, wiele lat później... i jak? Wstyd powiedzieć: z okazji jakiejś glinianej popielniczki indyjskiego wyrobu przywiezionego jako prezent z Ameryki!... Okazało się, że siedzą cicho w jakimś rezerwacie, podupadli i skapcanieli, wyrabiają takie oto popielniczki na sprzedaż... O, jakże się Sabina musi za nich wstydzić!

Razem z nimi odeszły te zaczytane do cna, te umiane na pamięć, wiecznie te same, oparte o cukiernicę książki dzieciństwa, słodzone karmelkiem trzymanym za zębami, żeby na dłużej wystarczył... przyszły inne książki z czytelni, od znajomych, zewsząd, skąd się dało, takie, które się czyta tylko raz, imiona, za którymi nie stoją żadni ludzie, nazwy miejsc, za którymi nie stoją żadne obrazy, wszystko to, od czego nic się nie dzieje w sercu...

Aż przyszła znowu taka jedna, od której zaczęło się dziać:

...Rafał sadowi się w wymoszczonych saniach, naładowanych zwierzyną... konie dymią na mrozie i niepokoją się w tłumie chłopów w kożuchach. To było wczesne rano na dziedzińcu w Wyrwach przed gankiem... Rafałowi tak było żal odjeżdżać, tak niewymownie żal: bo co tu będzie? co tu będzie?

Sołtys, bębnić!

Ponury, groźny głos bębna... przyprowadzić Tomka Zalesiaka! Weźmie sto pięćdziesiąt batów!

Konie Rafała pomknęły. I Rafał nie dowiedział się, co było. A Sabina się dowiedziała, choć nie chciała się dowiedzieć, choć nie mogła wytrzymać tego wiedzenia, co przyrosło do niej raz na zawsze, wyzierające z każdych pokrzywdzonych oczu...

Więc koleżanka Rotberżanka i koleżanka Kwiatkowska, i kolega Dorster, i jeszcze jakiś kolega po prostu czytają „Popioły" — a Sabina słyszy tamten warkot bębna i zamiera ze zgrozy. Koleżanki i koledzy dyskutują o Rafale, że jaki to on jest, że bardzo męski, że odważny, że głupi, że tchórz, że taki, że owaki... godzinami, godzinami, dyskutują, dyskutują... a Sabinie chce się lecieć za nim, za tym podłym, za przeklętym, dogonić go, zatrzymać, zmusić, żeby świadczył za katowanym Michcikiem, który nie chciał iść „na pańskie", bo go przecież książę Gintułt uwłaszczył... Koledzy i koleżanki rozprawiają o Judymie i rozdartym sercu Joasi, godzinami, godzinami... a Sabina musi wtedy nie wiadomo czemu rozmyślać o małych, pełnych zwierzęcego strachu oczach Justyny, tej zagnanej, tej „od wszystkiego" Justyny od starej Radziszewskiej... Justyny, która przelękła się dobrych słów, bo nie była „zwyczajna"... i nie wiadomo dlaczego musi jeszcze myśleć o łagodnych zazwyczaj, a gniewnych wówczas oczach Franciszkowej, kiedy się mała Sabina chwaliła przed nią, uszczęśliwiona, że kupiec w sklepie, gdzie jej matka „wszystko brała" na święta, dodał jeszcze dla niej, dla Sabiny, darmo tabliczkę czekolady w upragnionym srebrnym papierku, z którego można, Bóg wie co, zrobić na choinkę... — ale dlaczego on mi to dał —

spytała nagle onieśmielona tymi oczami. — Mojemu dziecku nie dałby, nie turbuj się... — mówi twardo Franciszkowa — on da tylko takiemu, co i bez tego ma...

Tak, tak. Czyż możliwe, żeby to wszystko w niej spało, zapomniane czy nie rozumiane, aż dopóki nie przyszły te książki, te książki? I Sabina zanosi się z płaczu, nie wiadomo, czy nad Justyną, czy nad Joasią, czy znowu nad tym, że nieustraszony komisarz na ganku w Wyrwach mówi swoje, a taki szlachcic Nardzewski, który by mógł być jej dziadem czy pradziadem, każe sołtysowi bębnić na chłostę Tomka Zalesiaka...

— Nie, koleżanko Sabino. Tak nie można. Tak biorąc rzeczy, niedaleko zajedziecie. Nie będą z was ludzie — surowo mówią do niej.

— No i mieli rację, że „nie będą ludzie". A co, może byli? — pokpiwa sobie z tamtej Sabina na łóżku.

Tamta nie może się uspokoić. — Przestańże już raz, przecież to nieprawda, to tylko książka... — zniecierpliwiony perswaduje jej ktoś z innej beczki.

— Nie — krzyczy Sabina — właśnie że tak jest naprawdę! Takie jest życie! Ja doskonale wiem, że takie jest życie!

— No i co z tego, że wiedziałaś — nieubłaganie dogaduje Sabina z łóżka — i co z tego, że wiedziałaś, kiedy umiałaś tylko się martwić i nic więcej? Inni robili, a ty się martwiłaś... a do tego jeszcze, pomimo tego wiedzenia, czułaś tu i owdzie, jak się w tobie z samego dna podnosi radość, jak kochasz życie, pomimo że wiesz, jakie ono jest... zupełnie jak ten znienawidzony przez ciebie Rafał: zabrał nocą cudzą łódź, zniszczył, o mało nie utopił Krzysia, naraził go na chorobę, może na śmierć,

i leżał dygocący pod kołdrą, w oczekiwaniu różnych okropności, i jeszcze się cieszył: jeszcze podnosiło się w nim, na przekór wszystkiemu, przyduszone, przyczajone „potężne, młode szczęście"...

I na domiar wszystkiego, bez żadnych już słów, tylko jakby samą sobą, dodaje Sabina to najważniejsze: że teraz, kiedy już tak leży w tym łóżku, to kto wie, czy nie najbardziej żałuje tego właśnie, że tak mało było w jej życiu owych „tu i owdzie"...

DZIESIĘCIORO DZIECI ANNY SVÄRD

Że książki Żeromskiego? To zupełnie naturalne, tak musiało być. Że Anetka Romain Rollanda? To także nic dziwnego... Ale że w Annie Svärd znalazła Sabina coś takiego, co jej kazało czytać tę książkę po wiele razy, rozważać, myśleć o niej... Jakże zdołała przymierzyć swoje życie do tamtego, dalekiego, prostego życia Anny w małej chacie na wzgórzu, przy boku zwariowanego pastora, takiego pastora żywcem ze skandynawskiej powieści...

Ano, zdołała. I to wtedy jeszcze, kiedy Anny Svärd nie było na świecie, zanim ją Selma Lagerlöff wyczarowała wędrującą od wsi do wsi po dalekich gościńcach, tę Annę Svärd, prostą dziewczynę w barwnych wełniakach z Dalarny, ze skórzanym tłumokiem pełnym błyskotek, otwierającym się przed wiejskimi dziećmi po chatach, jak kawał kolorowego nieba w czworokątnej ramie okucia...

Więc już wtedy czuła Sabina, czym jest dla niej brak własnego życia. Ale jakżeż jej się przydało potwierdzenie niezawodnym rozumem prostego człowieka...

Bo prostym człowiekiem była ta Anna Svärd, kiedy przyszła z dalekich dróg ze swoim tłumokiem, marząca o krowie i o koniu, o dziewce i o parobku na plebanii, kiedy spadło na nią z nieba niewypowiedziane szczęście: miała wyjść za uczonego pana, za proboszcza z Korskyrka. Więc w ostatniej swojej podróży z tłumokiem, oparta nim o przydrożny płot, słała swemu wielkiemu narzeczonemu pozdrowienia przez lecące na północ ptaki, a potem ażeby się doń choć trochę, choć troszeczkę zbliżyć w mądrości, uczyła się pisać u wiejskiego bakałarza w rodzinnej wsi, i tak ściskała gęsie pióro w grubych palcach, że aż atrament pryskał czarnym deszczem...

Niewiele jej od tego przybyło rozumu. A zamiast plebanii, krowy i konia, parobka i dziewki, dostała tylko zwariowanego pastora, od którego pomylonych pomysłów mieszał się jej zdrowy rozum prostego człowieka... Aż tu się okazuje, że obok małej chaty na wzgórzu, gdzie on siedział w pięknym pokoju wśród uczonych książek, a ona w pustej i zimnej kuchni, jest inna chata jeszcze mniejsza, a w niej dziesięcioro osieroconych dzieci, którymi nie ma się komu zająć, i tymi właśnie dziećmi zajęła się Anna Svärd: spadły jej po prostu na kark i musiała je utrzymywać z różnych prostych robót, jakichś włosianych pierścionków, grubego, ciepłego kuczbaju tkanego w kuchni zmienionej wbrew wszelkiemu pozornemu sensowi życia w wesoły, hałaśliwy warsztat, pełen śmiechu dzieci i rozkazującego głosu pokornej, prostej Anny, która od razu stała się kimś...

— A ty, Sabino, jak długo byłaś nikim? — dogaduje samej sobie Sabina w łóżku — bo gdybyś nawet spotkała wcześniej tę Annę Svärd, to tak by

cię przeraziła ta gromada cudzych dzieci, ciebie, która nawet ze swoim jednym nie umiałaś sobie dać rady, żeby ci to przesłoniło to, o co tu naprawdę chodzi... a przecież twoim dziesięciorgiem dzieci były jasne pokoje na Filtrowej, i szkoła, i Tomasz... trochę późno przyszły, powiadasz? No, dobrze, że w ogóle przyszły...

A „zaczarowana dusza" Anetki? Ach, jakże się dobrze rozumiały z Sabiną, jak to obie przeżywać miały wszystko od początku, wszystko na nowo ze swoimi synami, po prostu miał się zmienić kolor świata, oglądanego wspólnie... no i czy się zmienił? Nic się nie zmieniło, każdy dzień zaczynał się od postanowień, że będzie krokiem naprzód w tym poznawaniu, każdy dzień kończył się tęsknym wyczekiwaniem na przyjście służącej, która cię uwolni od tego „poznawania"... a wszystko razem skończyło się na tym, że syn poznawał swoje samochody i motocykle, i harcerskie sztuki, a ty poznawałaś swego Michała w Murszewicach... no i znowu masz „dziesięcioro dzieci Anny Svärd" — no nie?

Z panną Julią de Lespinasse rozumiałaś się jeszcze lepiej. Tak dobrze, że aż Jan śmiał się z ciebie: — nie potrzebujsz mi nic mówić — twierdził — wystarczy, że mi podasz stronicę, i który wiersz od dołu czy od góry w „listach panny Lespinasse"... nic już nie wymyślisz lepszego, niż ona wymyśliła dla swego Guiberta... — i wychodził z domu, a ty zostawałaś sama i znowu zaczynałaś od początku, razem z przemądrą, z kulturalną, z przerafinowaną, wszystkiego świadomą panną Lespinasse. Aż w końcu zdradziłaś ją i opuściłaś, kaszlącą i staczającą się bezradnie w śmierć, bo owo Rafałowe niemądre szczęście wydźwignęło cię aż do tej małej chaty na wzgórzu, gdzie prosta

Anna Svärd, nie umiejąca napisać ze wzoru „kto rano wstaje, temu Bóg daje", potrafiła sobie wśród dziesięciorga cudzych dzieci budować własne życie...

WSZYSTKIE OGNIE WYPALAJĄ SIĘ ZWOLNA...

Tak, tak — myśli Sabina — wiedziałam, że tak będzie. Indianie, nie Indianie, przymierza i zdrady, i ponury, groźny głos bębna, i tamto szczęście — całe to przymierzanie życia do książek i książek do życia skończy się nie inaczej jak na przymierzeniu własnego serca do serca Krystyny, córki Lawransa, i to w nie byle jakim miejscu tej książki, tylko właśnie w tym omijanym, tym opuszczanym dotąd jako takie, na które nie nadszedł jeszcze czas... A teraz właśnie już nadszedł...

Oto Krystyna odchodzi od życia. Obrazy przesuwają się szybko i bez związku przed okiem jej duszy: dawne, codzienne, drobne wydarzenia. Oto widzi siebie samą biegnącą co tchu z pastuszkiem przez rzadki las poniżej hali — krowa jakaś im ugrzęzła w bagnie — słońce świeci mocno. To znowuż dworski dziedziniec z dwiema wielkimi śnieżnymi zaspami, omal nie zawiało jej z powrotem w przedsionek, kiedy otworzyła drzwi...

Tak, czas już nadszedł. Może sobie przemyśleć spokojnie wszystkie swoje drogi, tak jak Krystyna przemyślała tę ostatnią z dworu na Jörund do klasztoru w Nidaros. I czy to nie dziwne, że ta jedna, jedyna droga wszystko obejmuje w sobie: i dzieciństwo, i Jana, i Kazimierza, i to ciągłe czekanie na coś, od czego to niby wszystko ma już być inaczej, a potem nie jest inaczej, i tę nikomu

niepotrzebną własną mądrość ciułaną latami doświadczeń, a którą każdy musi zdobywać na nowo, od początku...

Wszystkie ognie wypalają się zwolna — powiedział Szymon Darre. Dobrze. Wszystko można sobie wyperswadować, ze wszystkim można się pogodzić. Ale co robić, kiedy przyjdzie na człowieka taka tęsknota za głupstwem, za byle czym, za czymś, co nawet nie było dobre albo co było żadne, i tylko tyle, że w ogóle było? Przecież Krystyna w drodze do Nidaros musiała myśleć z tęsknotą właśnie o tych dwóch zaspach na dziedzińcu, które razem z całą czeladzią przeklinała codziennie... A co Sabina ma począć z tym, że tak jej się strasznie, tak okropnie chce posłyszeć jeszcze zgrzyt Janowego klucza w zatrzasku, albo trochę położyć się w jadalnym na sofie pod tradycyjnym, starym paltem z wyłażącą watą, albo wymijać nieznośne kałuże po tych ciągłych deszczach ostatniej jesieni na rynku w Murszewicach...

I jeszcze jedna rzecz: wszystkie ognie wypalają się zwolna — i Krystyna myślała sobie o tym spokojnie i mądrze w drodze do Nidaros. Ale ona, choć nie miała już oglądać śnieżnych zasp na swoim podwórzu, miała jeszcze oglądać jakieś zaspy... A co robić, jeśli nie ma się już oglądać żadnych?

Nic nie robić. Cała rzecz w tym, że to już jakoś samo się zrobi. Chyba właśnie tak wypalają się ognie...

Część piąta

PO ZABAWACH I ZAJĘCIACH

NAGUSKI

Na dziś znowu przypada wszystko tak, jak Sabina najwięcej lubi: od samego początku.

Ale pielęgniarka tego nie wie. Nie może przecież tego wiedzieć. Jest dziś bardzo niezadowolona z „chorej", bo gdyby się ją natarło octem na wieczór, tak jak powiedziała, toby się „to" nie było zrobiło. A zawsze łatwiej jest nie dopuścić, niż potem wyleczyć...

Helena martwi się, a przy tym jest trochę zmieszana. Mój Boże, taka była zmęczona wczoraj wieczorem... Ale natarłaby, oczywiście, żeby natarła, gdyby jej Sabina wspomniała choć słówkiem, że trzeba ją natrzeć...

— A tak prosiłam, żeby...

Jedna Sabina nic sobie z tego nie robi. (Daleko ważniejsze jest, żeby sobie spokojnie przemyśleć od początku to, o co teraz jej chodzi, a co nie wie jeszcze sama, jak nazwać). Nie, doprawdy zapomniała o tym powiedzieć Helenie po prostu dlatego, że ją nic nie bolało. A teraz? Teraz też nic ją nie boli, tylko chciałaby spokojnie leżeć... A ten ocet... owszem, od niego robi się jej tak, jak kiedyś strasznie dawno: ten kwaśny zapach łączył się z czymś dobrym, ale z czym? Czy Helenie ten zapach niczego nie przypomina?

Ale Helena jedną nogą już jest poza domem: w nowym kapeluszu, z futrzaną mufką w ręku,

wydaje się oczom od poduszki wielka i ważna, jakby nie Helena, tylko jakaś pani... Nie, Helena nie może sobie nic przypomnieć (co też chorym nie przychodzi do głowy?), zresztą śpieszy się bardzo i tak się już spóźniła... Czy nie potrzeba Sabinie czego kupić? — Nie, nie trzeba nic — idź już kochanie, bo się spóźnisz (o dzwonku Sabina za nic nie przypomni, niech potem żałują, że nie kupili dzwonka) — i niech już Sabina zostanie nareszcie sama ze swymi naguskami.

Ach, więc wymówiło się samo zapomniane magiczne słowo dzieciństwa? Szczęście wielokrotnie rozbijane, dosłownie sklejane w kwaśnym zapachu octu czy czegoś takiego...

Były małe jak palec; sinobiałe, lśniące, jakby polewane, zrobione z porcelany czy czegoś podobnego, z włosami malowanymi na czarno i gładko, z rozmazanymi małymi kleksami rumieńców na policzkach, i z całkiem już malutkimi kropkami ust i oczu. Stały sztywno na nogach złączonych nieledwie do końca, trzymając ręce zgięte w łokciach pod kątem prostym i dlatego nie można im było szyć rękawów, tylko po prostu dziury. Dziś już nie ma takich golasów. Są inne, ładniejsze, ale już nie te, nie te: różowocieliste, puste wewnątrz, a ręce mają ruchome na gumkach.

Tamtym właśnie te ręce najłatwiej się obtłukiwały i była rozpacz. Ale ciotka — tylko nie ciotka Teresa, skądże, gdzieżby się ciotka Teresa zajmowała takimi rzeczami... tamta była ciotka Aniela. Więc obłamywała się taka ręka, i była rozpacz. Ale ciotka Aniela brała kawałek żelatyny i jeszcze trochę czegoś, trzymała na łyżce nad świecą i przyklejała tym rękę, i był kwaśny zapach, i było szczęście, i przysięgało się sobie, że już teraz

będzie się tak ostrożnie, tak ostrożnie... Ale niedługo potem ręka znowu odpadała i znowu była rozpacz, była okopcona od dołu łyżka, był kwaśny zapach i szczęście... Tym razem to już naprawdę nie miało się nigdy odkleić!...

— Pani już wychodzi, panno Zofio?

— Taaaak — zmieszana trochę pielęgniarka wiesza na gwoździu na drzwiach swój biały fartuch — dziś muszę trochę wcześniej, bardzo się śpieszę... ale że nasza chora tak dziś, mimo tamto, doskonale wygląda — śmieje się trochę sztucznie — no, jakby nie chora... — W palcie i berecie od razu robi się także ważna, jakby nie panna Zofia pielęgniarka, tylko jakaś pani...

Wszyscy się śpieszą, tylko jedna Sabina ma czas. Wszyscy są ważni, i mają jakieś interesy, tylko jedna Sabina jest już nieważna, jakby żałośnie prywatna (no poczekajcie, niedługo ja znowu będę najważniejsza, tylko na krótko, na krótko!...) i zaraz uciekając od tej myśli, zapada się znowu w tamto:

...Jest chyba jeszcze bardzo mała i idzie po ulicy z matką — może była wtedy po raz pierwszy w Warszawie? Jest trochę dziwnie, trochę obco, idą panie — takie ważne jak Helena i panna Zofia, idą panowie, ale panowie się nie liczą... — Patrz no, Sabinko, kto to idzie naprzeciw nas, nie poznajesz? — i okazuje się, że jedna taka pani to nie żadna pani, tylko ciocia Ludka. Sabina leci, wpada w rozpostarte ramiona i dalej już idzie jakby w tryumfie, szczęśliwa i bezpieczna, trzymając się jedną ręką matki, a drugą ciotki, i jakby pod dachem ich dorosłej nie wiadomo o czym rozmowy ponad swoją głową. Wchodzą do bramy i po schodach do mieszkania cioci, i tam jest kot. Ale kot

nie chce Sabiny, ucieka i ciotka na pociechę wyszukuje w czarodziejskim wnętrzu jakiejś pełnej skarbów szuflady naguska...

...Właściwie to nie był żaden nagusek, bo miał jakąś fałdzistą sukienkę, to była raczej taka lalka, brzydka lalka z porcelany albo jeszcze lepiej, taka figurka z obtłuczonymi nogami i nie było już co przyklejać. Nie wiadomo dlaczego zrobiła się od razu upragniona. Tak samo ten piórnik: stary był, drewniany, zaokrąglony i bliski sercu. I Sabina tuląc do siebie piórnik z beznogim „naguskiem" we wnętrzu, wychodzi szczęśliwa, że go ma i że znowu pójdzie ulicą. W tej chwili, gdyby ją nawet zapytano, czy chce balonika, to odpowiedziałaby, że nie. Po prostu przez jakieś poczucie wstydliwości, przyzwoitości, umiaru... Czyż może wiedzieć, co będzie? Że usłyszy za sobą głuche złe dudnienie? Że jakaś stara kobieta z wąsami będzie toczyła przed sobą wielki ceber czy balię, oczywiście tylko po to, żeby dogonić Sabinę i zabrać ją do tego cebra, jak we śnie... A matka tego nie widzi, nie słyszy i idzie spokojnie jakby nic... Sabina nie może tego matce powiedzieć. Musi udawać, że wszystko jest dobrze, i liczyć tylko na to, że może się uda prędzej dojść do rogu...

Udało się. Spocona ze strachu mała ręka przyciska piórnik do serca, druga trzyma się matki, która nic nie wie... Ach, nie obejrzeć się, nie obejrzeć!... Doszły do rogu, skręciły, a dudnienie poszło prosto. Sabina jest ocalona...

— Dlaczego tak mnie ściskasz za rękę? Puść!... — mówi matka. A Sabina w milczeniu uśmiecha się pobłażliwie... Znowu jest taka szczęśliwa!

Ale nocami, kiedy było cicho, znowu coś dudniło czy stukało głucho i miarowo jak toczenie

się cebra po chodniku, jak kroki kogoś, który nigdy nie nadejdzie. Potem znikło i nie było nic. Dużo później okazało się, że to było bicie własnego serca. Teraz znowu jest, i jest jak kroki kogoś, kto nadchodzi...

W PARKU

— Czym chcesz być, jak dorośniesz?

Fredek już odpowiedział, że malarzem. Alicja — że chce grać w teatrze. Sabina milczy i nieustannie skacze przez tę swoją czerwoną skakankę. W tył i naprzód.

Skakanka? Dlaczego to teraz takich nie ma? Taki pręt czy witka, pomalowana i giętka, dająca się zwijać w kółko, z dwiema rączkami do trzymania. I skakało się przez to, skakało, skakało, w tył i naprzód, ciągle... to jest właściwie nie wszystkie dzieci tak ciągle skakały, ale Sabina ciągle. Jak tylko wyszła z mieszkania na Hożej, to skakała. Przez całe Aleje. Dopiero przed wejściem do Parku zwijała skakankę, żeby się do syta namęczyć czekaniem, żeby zamierać z czekania, że zaraz w kasztanowej alei zobaczy z daleka wśród gromady dzieci czerwoną sukienkę Alicji. A jeżeli nie zobaczy nic czerwonego? A jeżeli zobaczy i to nie będzie sukienka Alicji, tylko innej jakiejś dziewczynki, jakiejś innej, jakiejś innej?

Matka siada na ławce zmęczona, wyciąga robotę czy książkę. Matka tak się zawsze zmęczy, nim dojdzie do dalekiego parku, żeby Sabina była na powietrzu — tak się zawsze zmęczy miastem, kurzem, gorącem, drogą, Sabiną uwieszoną u łokcia, Sabiny gadaniem, pytaniami, czy już tu można roz-

winąć skakankę? A tu można? Nie? A tam będzie można?...

Matka siada na ławce. Sabina staje przy matce. — Sabino, nie stój tak przy mnie, czemu nie bawisz się z dziećmi? Tak nudziłaś, żeby iść do parku, a teraz stoisz. — Mamo, bo nie ma Alicji! — Ależ na miłość boską, bez Alicji można się jakoś bawić, nie stać przy ławce!... — Ale głos Sabiny wygląda jakby puchł z płaczu: Właśnie, że nie można! Nie można! Nie można!

W zawodzie serca, w kurzu, w gorącu gnuśnie mija parkowe popołudnie.

— Czy panienka chce się bawić z nami? — A w co? W jaworowych ludzi? W anioł i diabeł? W farby? W komórki do wynajęcia?

...ene, due, rabe, ęczek, pęczek, żabe... — to jednak robi swoje. Choć oczy patrzą ciągle w stronę bramy, czy Alicja nie idzie, to jednak robi swoje!...

...ene, due, resz, ęczek, pęczek, wesz — no nie, temu nie podobna się już oprzeć!... Oczy jeszcze spoglądają w stronę bramy, ale usta już się śmieją, niewierne, i już się martwią, że są niewierne.

...na kogo wypadnie, na tego samego, pana Jana brzdęk — i oto już trzeba myśleć po prostu rozwrzeszczanym radośnie ustom, nie mogącym ustać na miejscu nogom, na pociechę czy usprawiedliwienie, że Alicja jeszcze przyjdzie, że przecież jeszcze w każdej chwili może nadejść...

Ale sercem się czuje, że to nieprawda, że już po dalekich, wąskich dróżkach, wśród klombów i gąszczów, których się czepia jak pajęczyna przejrzysty letni zmierzch, krąży „on" z błyszczącą trąbą, której dotknąć już byłoby szczęściem. Chodzi „on" z metalowookutym kijem, ze szpicem, na który nadziewa papierki... „On", który wszystko może:

i zaaresztować, i zabrać piłkę, która wpadła dziecku na trawnik, i kto wie, czy nawet nie samo dziecko zabrać do torby!...

W jego mocy jest zatrąbić, żeby się zrobiła noc i żeby wszystkie dzieci poszły do domu spać. Żeby skakanka zwinęła się na noc jak wąż, do snu. Żeby rozszalałe od zabawy nogi, od razu potulnie dorosłe, szły na Hożą jak do więzienia. I w jego mocy jest nie zatrąbić, żeby matka Alicji nie domyśliła się, że już jest późno, i przyprowadziła Alicję do parku...

A kiedy „on", sam zamknąwszy park, wróci do domu i zacznie sobie rozkładać pozbierane za dnia papierki, to kto wie? Może znajdzie między nimi dużo takich błyszczących od czekolady?...

Sabina aż się przyczaja: z czarodziejstwa lata i zabawy w parku wpada od razu, jak to ona tylko potrafi, w zimne, lśniące czarodziejstwa zimy i choinki, całutkiej obwieszonej błyszczącymi papierkami, zdjętymi ze szpica okutego kija. Ach ty stróżu w Parku Ujazdowskim, czy ty myślisz, że Sabina tobie zazdrości? Przecież o tym nie ma mowy: za wielki jesteś na to! Takim jak ty się nie zazdrości, o takich myśli się tylko do poduszki, przed zaśnięciem...

I na pytanie, kim chce być, jak dorośnie, Sabina nie ośmieszy się odpowiedzią, że stróżem w parku. Nie chce być uważana za głupią, która pnie się do niemożliwych rzeczy. Każe zamilczeć sercu.

I obojętnie, nie przestając po swojemu skakać w tył i naprzód, prawie że nieuprzejmie odpowiada:

— Nauczycielką...

Dorośli, jak dorośli: śmieją się do siebie i robią miny.

Dosyć tych strachów przed krokami i przed cebrem, i przed stróżem w parku, dosyć tych niepewności i zmartwień o mignięcie czerwonej sukienki w kasztanowej alei — dziś Sabina chce wyłowić z dzieciństwa same dobre rzeczy. W pokoju jest cicho i szaro, wszyscy się gdzieś porozchodzili, zajęci swoimi sprawami, zalatani i mający „masę rzeczy do załatwienia", jak najdalsi od Sabiny, która będzie teraz brała do ręki jedno po drugim kolorowe wspomnienie. Zupełnie tak, jak niegdyś na Hożej — przykucnięta między piecem a żółtą szafą przy starym pudle bez pokrywy, pełnym gratów i szczątków zabawek... Wygrzebywała wtedy po omacku, nie patrząc: — to klocek od wygubionej już łamigłówki, to brudnoniebieską gumową szmatkę z balonika, to bezcenny flakonik od perfum ze szklanym korkiem, to jakąś kulkę czy kostkę od nie istniejącej już, rozwłóczonej po kątach gry...

W pokoju jest cicho i szaro. I kto by się domyślił, że Sabina przebiera w kolorowych wspomnieniach jak w pudle z tamtymi gratami?... Weźmie do ręki, potrzyma, popatrzy, rzuci, szuka innego — przecież musi koniecznie natrafić na dobre, na najlepsze...

Może ten klocek od łamigłówki?

...ma zaokrąglone od zużycia kanty, na zatartym obrazku jakaś ręka, staroświecka, mała, wyblakła twarz w płaskim kapeluszu z kwiatami... I już wystarczyło, żeby w pokoju „chorej" usłyszeć tamten dawny płaczliwy, naprzykrzający się głos: — Mamo, mamo, co robić?...

— Ułóż sobie łamigłówkę!...

Na samym brzegu stołu okrytego ceratą, zawalonego sprawami dorosłych ludzi, niechętnie się rozkłada znudzona Sabina ze swoim miejskim, zakurzonym dzieciństwem. Małe, ruchliwe ręce z perfidną wprawą dobierają do płaskiego kapelusza i zieloną łąkę i nogi w trzewikach, jakich teraz nikt nie nosi, i staromodne sukienki, i całe dziewczynki z wdziękiem karmiące ziołami z koszyka osła z kosmatą mordą... Gotowe! w mig...

— Mamo, już ułożyłam... A co teraz robić?

— Ach, mój Boże... Przecież łamigłówka ma sześć stron...

Z rozpaczliwą szybkością małe dłonie ściskają każdy rząd kolejno i odwracają go w całości: — znajoma jak zły szeląg krowa ze zdziwioną, głupią miną, z perspektywą szwajcarskiego domku z kamieniami na dachu... Już... — Mamo, a teraz co robić?...

Matka uśmiecha się męczeńsko: — No nie, cóż to za dziecko z tej Sabiny!...

A „chora" odrzuca to wspomnienie, jak tamten klocek: — nie, to nie to, nie to, nie to...

Może balonik?

...pan odczepił go od długiego kija i złożył na krótkim sznurku w małe, wyciągnięte do szczęścia ręce. — Trzymaj mocno, Sabino — mówi matka — w domu przywiąże się dłuższą nitkę...

Szczęście miało trwać zawsze. Trwało przez obiad i jeszcze trochę po obiedzie. Nad wieczorem balonik zmatowiał. Zgrubiała, połyskująca, rozkosznie napięta pod palcami niebieska powłoka. — Sabino, nie gnieć go tak ciągle w rękach, bo pęknie... (Łatwo powiedzieć: duża Sabina dziś jeszcze czuje jak wtedy tęsknotę palców za chrzęszczącą powierzchnią).

Nie pękł. Ale już nie stukał lekko a twardo

o sufit. Ustępliwie bujał poniżej. Oczy śledziły go podejrzliwie, ale udawały, że wszystko jest dobrze.

Rano nie mogły już udawać: pomarszczony i oklapnięty, bezsilnie wałęsał się pod ścianami poniżej połowy ich wysokości. Po południu bezwstydnie plątał się nad podłogą. Wieczorem leżał w kącie. Mówiło się: — można go będzie nadąć zwykłym powietrzem i będzie piłka. Nie było piłki. Była porwana szmatka z brudnoniebieskiej gumy. Oto wszystko.

Chora się niecierpliwi: — nie, to nie to, to ciągle nie to! Ona chciała, żeby dziś było inaczej. Żeby nie było nudy ani żałości. Że też nie może natrafić...

Ach, już wie, już wie... Rinaldo Rinaldini!!!

— Pani tak leży po ciemku, może pani co potrzeba? Zaświecić lampę?

— Ach nie, dziękuję... (Żeby tylko to spokojnie przemyśleć!...).

Stasia jest dobra i miła. Ale wychodzi obrażona, wzruszając ramionami. Czyż mogła wiedzieć, że właśnie w tej chwili Sabina wyławia coś dobrego, coś najlepszego? Że widzi siebie samą znowu inną: — jak w miodowym, letnim powietrzu, słodkim od kwiatów i od owoców, biegnie w tym wielkim sadzie po żwirowanej alejce między rzędami jabłoni. Nogi pędzą same, aż kolana migają pod brodą. Roztargane włosy lepią się do czoła, oczy czujne, uważne, przebijają szpalery porzeczek. Przebijają gąszcz malin. Czy to naprawdę ta sama znudzona Sabina od klocków, ta sama żałosna Sabina od balonika?... Och, jak pędzi!... Zaraz przycupnie pod samym parkanem, zniknie za lasem mdlejących od upału pokrzyw: tych z drobniutkimi, jasnymi listeczkami i tych innych, wielkolistnych i ciemnych. Niech ją parzą,

niech pokryją bąblami jej gołe, podrapane nogi. Ona nawet nie piśnie, ta najdzielniejsza, ta najsprawniejsza, ta, która najszybciej biega, ta, której nikt nie dorówna — tylko Alicja, tylko Alicja, tylko jedna Alicja...

Skryją się teraz obie za róg altany obrośniętej palczastym dzikim winem i tym innym pachnącym słodziej niż róże. Zapadną w mrok korytarza i zielonej drewnianej kraty, okrytej kaprifolium i znowu wybiegną na zalaną słońcem ścieżkę, upojone sobą, rozszalałe od zabawy, bo są teraz „kupcami" i nigdy, przenigdy nie dadzą się złapać Fredkowi-bandycie, czyhającemu tam przy sadzawce za szopą z narzędziami, żeby je napaść.

I to jest właśnie szczęście.

Na drugim końcu ogrodu koło budki z owocami Zosia i Wanda gnuśnie tracą czas „przy fortecy". Ogród aż huczy od rozkoszy biegania, od kryjówek i zasadzek, od tajemnic i niebezpieczeństwa. A te biedaczki siedzą „przy fortecy", do której nigdy nie dojdą ani „kupcy", ani „bandyci", ani „szpieg", ani „goniec", ani sam Rinaldo Rinaldini, i o tym wie najgłupsze dziecko w całym ogrodzie. Ale trudno — „na kogo wypadnie, na tego samego pana Jana brzdęk"... Niedawno wypadło na Alicję i obie z Sabiną siedziały przy „fortecy", choć wszyscy inni latali jak opętani. Bo jedno jest pewne, że Sabina nie opuści Alicji w takiej chwili. Choćby na nią wypadło być samym Rinaldo Rinaldinim, to ona się zamieni z kimkolwiek i będzie siedziała z Alicją przy „fortecy", a każdy zamieni się chętnie na lepsze. Tak, bo żeby miała gnać po skwarze resztkami sił, spocona i zgrzana, podczas kiedy nieszczęśliwa Alicja siedzi w cienistej „fortecy", nie! to się po niej, po Sabinie, nie pokaże! Więc siedziała

z nią razem. Za to dziś jest „kupcem" za wszystkie czasy.

Ale wszystko ma swój koniec. Nie zdążył jeszcze skwar przełamać się na drugą stronę południa, nie zdążyło słońce dojść do cienistego półkola ławek, obleganego przez matki z robótkami, ani cień położyć się na zwiędłe od gorąca pokrzywy pod parkanem, a już Sabina pędzi po tej samej ścieżce między jabłoniami, tak samo nieprzytomna od zabawy. Znowu jej kolana migają pod samą brodą, włosy lepią się od potu, a oczy wypatrują po tych samych porzeczkach, wypatrują, wypatrują, czy nie kryje się w nich Fredek? — Ale już nie Fredek-„bandyta", tylko Fredek-„kupiec". Bo jakże Fredek mógłby być bandytą, kiedy to już jest inna partia Rinaldo Rinaldini i bandytą jest właśnie Sabina.

I to także jest szczęście.

Nareszcie matka się zgodziła.

No, więc idź! Tylko żebyś mi była na szóstą. Oddajcie ten list i zaraz wracaj! I nie biegnijcie po ulicy!

Przed bramą czeka Alicja. Biorą się za ręce jak dzieci i biegną po ulicy. Ale tylko trochę. Za chwilę się powstrzymują, biorą się pod ręce i idą jak dorosłe. I zaraz zmienia się nawet odgłos własnych kroków na tej znajomej, jak własna kieszeń, ulicy. Że to Sabina nie jest już tą uwieszoną u łokcia matki małą Sabiną! Że jest taką samą jak inne dziewczynki, chodzące po ulicy. Jak „jakaś dziewczynka"! Ważna! Alicja też jest ważna. Idą sobie jak „jakieś dziewczynki". Jak „jakieś panienki".

Mijają znajomy sklepik, gdzie Sabina zawsze kupuje „naklejki" i papier „do obkładania". Mijają

znajomą mydlarnię, gdzie są doskonałe, okrągłe pieczątki do bibuły. I gwiazdki. I malowanki... Szyldy patrzą na nie jak znajome twarze.

Mijają na rogu starego posłańca, o twarzy tak znajomej jak zły szeląg, znajomy kiosk z panią wychyloną powyżej pasa w owalnej ramie okienka.

Tak się czekało tej chwili, żeby nareszcie móc się z Alicją nagadać, powiedzieć jej o tym, co mówiła Leosia, i pozbyć się ciężaru strasznej tajemnicy. Dlaczego miałaby się Sabina sama jedna z nią męczyć? I jeszcze: żeby zobaczyć oczami Alicji, jak się od tego wiedzenia zmienia kolor świata. A teraz jakby się miało zawód: tajemnica nie zmienia świata w niebieskich oczach rozsądnej Alicji.

— Przede wszystkim — powiada — nie wiadomo, czy to prawda. Mnie się zdaje, że to wszystko bzdury. Ja słyszałam zupełnie inaczej: że brzuch pęka i przez środek dziecko z niego wychodzi.

Sabina staje na środku chodnika. Po prostu nie może iść dalej. Jest jej tak, jakby już nie tylko brzuch, ale cały świat rozpękł się na dwie połowy. A oprócz tego czuje drzazgę w sercu: więc Alicja coś słyszała? I nie powiedziała Sabinie? Oczywiście: wobec pękania brzucha i świata ta drzazga jest mała. Zupełnie tak, jak kiedy Sabina, będąc całkiem jeszcze małą, mówiła do matki: „kocham mamę tak jak wszystkie góry i wszystkie rzeki, i jeszcze jedna kafla z pieca"... więc ta drzazga była jak ta kafla z pieca. Ale była.

Alicja ciągnie nieubłaganie.

— Ostatecznie... to byłoby nawet mniej głupie, gdyby dziecko wydostawało się przez takie długie pęknięcie, ot na przykład stąd dotąd — tu pokazała nie na sobie, tylko na Sabinie — niż przez takie

coś co nawet nie wiadomo, czy naprawdę jest — wzruszyła pogardliwie ramionami — no nie?

Ale zaraz dodaje z westchnieniem:

— Ale gdzie tu rozumu szukać w tym wszystkim. Przecież każde dziecko wymyśliłoby mądrzej niż to...

Tak, tak! Alicji nie zadziwisz ani nie przerazisz! Alicja już jest taka. I już Sabina zaraża się od niej tą wspaniałą pogardą: niech sobie „panowie" robią co chcą, niech sobie dzieci się wydostają, którędy im się podoba. Jedno jest pewne. Alicja i Sabina nie będą z tym miały nic wspólnego! Nigdy! Przenigdy!

Uspokojone idą dalej. Dawno już minęły tę Hożą, na której każdy kamień znany jest jak podwórko babcinego domu z dzieciństwa, dalej Plac św. Aleksandra i Nowy Świat, o samej już nazwie, napełniającej zwykle Sabinę wzruszeniem, jak nadzieja podróży. Ale teraz jej to nie w głowie. Bo właśnie skręcają w ulice bardziej obce, nie ma już tych znajomych sklepików, mydlarni, kiosków, posłańców na rogach. Są sklepy, w których „kupcy" sprzedają różne rzeczy, których Sabina nigdy nie kupi. Są chodniki, w których się nie wyszukuje znajomej płaskiej płytki, „takiej wygodnej akurat na nogę". To są po prostu chodniki, po których chodzą jacyś „przechodnie", jakieś panie i jacyś panowie, tu i ówdzie jacyś ludzie. W tramwajach pełno jest „pasażerów", których konduktor zapytuje, czy „nie posiadają biletu"? Środkiem ulicy idą właśnie żołnierze. Bo tak już jest na świecie, że każdy musi robić swoje. Przecież tam daleko, na Hożej, w domu siedzi matka i „się martwi", ojcowie zawsze muszą wychodzić z domu, w szkole „panie" „dają lekcje", a potem rozmawiają między sobą o uczennicach, jaka która jest i co jej „postawić", a już

najwięcej o niej, o Sabinie... Tak już jest na świecie, że każdy musi robić co innego. Gdzieżby więc na miłość boską byli ci, którzy robią takie potworne świństwa, jak mówi Leosia? Bzdury!

Idą ulicami coraz mniej znanymi. — Ciekawe, kto tam może mieszkać w tych wszystkich domach? Tam szyldy miały twarze starych ciotek, musiały być właśnie takie, jakie były, i nie podlegały dyskusji. Tu patrzały z nich nieznajome nazwiska, niezwyczajne ich dzieciństwa. Są jak obce, mocno domknięte twarze, za którymi stoi świat tajemniczy i zły... I od tej obcości opuszcza Sabinę krzepiące uczucie pogardliwej wyższości, tajemnica niby to już rozłożona na części i unieszkodliwiona, znowu się zrasta i narasta, i osacza Sabinę jak te milczące, domknięte twarze szyldów...

Milczy, zgnębiona. A z Alicją widocznie też jest nienajlepiej, bo oto w szumie i turkocie słyszy Sabina nad uchem jej głos:

— Ależ oni kłamią... jak najęci! Oszusty!

Sabina zadrżała. — Kto: oni?

— Ano... dorośli.

Ale już nic więcej nie może powiedzieć, bo właśnie wchodzą do bramy. Alicja ma „się kłaniać od rodziców" i oddać list i książkę, i przeprosić, że dopiero teraz.

Ale w powrotnej drodze znowu powraca do tamtego.

— Bo przecież „oni" wiedzą. Nie tylko o dzieciach, ale w ogóle... Ale przecież „ich" nie można wcale spytać...

Sabinie nie trafia to do przekonania. Alicja ciągle — „oni", „oni"... Tu są kupcy, pasażerowie, żołnierze, panowie, panie, listonosz... Ach, mój Boże! Żeby tak spytać listonosza — i mimo powagi chwili

zaśmiewa się po swojemu z tego głupstwa — po prostu pęka ze śmiechu...

Ale Alicja wcale nie „pęka", nie w głowie jej żadne pękanie. Zaśmiała się krótko, na odczepnego i znowu swoje:

— Ja właśnie mówię — powiada jak dorosła — ja właśnie mówię, że nie ma kogo spytać... No bo kogo?... — i wylicza na palcach — przecież mamy nie, ciotki Julii nie, pani w szkole nie... No więc kogo? kogo? kogo?

Kiedyż to było? Sabina nie może sobie przypomnieć. Zaraz, to było jeszcze na Hożej, mogła mieć wtedy jakieś jedenaście, może dwanaście lat... Nie, musiała już mieć ze czternaście, bo przecież to było już za czasów Leosi i niedługo potem dostała pierwszego periodu. Nie stała się wiele mędrsza od tej dorosłości, nie... Od tego, że usiłowała biegać i skakać, jakby nigdy nic, pomimo tępej, nudnej, bolesnej, jakby do ziemi ciągnącej ociężałości — od tych wszystkich sztuk i historyj, jakie wyrabiała, żeby się nikt nie domyślił.

Niewiele też nabrała rozumu od tej pierwszej nocy z Janem, kiedy to umierała ze strachu, że zaraz oto zaczną się dziać te „potworne świństwa", o których tyle gadała z Alicją... Ani od tych wszystkich późniejszych nocy, wypełnionych, nalanych gorącą czarnością po same brzegi sinego świtu. A już najmniej od tych pustych, jakby zbladłych i wystygłych od tego, że się właśnie nic nie działo...

Nie wybiegać naprzód! Przemyśleć wszystko od początku do końca, systematycznie i po kolei! Czyż Sabina nie widzi, że zaczyna się znowu tak samo, jak przy sukniach: — myśli wtedy skakały, pędziły

naprzód, to znów cofały się i trzeba było każdą z osobna złowić i za rękę przyprowadzić na miejsce, żeby wszystko ułożyć kolejno, jak było...

Widzi. Ale teraz zaczyna się tak samo i na to nie ma rady.

Trzeba się cofnąć. Od tamtych pustych nocy, od twardych pod śliskością łez postanowień, które poranek rozbijał w puch. Trzeba się cofnąć. Może nie tak bardzo daleko wstecz. Do „studiów"?... Do wykładów takich i owakich?...

Egzaminy... Ach, nawet się myśleć o tym nie chce: — z brodatych twarzy, z zaszklonych profesorskich oczu padały pytania: — Ach, żebyż tylko w myśl pytającego utrafić, żeby tylko po jego myśli odpowiedzieć... Zupełnie jakby jakaś zmowa...

No, to już chyba nie mogło odemknąć ani jednej twarzy świata. A było ich dużo, milczących i szczelnie domkniętych, jak tamte obce szyldy z nieznanych ulic, kiedy to obie z Alicją odnosiły książkę i list... Za każdą taką twarzą siedzą jacyś „oni": „oni" kazali, „oni" żądali, „oni" obiecali dać i „oni" nie dali — a ty, człowieku, lataj od jednych do drugich...

Jakże się to stało i kiedy, że od tych wszystkich nocy z tamtej małej Sabiny zrobił się nie kto inny, tylko taka właśnie matka, którą się wyliczało wtedy na palcach:

— Kogo spytać? Mamy nie!...

Jakże się to stało i kiedy, że od tych wszystkich latań i od tej zmowy z tamtej małej Sabiny zrobił się nie kto inny, jak tamta właśnie „pani", zawsze i wciąż rozmawiająca o uczennicach, a znająca wszystkie domknięte twarze świata i nie chcąca nic o nich powiedzieć:

— Pani ze szkoły? Nie!...

Ależ tak!... zmieniło się w niej od czasu tamtego spaceru niewiele więcej niż wtedy w Pomologicznym ogrodzie, kiedy podczas partii Rinalda Rinaldini zmieniała rolę z bandyty na kupca i z kupca na bandytę...

„MATKA"

Od nie uprzątniętego pokoju, od rozrzuconej pościeli dzień się zaczyna na Kruczej — słodkogorzki. Kazimierz siedzi w łóżku, nie chce wstawać, przekręca wyrazy i zaśmiewa się z tego, gada głupstwa, w kółko jedno i to samo. I od tego, że jest taki mały i głupi, że jest ciepły, różowy i jakby z czegoś zrobiony, Sabinę ogarnia fizyczna jakaś radość. Jak od zieleni prześwietlonego słońcem szparagowca na koszykowej żardinierce pod oknem. Jak od nowego, zwiniętego w wachlarz liścia palmy. To już siódmy w tym mieszkaniu — liczy Sabina i zaraz postanawia:

— Trzeba by dziś pomyć kwiaty...

Rozczesuje spocone snem, rozczochrane jasne włosy Kazimierza i zanurza w nie twarz. To zabawne, jak temu Kazimierzowi głowa pachnie jeszcze małym dzieckiem — rozczula się — jak to ona dzisiaj dogada się z nim, jak ubawi z tym swoim synem, ze swoim synem...

Syn ubrdał sobie dziś powtarzać bez przerwy: co? pstro! — Kto tak mówił? — Olek. — Syn postanowił sobie ciągle rachować głośno: ajn, cwaj, draj... — od kogo się nauczył? — od Olka. — Sabina wzdycha. — A czy musi ciągle tak mówić w kółko? Czy nie mógłby, na przykład, zamiast tego, porozmawiać ładnie z matką — tak ładnie, tak ładnie, jak on to

umie. Przecież Kazimierz jest mądry chłopiec? — Ajn, cwaj, draj... Śniadanie. — Jedz, synu, jedz — jak to on ładnie je dzisiaj, bez żadnych awantur: szklankę kakao, i, można powiedzieć, prawie całą kajzerkę, bo tylko kawałeczek pokruszył i zostawił. Gdyby zawsze tak jadł, toby nie było ani śladu po tych wszystkich bronchitach i podniesionych temperaturach. Jakby to on rósł, jakby rósł, jak na drożdżach: mały syn, mały syn, mały przyjaciel! — Niedługo przyjdzie wiosna, przyjdzie lato, będzie ciepło, wszędzie pójdą razem, wszędzie pojadą, wszystko razem będą oglądać, wszystko poznawać: pole, las, krowy i jak orzą, i jak sieją, i kowala w kuźni. Co to będzie! co to będzie! I już po swojemu wpada w to z głową, już idzie przez łąkę z Kazimierzem w niebieskim trykocie w paski, zbierają kaczeńce... — Ten chłopczyk ma już z osiem lat? — O, nie, dopiero sześć skończył, to mój syn... — Pani ma już takiego dużego syna!...

Z hałasem toczą się po pokoju zeszłoroczne pomarszczone kasztany... Skąd on je wyciągnął? Widocznie były pod łóżkiem. No tak, Polcia nigdy nie zagląda pod łóżko. I w ogóle znowu wyszła „do miasta" nie zdążywszy uprzątnąć i będzie wszystko takie rozwalone do południa, a jak Sabina raz sama sprzątnie, to Polcia już nigdy... Czy aby odbierze z pralni kołnierzyki Jana?

— Wycinać lalki? — koniecznie! — no dobrze, już dobrze, dobrze, usiądź tu sobie, matka tymczasem ma tu robotę. Sprzątnie. Zaceruje. Odpruje czerwone wypustki z tego granatowego ubrania, bo czerwone puszcza przy praniu. Och, jak on tu sobie ślicznie siedzi i sam się bawi, taki różowiutki, poważny, wycina sobie i tak przy tym języczkiem kręci, kręci...

— Mama będzie wycinać i opowiadać!

— Zaraz, zaraz, synu, teraz nie mogę, bo muszę tu zrobić jedną rzecz...

— Mama będzie wycinać i opowiadać... już!...

W ciasnocie nie uprzątniętego mieszkania każda rzecz tkwi nie na swoim miejscu i każda czegoś chce od Sabiny: to przesunięcia, to ułożenia, to czyszczenia szczotką, to prania w benzynie, to naprawy, to zgoła kupienia czegoś nowego. A jak się do niej zabierać, to się opiera, pełna sprzeciwu. A zmęczona Sabina lata od jednej do drugiej, żeby je jakoś ugłaskać, żeby wróciły na miejsce, żeby jakoś wyglądały...

— Mama będzie opowiadać... już!

...Jak Sabina była mała, to też wycinała lalki ze starych żurnali z pracowni ciotki Bronisławy: powykręcane wdzięczne panie, o ogromnej odległości od pasa do ziemi i twarzach pełnych wątpliwości. Dobierało się do nich po dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Czasem dwie dziewczynki, bo chłopców nie wystarczyło. Po drugiej stronie pisało się im imiona wyszukane w kalendarzu. A całe takie rodziny nazywały się jak najdziwniej: państwo Wyginaccy, Gromowładzcy, Szczuromyscy...

— Mama będzie opowiadać!...

Ach, nie dopuścić, żeby pięcioletni głos naderwał się od podchodzących pod samą powierzchnię złych łez! Zażegnać to jakoś, żeby nie było jak wczoraj, jak pozawczoraj. Przecież od dziś miało być inaczej i tak się dobrze zaczynało: pogodnie, spokojnie... A tu z samego dna podnoszą się ciemne fale zdenerwowania. I na nich coraz to coś nowego: czy możliwe, żeby węgiel już się kończył? Zdawało się, że wystarczy przynajmniej do piętnastego. Nie zapłacona rata za palto? Zaległe komorne? Czy Jan

wykupił ten weksel? Mówił, że wykupił, ale z nim to nie można nigdy wiedzieć. — Wtedy też mówił, że zapłacił, a nie zapłacił...

Ach, nie dać się, nie dać!... przecież nic złego nie ma, przecież właściwie wszystko jest dobrze: oto mieszkają sobie w tych trzech pokojach, na oknach kwiaty, mały syn wycina sobie lalki z papieru, Jan przyjdzie na obiad i okaże się, że weksel zapłacony, Sabina wyhaftuje poduszkę na koszykowy fotel, kolorowo, żółto, pomarańczowo, łowicki deseń na szarym płótnie, i będzie ślicznie... A tymczasem opowie synowi. I uzbrojona w uśmiechniętą cierpliwość jak w pogodny pancerz zaczyna spokojnie, rozwlekle, wypróbowanym sposobem: — Więc ta pani Wyginacka wzięła sobie duży koszyk, taki z pałąkiem, jak ma Polcia, wiesz? Wzięła koszyk i poszła do lasu na grzyby. Chciała nazbierać bardzo dużo grzybów, żeby były na kolację, i żeby resztę suszyć na zimę. Idzie sobie tym lasem, idzie. Patrzy: wiatr przygina brzozy, na osice drżą liście, a na sośnie siedzi wiewiórka (co by tu dalej o tej wiewiórce wymyślić...).

Gniewny głos przerywa.

— Wczoraj mama mówiła: Gromowładzka, a dziś mama mówi Wyginacka. Wcale mama nie uważa, co mówi. Ja nie chcę, żeby mama nie uważała...

— Bo wczoraj mówiłam o Gromowładzkiej, a dzisiaj mówię o Wyginackiej. — To ty właśnie nie uważasz — broni się Sabina — więc brzozy szumią, a wiewiórka...

— O brzozach nie! O wiewiórce nie! Mama opowie, jak Wyginacka zobaczyła auto na szosie. Mama opowie o aucie!

Od prania w panamie granatowego ubranka boli grzbiet. Sina woda kapie na podłogę z mokrej

szmaty, trzeba wytrzeć... ścierka w kuchni. Czy aby to ubranie się nie skurczyło? Bo wygląda jak rura. — Gdzież to są te czerwone wypustki? Leżały tu przed chwilą. O aucie, o aucie! Co, na miłość boską, wymyślić o tym aucie? — Nożyczki spadły pod stół... Ktoś dzwoni. Czyżby znowu o ten weksel? Ach nie, to list do Jana... Kobiece pismo? Jakby znajome?

Wyschnięte nagle usta w żaden sposób nie mogą już opowiadać o aucie, nie mogą... — Wiesz co, synu? Może byś teraz ustawił sobie żołnierzy? — proponuje chytrze, a pochlebczo (ładnie poznajecie razem świat!... namawiasz go do najgłupszej zabawy, byle ci dał spokój...).

Udało się: po nie uprzątniętym pokoju znowu zagrzmiały ciskane kasztany, chaos poprzemieszczanych gratów wzrósł o szeregi podklejonych tekturką, przewracających się żołnierzy, o idiotyczne jakieś papierowe twierdze, tandetnie pomalowane w czerwone cegły... Sabina jest wolna, może teraz zastanowić się nad listem, nad Janem, nad życiem...

Ciemne fale zdenerwowania przechodzą po prostu w burzę... Ach, nie dać się, nie dać, opanować się, wziąć w ręce: bo o co właściwie chodzi? Przecież nic się nie stało?... I znowu od samego początku: Sabina jest młoda i zdrowa, syn różowy i śliczniutki, gruczoły się zmniejszyły i nie ma podniesionej temperatury, granatowe ubranie wyprasuje się przez szmatę, obszyje czerwonym i będzie jak nowe. Są kwiaty, jest słońce — a list? Może w interesie... albo w ogóle nic! Mało to listów przychodzi? Jan wróci o trzeciej...

I nagle, jakby z grochotu toczących się kasztanów czy z wykrzykiwanej przez Kazimierza wojskowej komendy wyrasta pewność: na nic to wszystko, na nic! nic nie pomoże opowiadać sobie wszystko od

samego początku, że niby jest tak dobrze... Ten list do Jana wcale nie jest „w interesie"... A z synem też nigdy nie będzie żadnej przyjaźni, i nic nie będzie „razem", bo przecież to są dwa światy, których się nigdy nie da pogodzić, a Sabina jest sama i zostanie sama... I żeby już ta Polcia raz przyszła i zabrała choć na chwilę Kazimierza do kuchni, żeby przestał tu hałasować!...

A co do dzisiejszego dnia, to też nie ma się co łudzić: już się przełamał na stronę goryczy i nic go nie powstrzyma, jak wczoraj, jak pozawczoraj... jak w czwartek!

I z przyzwyczajenia zbierając porzucone lalki, żeby jakoś jednak zmniejszyć ten nieporządek, Sabina rozmyśla, jak to kiedyś, kiedy była mała i wycinała lalki, spytano ją, gdzie są mężowie tych powykręcanych pań, a ona odpowiedziała bez wahania, że mężowie ciągle wychodzą z domu... No i właśnie ma teraz: mąż wychodzi z domu, a ona z dzieckiem...

O tej samej chwili poczuła, że już zupełnie nie może wytrzymać hałasu tych kasztanów. — Chodź, synu, matka poczyta ci z książki!...

Udało się. Kasztany ucichły. Umęczonym głosem czyta Sabina ulubione wierszyki Kazimierza, których nie cierpi. Jednocześnie rzuca co chwila okiem z ukosa na leżący obok list. Jakby się uczyła na pamięć każdego zakrętasa spiczastych liter. I nasłuchuje, czy Polcia nie idzie.

Przyszła. Kazimierz leci do kuchni. Sabina oddycha — na rozmowy będzie miała jeszcze czas. Znowu wpatruje się w list.

I o tej samej chwili staje się jej wiadomym, że Jan znowu nie przyjdzie na obiad, jak wczoraj, jak przedwczoraj, jak w czwartek.

Przecież nie od razu tak się stało, że z różowego, małego syna wyrósł kanciasty i chudy harcerz? Przecież musiały upływać lata, dlaczego więc tak mało czasu było na to „poznawanie", na to widzenie świata razem a na nowo? Niby to była ta wieś i pole, i las, i pług — Kazimierz to udawał motocykl, to ciskał kamieniami, a Sabina chodziła pod brzozami i myślała, myślała o swoim. Potem Kazimierz bawił się w wojnę i pytał o szarże i rodzaje broni, a Sabina nie wiedziała. Było miasto i były ulice i Kazimierz pytał o marki samochodów, a Sabina ich nie znała, aż w końcu nikt nikogo o nic nie pytał. Sabina uczyła cudze dzieci, a Kazimierza uczyły cudze matki. A teraz właśnie ten jej Kazimierz w barwie khaki, cały kolorowy od sprawności wyszytych na rękawie jedzie sobie na obóz, jak dorosły, i nigdy się tego czasu nie dogoni i tyle się już rozmów przepuściło.

Ale na tę rozmowę musi być czas!...

— Chodź, synu, chciałam z tobą pomówić, teraz, jeszcze przed obiadem, bo potem już nie zdążymy...

Harcerz odrywa się niechętnie od jakichś swoich spraw, od rzemieni, menażek, przyborów Bóg wie do czego służących... — czy koniecznie? bo jeśli niekoniecznie, to on by wolał złożyć teraz swoje rzeczy...

— Koniecznie! Ja już dawno chciałam z tobą mówić — i pod jasnym, rzeczowym spojrzeniem syna Sabinie robi się nieswojo.

— Ano, jak koniecznie... mówi się „trudno" — pobłażliwie zgadza się mały mężczyzna. Z żalem odkłada te swoje żelastwa, narzędzia, idzie lekko uśmiechnięty, pewny siebie. — Więc „o co się rozchodzi"?

— Siadaj.

— Dziękuję, postoję! — i oboje zaczynają się śmiać. Już co jak co, ale śmiać się to umieją oboje: matka i syn — no więc dobrze, może to będzie lepiej tak na wesoło...

— No więc widzisz, jedziesz tak sam...

— Nie tyle sam, ile z czterdziestu pięciu towarzyszami. — Kazimierz robi się coraz weselszy.

— Tak, ale, to jest właśnie... chciałam ci powiedzieć, ostrzec...

Chłopiec patrzy na nią jasnymi oczami i Sabinie jest tak, jakby go widziała po raz pierwszy. Chudy. Podobny do Jana, ale nie umie się tak uśmiechać. Wygląda obco. Słucha, owszem, ale nie pomaga jej ani jednym słowem, kiedy ona bąka o niebezpieczeństwach, o kobietach, o złym towarzystwie, o chorobach wenerycznych...

Nie, nie pomaga jej ani słowem. I stanowczo jest coraz bardziej rozweselony. Aż w końcu, uprzejmie: — nie wiem o co mamie właściwie się rozchodzi? O lues? o tryper? Bo są o tym bardzo dobre „publikacje"... Mogę mamie tytuły podać...

Czy może być coś bardziej w porę jak to, że Gołębiowska podała właśnie obiad? Sabina oddycha!

— No, idziemy jeść!...

Rozmowa skończona.

„PANI"

— Tak więc nie można powiedzieć, żeby wspaniały harcerz Kazimierz wiele się dowiedział od swojej matki. Nie, tego Sabina nie może powiedzieć. Patrząc jednak na całą tę rzecz obecnie niejako z góry, z daleka już i z wysoka, twierdzi, że właśnie ta matka dowiedziała się coś niecoś od swego

syna Kazimierza, harcerza drugiego stopnia, drużynowego, obwieszonego świadectwami wielu sprawności, jaskrawo wyszytymi na rękawie. A jak dalece i w ilu innych rzeczach był on sprawny czy niesprawny, tego nie dowiedziała się dotąd i, co gorsza, nie dowie się już nigdy...

Więc tak. Tak to było z tym Kazimierzem. A teraz, gdyby tak zacząć od początku, czyby było inaczej? Ach, nie, tak nie można! Przecież żaden człowiek nie ma prawa zadawać takich pytań nikomu, nawet samemu sobie... i żądać uczciwej odpowiedzi. I Sabina wcale nie może ręczyć, czy zaczynałaby od początku z tym, żeby coś naprawić, czy po prostu, żeby się mniej męczyć? Chwalić Boga, nie grozi jej to wcale, więc może sobie z tym dać spokój... tak było i koniec. Niech jej duży syn nie ma tego za złe — przecież tyle się wymęczyła, kiedy tak ciągle chorował! A teraz zbiera sobie za to pieniądze na motocykl i pewnie niedługo już kupi. A ona?... No nic, teraz trzeba pomyśleć, jak było z tą „panią"? Czy naprawdę niewiele więcej zamieniła rolę z małą Sabiną z Hożej ulicy, jak w „Rinaldo — Rinaldini". Tylko „nie przesadzać", myśleć spokojnie, pogodnie, żeby nie było żadnych lamentów ani dzwonienia o syfon... Przecież robiła, co mogła? Przecież naprawdę chciała jak najlepiej?

Jeszcze w Warszawie to mniej, bo tam tyle waliło się na nią: i z Janem, i Kazimierza trzeba było umieścić, i źle się uczył, i chorował, i takie tam różne rzeczy, o których nawet teraz myśleć się nie chce... doprawdy! A potem była Filtrowa i Tomasz. Ale Tomasza toby się nie wyrzekła za nic... to jedno jest pewne...

Więc Murszewice. Jechała tu jak na zsyłkę, to prawda. Myślała tylko o tym, jakby się stąd wydostać czym prędzej, nawet to pierwsze mieszkanie wyszukała sobie tuż koło dworca, żeby to było niby jakoś łatwiej... Ale kiedy zobaczyła te wszystkie oczy z namaszczeniem wlepione w siebie: poważne, rozważne, dorosłe oczy wszystkich tych małych Kwaśniakówien, Michalakówien, Gruchalanek, te wszystkie chciwe wiedzenia, żydowskie oczy Rozenberżanek, Rotberżanek, Zalcberżanek, a wśród nich tu i owdzie ironiczne, inteligenckie oporne twarze tych paru Majewskich, Dąbrowskich, Karasińskich — to nie chciała już odjeżdżać. Postanowiła zostać.

— Nowa pani przyjechała. Czy będzie dobra? I czy można będzie ją oszukiwać na wszelkie sposoby? Czy będzie chytra, wymagająca i taka, od której się można nauczyć?

Zaraz, trzeba od początku. Więc ta szkoła z pruskiego muru, z czerniącymi się z daleka skrzyżowaniami czarnych belek na żółtej ścianie. Szło się pod górę i szło się w dół, i w zimie było ślisko, i posypywano trocinami przynoszonymi z tartaku... Mijało się aptekę Majewskiego i wielką, nową kamienicę ze sklepami, jakby w wielkim mieście. A zaraz potem malutkie domki i wielki skład trumien z wiecznie tymi samymi fotografiami pogrzebów. I w tym miejscu musiało się myśleć o Maryni — tercjarce...

Dalej był skwerek i z rogu tego skwerku widać już było ganeczek szkoły opleciony bluszczem — i dlaczego to ludzie sadzą zawsze dzikie wino, kiedy bluszcz jest lepszy, bo zielony przez całą zimę — pomyślała Sabina wchodząc po raz pierwszy i odtąd za każdym razem musiała tak pomyśleć, i jeszcze dodawać, że jednak nic na świecie tak nie wygląda jak dzikie wino jesienią...

Na tym skwerku czekał później Michał. Ale to nie

od tego nic się nie zrobiło, że on tam czekał. I nie od tego, że był taki sam dobry i prosty w poranki pełne ciepła i słońca, kiedy krzewy z białymi kulkami wyglądały na skwerku jak skąpane, i w zimne poranki, kiedy tylko bluszcz był zielony, i w jasne wieczory letnie, kiedy całe gromady ludzi wracały z lasu nad tartakiem Szulca ze śpiewami i brzdąkaniem na mandolinach... i taki sam był w czarne noce... Ale to już było na tamtym mieszkaniu.

Nie odbiegać! Myśleć o szkole, a nie o Michale. Więc nie dlatego nic nie wychodziło, że Michał... za to Sabina może ręczyć! Bo nawet zresztą jeszcze, kiedy nie było Michała, zaraz na początku, poczuła Sabina, że z tego uczenia nic nie wyjdzie, że nie ma nic do powiedzenia tym wszystkim oczom...

— Od takiej pani z Warszawy to chyba można się będzie naprawdę czegoś dowiedzieć... nauczyć...

A już najwięcej od oczu tej małej, chudej Czarnawoda, z ławki na prawo przy samym oknie. Czarne były, żydowskie. Trochę zaczerwienione. Aż bolesne od gorliwości, od głodu wiedzenia. Albo znowu taka Sypulanka. Duża, nie z jednego pieca chleb jadła. Nielekko jej się żyło, nie — to widziało się po niej od razu. I postanowiła jakoś sobie poprawić, przepchać się. To się też widziało od razu. — Mam do pani wielką prośbę — mówiła gorliwym szeptem dorosłej kobiety, upolowawszy Sabinę w korytarzu — chciałabym się dostać do seminarium do Warszawy... nie mam nikogo...

No i potem tak już było ciągle. I Michalikówna, i Szafiańska, i Bączkówna, i inne, o nazwiskach już zapomnianych, wszystkie się chciały czegoś dowiedzieć, wszystkie się o coś pytały, czatowały na Sabinę przed drzwiami pokoju nauczycielskiego, i po różnych kątach, i przed wyjściem, dobijały się o to,

żeby nieść jej teczkę czy parasol, śmielsze uwieszały się nawet u łokci, jak ona niegdyś. Ale to już tylko najśmielsze. Na wiosnę, kiedy sasanki kwitły na tej polanie zwróconej do słońca w lasku nad tartakiem Szulca, zasypywały jej pokój kwiatami. Potem przylaszczki, potem kaczeńce z mokrej łąki za cegielnią, polne róże z kamiennego cmentarnego murka... Ale to już było w tym drugim mieszkaniu, na Piłsudskiego...

Takie to były gorliwe, tak się chciały dowiedzieć, jak to na świecie jest. I jakże się to stało, że tymczasem Sabina się od nich dowiadywała? Bo czyż nie na to w końcu wyszło? No, jakże to było, Sabino? Jechałaś na głuchą prowincję jak na pustynię, ty z wielkiego miasta, co niejedno przeżyłaś i niejedno widziałaś, zdawałoby się, razem ze swymi babkami, ciotkami i znajomkami, i różnej biedy się najadłaś... A dopiero tu, w tej „dziurze za światem", dowiedziałaś się naprawdę, zrozumiałaś, jak to żyją w tych małych domkach ze swymi znów babkami i matkami, i ciotkami te twoje Michalikówny i Kwaśniakówny, ci wszyscy prości ludzie, z których się właśnie składa świat...

No dobrze. Tego się od nich dowiedziałaś. A czego one od ciebie? Przypomnij no sobie, Sabino, jak to było...

— Ach, po cóż ta ironia... Robiłam, co mogłam, chciałam jak najlepiej, uczyłam podług kursu...

...Rozłożyłaś atlas anatomiczny, imponujący, zagraniczny i bardzo „zmyślnie" rozkładany, z białą pustką w wiadomych miejscach, i na mocy milczącej zmowy, która i tobie swego czasu tak pomagała w takich chwilach, udawałyście wszystkie, że tak jest naprawdę... A ciebie samą aż pot oblewał, kiedy sobie przypomniałaś, że już „spóźniło się o tydzień",

pomimo za gorących kąpieli, i że co tu zrobić, do kogo się zwrócić w tym obcym mieście... A cała klasa aż się trzęsie od podziemnych, pełnych grozy szeptów o tej Sobczakównie, co siedziała w trzecim rzędzie na lewo przy oknie, a otruła się na miesiąc przed twoim przyjazdem właśnie dlatego, że nie wiedziała, do kogo się zwrócić w swoim rodzinnym mieście...

A ty nauczałaś, co to jest pseudoowoc, czyli fałszywy owoc, i jak wielkie ma znaczenie proteus, czyli odmieniec jaskiniowy. Opowiadałaś też o obyczajach chomika, którego nie widziałaś nigdy w życiu, bo przecież nie można tego liczyć, że go raz złapali przy żniwie, jak byłaś małą, a on tak się rzucał, że nie można było nawet mu się przyjrzeć...

A kiedy opisywałaś w innej klasie, co robi wiewiórka, to ta mała Marysia Gackówna, co siedzi w pierwszej ławce, tak się rozczuliła, że aż miała łzy w oczach i mało się nie rozpłakała.

— O co ty, Marysiu, czy że ta wiewiórka tak zbierała sobie orzeszki na zimę, a zły chłopiec jej zabrał?

— Eeee, proszę pani, co tam o wiewiórkę... Mnie się zrobiło pani żal, że pani musi tak mówić, mówić, takie rzeczy pokazywać!...

Upokorzona ucałowałaś Marysię, a tu już przy drzwiach czeka na ciebie Michalikówna, czy nie masz kogo znajomego w takim to i takim seminarium, bo bez protekcji się tam nie dostanie... A w innym kącie mała Czarnawoda czatuje na ciebie, żeby cię spytać, gdzie jest taka szkoła, czy taki wydział, gdzie uczą, jak trzeba żyć... Dotąd widzisz przed sobą jej żydowskie oczy w zaczerwienionych obwódkach, jej oczy jakby gorące z żarliwości, utęsknione...

Nie ma takiej szkoły i nie ma takiego wydziału. Za to był dzwonek i przerwał gorące szeptanie małej Czarnawody — czy też Czarnej Wody, bo do końca nie rozstrzygnęłaś, jak się mówi. Czarna Woda szła do domu ojca rzeźnika w pónure tajemnice getta, a ty w innej klasie rozwodziłaś się nad struną grzbietową, a po głowie ci latało, czy Michał będzie czekał na skwerku, bo to wtedy właśnie zaczynało się z Michałem...

I powoli tak się zrobiło, że coraz mniej odpowiadałaś na te różne pytania, bo i z kursem trzeba się było śpieszyć, i stosy kajetów miałaś do przeglądania, i sprawa z Michałem coraz to była ważniejsza, wbrew twojej milczącej zmowie z uczennicami... A i one coraz mniej zadawały ci pytań... Bo wiedziały, że albo nie wiesz, albo nie powiesz. Miały rację:

— Pani nie!...

ODWIEDZINY

Aptekarzowa wchodzi do pokoju bardzo swobodnie uśmiechnięta: ależ pani całkiem dobrze wygląda, pani Sabino kochana! Pani się nic nie zmieniła, słowo daję... Dyrektorowa za nią. I wcale nie ma tej swojej zakurzonej, stroskanej miny jak w Murszewicach. — Tak, tak, ja również uważam, że nic, pani zupełnie dobrze wygląda, tylko pani trochę zeszczuplała i cerę pani ma taką. Widać, że pani dawno nie była na powietrzu, ale to się zaraz zmieni, jak się zrobi ciepło i pani zacznie wychodzić...

Cóż się stało, że dobra, zahukana dyrektorowa, tyle gada? Ale to nic nie szkodzi, to nawet lepiej, bo właśnie przez ten czas Sabina zupełnie się uspo-

kaja. Tak, tak, już teraz wie na pewno, że nie stało się to najgorsze, że nie powiało od tej wizyty lasem znad tartaku Szulca ani ciemnawym, zacisznym wnętrzem domu Zarubowicza. Ani zielonym zimą bluszczem na ganeczku szkoły z pruskiego muru, ani skwerkiem, gdzie Michał czekając na nią, przyglądał się dzieciom, jak na zalanej słońcem twardej ścieżce gniotą obcasem „pukające" białe kulki śnieguliczki... Nie, to najgorsze się nie stało: nie powiało Murszewicami...

Nic nie ma, nic nie ma! Po prostu tylko dwie prowincjonalne dobre panie przyszły odwiedzić chorą i oto już po chwili opadł z nich pancerz wesołej swobody, w jaką się uzbroiły wchodząc tu, a został pełen szacunku smutek, że ona właśnie! I wstydliwa, za nic nie chcąca się do siebie samej przyznać radość, że to właśnie nie one...

Tak! Sabina wszystko to widzi! I z nabytą już w tym widzeniu wprawą widzi także siebie samą, jaką one ją widzą w tym łóżku i porównywają z tamtą z Murszewic, i czuje się prawie winną wobec nich, że taką oto muszą ją oglądać...

— Niechże panie siadają — zaprasza i potem, jak trzeba robić miejsce przy łóżku oswobadzając fotele z jakichś rzeczy, poznaje, jak dawno już nikt jej nie odwiedzał.

— Ładnie, ładnie, pani Sabino — zaczyna znowu aptekarzowa — obiecała się nam pani na wakacje i jakże teraz będzie?

— No, do wakacyj jeszcze daleko, jeszcze się pani dziesięć razy poprawi i przyjedzie — skwapliwie dodaje dyrektorowa. (Nie, naprawdę, co się stało, że dyrektorowej jakoś tym razem wszystko się lepiej udaje?) — Zobaczy pani, jakie u nas zmiany, masa rzeczy zmieniła się od pani wyjazdu...

— Tak, tak — mówi Sabina i nie wiadomo, co ma na myśli: czy te zmiany, czy swój przyjazd. Bo właściwie, jakie zmiany? W gimnazjum ma być siódma klasa... Czy dużo jest kandydatek? Niezbyt. Coraz ciężej ludziom w mieście... Ale trochę się zbierze.

Kto jest na miejscu Sabiny? Jakaś nauczycielka z Krakowa? Sympatyczna? — no owszem — śmieje się aptekarzowa — sympatyczna, ale „nie za bardzo". Dyrektorowa ma łzy w oczach: — a choćby ona była ze złota, to po pani nie chciałoby się nawet na nią patrzeć!...

Zaczynają mówić obie prawie jednocześnie i tym razem jedna na wesoło, druga płaczliwie: że Sabiny nigdy nie zapomną, że „najmilsze wspomnienia mają z chwil z nią spędzonych", że całe miasto tak się przez nią ożywiło, rozruszało...

— A pamięta pani te nasze jazdy wozem do lasu? Te niedziele u dyrektorostwa? Te...

W tym miejscu robi się pustka. Więc po chwili panie mówią o tym, jak uczennicom żal było Sabiny. I że Michalikówna tak się dobrze uczy w seminarium. A Czarnawoda ma gruźlicę i doktór Siwek powiedział, że nic już z niej nie będzie. Z Gruchalanką był skandal... I tu zniżają głos ze względu na Marysię w jadalnym pokoju. Ale po chwili wspominają już głośno, jak to dziewczynki tyle zawsze kwiatów znosiły Sabinie, że cały pokój był pełen. A teraz w tym pokoju mieszka Myszkiewicz, ten referent ze starostwa, Sabina musiała go chyba znać?

Nie, nie znała Myszkiewicza. Znowu robi się pustka i Sabina czuje, że tego nie wytrzyma. — A jakże tam panna Maria — pyta obojętnie — czy szczęśliwa z panem Michałem?

Konsternacja. A za chwilę znowu zdwojona gorliwość: no tak, zapewne! Cóż! Panna Maria, można powiedzieć, prosta dziewczyna, choć niby skończyła te swoje kursy, a pan Michał wykształcony człowiek na stanowisku, porządny, energiczny, trzęsie całym miastem... Ona nawet teraz bardzo wyprzystojniała, jak się trochę odpasła, wygrzebała z tej swojej biedy... Ona...

Sabina słucha. Uważna i uprzejma. Czyż jakakolwiek choroba zwalnia od obowiązku uważnego słuchania tego, co mówią goście, choćby mówili o rzeczach jak najdalszych i najmniej obchodzących? — Tak, tak! Należało się tej pannie Marii coś dobrego w życiu...

Wchodzi Helena i patrzy na nią: — Sabino, kochanie, czy ty nie za wiele mówisz dzisiaj? — i panie podrywają się spłoszone.

Sabina zaprzecza wesoło uśmiechnięta: wcale nie jest zmęczona, nic podobnego!

Czy od tego uśmiechu przeciąga się twarz zgryzionej pani dyrektorowej, jakby zobaczyła coś, wobec czego zbladły wszystkie jej niezliczone dotąd domowe troski? A przecież weszła „do chorej" taka dzielna, pogodna i tak dobrze nastawiona! Pani aptekarzowej również robi się nieswojo od tej wesołości Sabiny. Bo przecież one chciały zobaczyć Sabinę chorą, może nawet beznadziejnie — ale Sabinę! A nie kogoś już innego, dalekiego o mile, o tysiące mil... Chciały porozmawiać tak dobrze, tak z bliska, siedząc na krzesełkach przy łóżku tuż, a nie z odległości bez granic...

Okazuje się nagle, że muszą już uciekać — „jak się tak wpadnie do Warszawy na parę dni..." A czy wolno Sabinie czytać? — interesują się. Bo tylko wyobrazić sobie, czym jest takie bezczynne leżenie

dla takiej ruchliwej osoby... Oczywiście, że to już niedługo, jak tylko się ustali pogoda pewnie będzie już mogła wstawać, ale zawsze...

— Czytać? Nie, nie bardzo może czytać, ale ma inne zajęcie... — jakie? — teraz już i Helena słucha z niepokojem: no nie, jaka ta Sabina dziwna dzisiaj... Ale Sabina znowu się uśmiecha — tak, tak, czytać nie bardzo może, ale myśleć! Przecież to także jest zajęcie...

Helena wraca z przedpokoju, wyprawiwszy obie zdenerwowane panie — dyrektorową prawie płaczącą. Zastaje Sabinę milczącą jak mur. Patrzy na nią z niepokojem — o Boże, po co one jej mówiły o tym Michale! Głupie baby — unosi się nagle w myśli. Ale nie ma racji. Sabinie nie o to chodzi. Po prostu postanowiła przemyśleć swoje życie jeszcze i po porankach, i nie wie, czy zacząć od zaraz, czy dopiero od jutra?

Część szósta

PO PORANKACH

CZERWONY BLASK

Na pograniczu miękkiej, pełnej, ciepłej czarności i sinej pustki świtu, powieki się ledwie, ledwie unoszą i zaraz opadają szczęśliwe, że jeszcze wcześnie, że jeszcze nic się nie zamknęło, nic nie przepadło...

Zgęszczone u samego brzegu, ciężkie od absurdalnej ważności sny jeszcze się nie zdołały cofnąć w uchodzącą ciemność, jeszcze się nie zdołały rozpierzchnąć. Jeszcze można je przyłapać, wrócić w nie... Sabina śpi dalej.

Powieki unoszą się znowu — i tym razem już nie jest wcześnie. Potargane, postrzępione niewątpliwą już białością dnia sny cofają się, spłoszone, w uciekającą coraz prędzej noc. Rozłażą się i nie można sobie przypomnieć, co przed chwilą jeszcze było takie ważne, takie okropnie ważne? Nie ma rady, trzeba wybrać: albo je wyławiać, schowawszy głowę pod kołdrę — może dadzą się uprosić i wrócą? Albo nie myśleć już o nich i zgodzić się na nowy dzień, a wtedy już od razu zrobi się samo tak, jakby ich nigdy nie było...

Więc jak zrobić? To zależy...

Bo jeżeli przez szpary zwężonych sennością, piwnych jeszcze podówczas, a nie „brązowych" oczu ukaże się chropawość bielonej wapnem ściany i malowane olejno żółte deski podłogi, jeżeli gdzieś daleko kura zagdacze śmiesznie obrażonym gwałtem

i nagle urwie, jeżeli za oknem Bęben zaszczeka grubo i statecznie, a ten szczeniak panny Malwiny odpowie mu cienko, dziecinnie i głupio, jeżeli niski głos Modestowej będzie oburzał się w kuchni, że Ostap znowu naniósł mokrego drzewa, niesiony przez sień samowar zostawi wątłą smużkę węglowego czadu, a ktoś powie do kogoś, że już są rogale od Procnera i zdobna bułka z mąką — to można już o nic nie pytać, nie oglądać się za snami, niech sobie rozłażą się, jak chcą — przecież i tak wcale ich nie było! Wstawać, ubierać się, lecieć, lecieć! Lecieć na werandę, nabrać w oczy nieba, wody i lata, jak samego szczęścia — i że też to ludzie dawno już powstawali? Kręcą się wśród domków w dole nad rzeką, a na tamtej stronie zbierają siano na mokrych, niskich łąkach na Hnidawie...

W czułości bez granic ucałować leżącego na spróchniałych schodach Bębna w siwy pysk i zapchloną czarną głowę i uganiać się z tym bezimiennym szczeniakiem panny Malwiny, miotającym się w jakby za luźnej własnej skórze, mięciutkiej i ślicznej... Uśmiać się do upadłego z jego naiwnych dowcipów, z jego za grubych, niezdarnych łap i klapiących, jakby do kogo innego należących uszu... I z tego, że on tak zawsze gryzie: raz dlatego, że w ogóle szczeniak, a potem, że się rozbawił, a potem, że się rozgniewał... Swymi ostrymi, białymi mlecznymi zębami, które mu wypadną jak i Sabinie, gryzie wszystko, na dobre już rozzłoszczony: bose nogi i patyk, którym się usiłują zasłonić bezsilne od śmiechu ręce, i co gorzej, chwyta za sukienkę. — Sabino, odpędźże tego psa, znowu ci porwie wszystko jak wczoraj — wołają z okna. — Sabino, słyszałaś już tyle razy, że masz najpierw iść na herbatę, a potem się bawić... — Zaraz, zaraz idę. W tej chwili!

Gania jak szalona po wielkim dziedzińcu, gdzie wszystko wolno, a po małym ogródku nie wolno, bo pies jak na złość tarza się po nasturcjach, po werbenach, łamie floksy i nikotiany, milczące i zamknięte dniem, a pachnące nocą, tak, że aż się od nich coś robi...

— Sabińcia idzie na herbatę, bo ja już trzeci raz samowara podrzucać nie będę — pochmurnie grozi Modestowa od progu kuchni. I Sabina idzie od razu.

Połyka ciepłą herbatę, od której oblewa się potem, zgrzana od tego latania, herbatę z surowym mlekiem, w którym nie wiadomo dlaczego tu nie ma bakteryj, a w Warszawie są, połyka rogale od Procnera i zdobną bułkę z mąką, przemyca całe kawały pod stół dla szczeniaka, który trochę chce, a trochę nie chce, bo niegłodny, najadł się w kuchni, więc tylko marnuje, wypluwa i podrzuca i znowu wszystko po swojemu gryzie, aż w końcu naprzykrzywszy się wszystkim, oboje wylatują przez ganek na dziedziniec, gdzie tymczasem lekkie poranne powietrze ociężało już, nasycone wczesnym przedpołudniem, jakby smakiem samego lata...

Tak. To są poranki niewątpliwe. Niezawodne. Inne cokolwiek są te warszawskie. Cokolwieczek inne.

Bo tam przez szczelinę powiek widać mętny dzień w ciasnym miejskim mieszkaniu, z masą okien za oknami, pod niebem, w które w ogóle się nie patrzy, z asfaltem zamiast ziemi, bez żadnego dziedzińca, bez trawy, bez psów. Tu warto się zastanowić, czy próbować jeszcze powrotu po rozłażące się sny i naciągnąć je sobie jak kołdrę na głowę? A je-

żeli się nie uda, to wejść w szarawy dzień w byle jakim miejscu i w ogóle byle jak, bez pośpiechu... Im później, tym lepiej: lekcje i tak nie uciekną i prędzej „do obiadu", którego się zresztą nie chce jeść...

Ale i tu można sobie coś wymyślić, jak to Sabina potrafi. Tam nie potrzeba było nic wymyślać, bo samo wszystko było, ale tu można. A może właśnie zaraz zabrzęczy dzwonek i to będzie ktoś nadzwyczajny i przyniesie Sabinie „Robinsona" albo „Małe kobietki", w niebieskiej oprawie, i czekoladki w pudełku ze szczypczykami — i tam będzie leżał ogromny ananas? A może nadejdzie list, że Sabina z matką mają zaraz jechać w daleką drogę? Przecież jeżeli w torbie listonosza są listy do wszystkich ludzi, to może być i do Sabiny... Albo będzie pożar i Sabina ocali „z płomieni" jedno małe dziecko i dwie staruszki i wszyscy się będą dziwili? A może pan Pietrasiński z przeciwka umrze i będzie pogrzeb? Albo ktoś zadzwoni, a jak się otworzy, to za drzwiami nie będzie nikogo, tylko będzie prześliczny, ogromny pies, czarny, z niebieską wstążką na szyi i na tej wstążce będzie karteczka, że to jest pies dla Sabiny... I ten pies będzie Sabinę strasznie kochał i wszędzie z nią chodził i wszyscy się będą dziwili, i Sabina nie będzie nigdy sama...

— Sabino! Ty już chyba z pół godziny siedzisz z tymi pończochami! Czy ty koniecznie musisz tak marudzić?

Od tego głosu wszystko się zapada i od razu staje się jasne, że nic się nie stanie. Bo co by się miało stać? Przecież nikt nie jest taki skory z prezentami dla Sabiny, a listy się nie biorą z niczego w torbie listonosza, tylko ktoś musi je napisać — więc kto?

Pożar bywa tylko na wsi, a pan Pietrasiński będzie jeszcze długo żył, Franciszkowa mówiła wczoraj... Pies, choćby i stał za drzwiami, to go dorośli nie wpuszczą, bo„któż w mieście trzyma psy"?

Więc wszystko jakby się zapadło. Jedno tylko zostaje: przeczytać i opowiedzieć z historii stąd — dotąd. Napisać „ćwiczenie". To się nie zapadnie, nie!...

A jednak...

— Sabino! Znowu siedzisz nad tym pisaniem! i nic nie robisz! Nad czym ty się ciągle tak namyślasz?

— Ach, mamo, bo ja myślę, żeby to dzisiaj przyszła Alicja! Alicja...

Były też inne poranki. Niedobre. Choć w tym samym dobrym domu nad rzeką. Takie, że źrenice nie potrzebowały nawet patrzeć przez szczelinę powiek. Wiedziały. Serce też wiedziało, że na ścianie jest słaby czerwony blask.

W pokoju było jeszcze ciemno, nawet szyby jeszcze nie niebieściały. Wszędzie było ciemno i wszyscy spali. Tylko w dole nad rzeką ruszali się już ludzie. Ach, Sabina nie wie, co oni robią, nie wie i nie chce wiedzieć! Za nic na świecie nie otworzy oczu, a choć otworzy, to zobaczy tylko ten czerwony blask na ścianie i powie sobie, że to przecież nic nie znaczy. Zatknie uszy!

Na nic to wszystko, na nic! Nic nie pomoże to udawanie: Sabina przecież wie doskonale, że to od ogniska, że w dole nad rzeką pali się ognisko, a przy ognisku kręcą się czarni ludzie z nożami. Och, ale co oni robią, to już tego Sabina doprawdy nie wie i nie chce wiedzieć, że tam jest sam rzeźnik Miller, co ma sklep na Małej Hnidawce...

i że po zarżnięciu osmala wieprze przy tym ognisku!... Tak jej przecież Ostap powiedział...

Nic nie pomoże schować głowę pod poduszkę: serce bije powoli i mocno, i boleśnie, całe ciało robi się mokre i śliskie od potu — przed bezbronną męczarnią zwierząt Sabina nie ma gdzie uciec!

Matka zaprzeczyła, powiedziała, że Ostap tylko tak zażartował, że to „nie wiedzieć co", bo któż by zarzynał wieprze po nocy? Ale przecież dorośli zawsze kłamią, a prawdy można się dowiedzieć tylko w kuchni! Matka powiedziała do ciotki Bronisławy po francusku, że Sabina jest nerwowa, a Sabina zrozumiała... Co tu pomoże nerwowość czy nie nerwowość Sabiny, kiedy te wieprze tak się strasznie męczą? Na nic całe udawanie!...

Na nic, na nic... — tak się tylko mówi. Bo jednak kiedy się Sabina wypłacze i wykombinuje, przeczekując z zatkniętymi uszami, że wieprz musiał już się przestać męczyć, to choć już szyby robią się niebieskie, znowu zapada w miękką, dobrą ciemność, gdzie czekają na nią przyczajone, przerwane sny. A kiedy znowu otwiera oczy, to o żadnym czerwonym blasku nie ma już mowy, dzień już jest biały, pewny i bezpieczny, w jadalnym szumi samowar, ktoś mówi o tym, że znowu przywieźli mokre drzewo i nie chce się palić w piecach, ktoś inny mówi, że w nocy spadł śnieg... A Sabina udaje, że tamtego wcale nie było, i znowu jest dobrze...

Ale było. Tylko że nie co dzień, tylko we środy. Więc we wtorek wieczór Sabina udaje, że to dopiero poniedziałek. Albo że środa wieczór.

A w to ominięte przez czas środowe rano budzi ją, jak zwykle, czerwony blask...

Kto by nie wiedział, myślałby, że to najzwyczajniejsza w świecie rzecz, po prostu wczesny, siny poranek, drżący od chłodu w nie dogrzanym i odrapanym pokoju, wynajętym od Witkowskich na Sebastiana za dwadzieścia pięć koron miesięcznie, czy od jednego kolejarza na Gołębiej za dwadzieścia trzy, czy wreszcie w tym ostatnim, studenckim u starej Radziszewskiej...

Kto by nie wiedział, pomyślałby, że to nic wielkiego tak przebiegnąć boso, w koszuli po zimnej podłodze, z łóżka do okna, napić się tej pierwszej fali świeżego powietrza od Wisły czy od plant, o smaku samego szczęścia... Że to najzwyczajniejsze, niewygodne mycie w miednicy na za wysokiej żelaznej umywalni, a nie rozkoszny zapach wody i mydła, jak przy kąpieli w rzece pod lasem, że to tylko tarcie skóry kosmatym ręcznikiem, a nie przypomnienie jakiejś przyłapanej, dziecięcej ucieczki na mokro po nagrzanej słońcem łące... Że to zwykłe, kiepskie śniadanie, a nie cudowny, ciepły, pszeniczny posmak przypieczonej mąki na wierzchniej skórce trzeszczącej bułki (przedtem Sabina wolała spodnią). A już najmniej by sobie robił z takich powszednich przyjemności, jak smakowanie kredy w proszku przy szorowaniu białych zębów, jak grzanie ujęciem gorącej szklanki z herbatą zaczerwienionych od zimnej wody rąk...

Sama Sabina tak by może myślała, że to w ogóle nie ma o czym mówić, gdyby nie pamiętała tak dobrze, jakie to były naprawdę tamte poranki: że każda rzecz była w nich nie tylko sama w sobie nadzwyczajna, ale jeszcze wypełniona jakimś radosnym oczekiwaniem zabawy, jakby się szło na

bal! Więc jak się już raz otworzyło oczy, to już się nie chciało ich przymknięciem gonić cofających się w ciemność snów. Bo cóż są warte sny, kiedy na jawie pęka się od nadzwyczajności, od ciekawości, co to będzie, co to jeszcze będzie... A poranek przełamuje się we wczesne przedpołudnie pijany od śmiechu!

A cóż dopiero, kiedy z tych wszystkich latań, zebrań, wykładów, wspólnych uczeń się do egzaminu, z tych wszystkich chodzeń po korytarzu, pukań do drzwi, herbat na prymusie, pogadywań i gadań bez końca wynikł Jan i tylko Jan, i ciągle Jan? Ociężałe od dosytu nocy poranki przełamywały się we wczesne przedpołudnia, obarczone niepotrzebnymi już lataniami, zebraniami, kolegami, gadaniami, zmęczone od za hałaśliwej już wesołości, a ociekające za wielką słodyczą jak smutkiem.

Otwierające się co rano oczy przerobione w owym czasie ze staroświeckich „piwnych" na modne „brunatne", same nie wiedziały, czego się trzymać: czy cofać się w sny o Janie, czy wydać się, bez reszty, na nowy dzień z Janem? I co to w ogóle będzie, co to jeszcze będzie?

Było. Nie wiadomo, jak przyszło i kiedy, ale było. Zaczęło się nie żadnym złym zdarzeniem, nie żadnym odkryciem, przełamującym czas na przed i po, nie żadną katastrofą jak w powieściach. Wkradło się tak niedostrzegalnie, tak z niczego, że Sabina nigdy nie mogła sobie przypomnieć tego poranka, kiedy po raz pierwszy poczuła w sercu tę jakby zwiniętą, skręconą sprężynę?

Zdaje się jednak, że zaczęło się od tego, że ta sprężyna zrobiona była z samej radości, i że Sabina naumyślnie nie dawała jej się od razu rozwinąć, że się po prostu bawiła tym, że nie może

sobie przypomnieć, co to ją dobrego dziś czeka? Czy ma dokąd pójść z Janem? Czy coś kupować z Janem do ich nowego domu? Ach, mniejsza z tym, nie trzeba nigdzie chodzić, niczego kupować: wystarczy, że Jan...

No tak. Była sobie taka sprężyna z radości zrobiona czy też sama radość zwinięta w sprężynę jak w kłębek. Leżała sobie spokojnie w sercu, na samym pograniczu snów i nic nie szkodziła, a nawet właśnie było dobrze, że się nie wiedziało, w co się rozkręci. Właśnie dobrze było czuć ją w sobie taką zwiniętą, jak dobre, ciepłe, śpiące zwierzę: nie budzić, póki śpi... tak rozkosznie jest czekać dobrego przebudzenia!

Jakże się to zaczęło, że jakby jeden jej koniec zaczął lekko, leciuteńko w sercu drżeć: prawie niewyczuwalnie, potem coraz wyraźniej. W końcu — ukłuł niepokojem. Nie wiadomo było, skąd to się wzięło i kiedy, ale wiadomo było, że jest. W końcu na nic się nie zdało udawać, że się tego ukłucia nie czuje, że wszystko jeszcze jest dobrze... jak niegdyś, kiedy się udawało, że się nie widzi czerwonego blasku na ścianie...

Bo koniec rozkręconej sprężyny kłuł coraz wyraźniej:

— Czy Jan już... Czy Jan jeszcze...

O jakimś czasie ukłucie przyjęło bezwstydny kształt zapytania: czy Jan w ogóle wróci na obiad? Czy dopiero wieczorem? Czy w nocy, jak wczoraj, jak pozawczoraj?... Czy znowu będzie „czekanie"?

Poranki wlokły się, już jawnie rozdygotane od niepokoju, wypchane różnymi sprawami, które miały niby to nie dopuszczać do całkowitego rozkręcenia się sprężyny. Dopuszczały.

Nadeszły inne takie, że sprężyna miała już nie

jedno, ale wiele ostrz. Każde kłuło inaczej. Jedno nazywało się „Kazimierz" i było błyszczące jak pochwa termometru: czy znowu będzie trzydzieści siedem i pięć? Gruczoły? Płuca?

Ostrza „Jan" były wielorakie. Osaczały ze wszystkich stron niepokojem. Że to nigdy nic nie wiadomo... podminowywały każdą chwilę dnia...

Przyszły poranki ciężkie od łez. Budzone przebrzydłą piosenką: Maruszka... Ach, nie myśleć o tym, nie myśleć... Dosyć myślało się przy mieszkaniach, na Freta... I tak miało być o porankach, a jest o „ostrzach"... i znowu będzie zastrzyk w robocie...

— Czy jest taki zastrzyk, który by uśpił wszystkie ostrza?

— Ano jest...

SABINA WYCHODZI ZA DZIESIĘĆ MINUT

To nie Sabiny wina, że znowu dała się wyprzedzić budzikowi wbrew wczorajszym postanowieniom, że zbudzone jego nieustępliwym terkotaniem powieki drgnęły niechętnie i znowu się zacisnęły mocniej, a ręce zaczęły obronnie naciągać na głowę kołdrę jak jakąś ochronę z ciemności i ze snu...

To wina Tomasza. Znowu zasiedział się wczoraj, choć mu Sabina tyle razy mówiła, żeby już szedł. — Zrozum przecie, że ty możesz sobie spać do południa, ale ja muszę wcześnie wstać, ja pracuję!... — wołała ze śmiechem. On wstał posłusznie, wielki i ciężki, i ubierał się, i szedł, a Sabina za nim i zagadywali się znowu przy drzwiach do przedpokoju. — Tomasz znowu coś wymyślił! — No idź już, idź —

mówi Sabina i znowu gadają przy drzwiach wejściowych. — Tomasz ma taki świetny pomysł!

— Ależ ty się żegnasz już od pół godziny!... — Nic to. Tomasz na pewno stworzy coś wielkiego...

Ale pomysły Tomasza są przezroczyste i wolne od grozy realizacji, jak powietrze, i nie od nich ranek na Filtrowej robi się ciężki, tylko od wesołego pośpiechu i tej „masy rzeczy do zrobienia"...

— Pani Gołębiowska — woła Sabina nowa, czynna i ważna — pani Gołębiowska, za dziesięć minut wychodzę! — Pani już za dziesięć minut wychodzi — interpretuje zaaferowana matka... Ale pani Gołębiowska zna wagę chwili: — Czy dwa jajka, czy kasza owsiana? Co lepiej, żeby Sabina mogła o tym gadać przez sześć godzin? Starsza pani zawija dwie bułki „z czymś". — Czy skórka odarta z kiełbasy? — ozięble pyta Sabina. Ach, jak teraz wszystko lata koło niej, koło tej ważnej, koło tej pracującej, zarabiającej! Za wszystkie czasy, za wszystkie lata, kiedy to ona skakała koło Jana razem z Marynią czy z Polcią!...

Na ulicy oddycha głęboko. Jest wcześnie i ci, co idą, idą do pracy, tak jak Sabina... I na przestrzeni między Filtrową a Marszałkowską przeżywa całą godzinę w czwartej klasie: o grzybach? o symbiozie? o pasożytach? Żeby nie wiem jak rozdzielić pensję, to i tak nie wystarczy... I znowu: z małymi w pierwszej klasie... Z Tomaszem jest zupełnie inaczej niż z Janem... Oblewa ją war... Doświadczenie z chlorofilem ze starszymi... A Kazimierz trochę się jednak poprawił z niemieckiego. I znowu opada ją troska: ...jeżeli do soboty nie będzie nic, to weźmie kąpiel na czterdzieści stopni i trzy proszki chininy od razu... Ach, najgorzej jest z tą martwą przyrodą w drugiej klasie!...

Ale na widok znajomej twarzy ulicznego zegara wszystko pierzcha. Zostaje tylko jedno: żeby zdążyć przed dzwonkiem. Sabina wpada do bramy już nie „ważna", tylko po prostu zastrachana...

W Murszewicach jest całkiem inaczej: tu najtwardszy przedranny sen, czarny i krótki jak skrawek letniej nocy, przytrzymany w pokoju drewnianą zaporą okiennicy, kończy się nie wrzaskiem budzika, tylko majstrowaniem i chrobotaniem Teofili przy tej okiennicy. I każdego ranka zdaje się nasłuchującej z uśmiechem Sabinie, że już tym razem Teofila nie da sobie rady z tą zacinającą się sztabą i każdego ranka Teofila daje sobie radę i ślepe okno zamienia się w witraż zielony od liści, niebieski od nieba, pocięty czarnymi, pokręconymi gałęziami octowych drzew, których stary Zarubowicz nie chce wyciąć...

Czasem nie zamyka się wcale okiennic na noc i nowy dzień wchodzi wtedy bez przeszkody, jak dobry przyjaciel... — Ej, pani Sabino — dobrotliwie groziła pani dyrektorowa — niech no pani zamyka na noc okiennice, bo jeszcze nam kto panią wykradnie i co będzie?

Nikt nie wykradł Sabiny, to pewne! Ale że ona wykradła swojemu życiu te murszewickie poranki, to fakt! I to terkotanie młynka, i smugę zapachu kawy z kuchni, i to pierwsze ranne odetchnięcie powietrzem, kiedy stanąwszy na ganku patrzała w ogród lśniący od pogody czy mokry od niepogody, wciągający w głąb alejką wygracowaną rękami Michała, i tę pewność, że Michał... Tak, tak, te poranki wykradła Sabina swojemu życiu, i cokolwiek się potem z nimi stało, to te, co były, są już jej...

— Dużo ci teraz przyjdzie z tych poranków... —

ironicznie zaczyna Sabina w łóżku, ale zaraz urywa, bo musi iść za tamtą, musi iść popielatą ścieżką, którą nocny deszcz pokrył gęsią skórką, i przykucnąć przy każdej grządce, żeby zobaczyć, co wyrosło...

— Niech no pani zobaczy, jak fasola wyłazi — krzyczy z okna Teofila, taka dumna z tej fasoli, jakby ją sama stworzyła — niech pani obejrzy pod płotem, może słoneczniki wschodzą — dodaje chytrze, choć sama wie najlepiej, jak jest, bo oglądała je już dziś z dziesięć razy. — A co? — pyta i czuje się dotknięta, jeśli nie słyszy okrzyków podziwu... — Niech pani porachuje, ile jest pączków na piwonii!

— I co z tego — zaczyna znowu Sabina w łóżku i znowu urywa, bo musi iść za tamtą do szkoły przez skwerek, gdzie ogromne krzewy śnieguliczki mają na wiosnę drobniuteńkie różowe kwiatki, a latem białe kulki, a w końcu już tylko cienkie, czarne gałązki. Ale to już późną jesienią, kiedy na rynku trzeba było wymijać kałuże.

Tak samo było ostatniej jesieni, kiedy Michał... ale to już nie należy do poranków...

W POKOJU I ZA OKNEM

W pokoju „chorej" noc się wlecze, nudna, zamknięta czterema ścianami, po których przesuwa się i gaśnie blask żarówki pod mlecznym kloszykiem na stoliku przy łóżku, żarówki to zapalanej niecierpliwą ręką rezygnującą już ze snu, to gaszonej w nadziei, że może przecież jeszcze się uda zasnąć choć nad ranem, choć na chwileczkę.

Myśli się pourywały niesforne: wszystkie na raz, zaplątane między tymi uporządkowanymi... Ach, jak

się od nich odczepić, jak je zmylić, jak pogubić? Leżeć nieruchomo i gwałtem myśleć o jakimś jednym byle czym, żeby tamtych nie dopuścić? Rachować do stu? Wpatrywać się w jakąś jedną rzecz? Bo ta noc wygląda jakby zrobiona z jednego długiego pasma, wyciągnięta od ostatniego „czy ci nic nie trzeba, Sabino", od ostatniego zamknięcia drzwi aż do pustego, zimnego poranka, nie skrócona podziałem na żadne odcinki...

Za oknem jest inaczej. Tam noc stoi ciemna, objęta studnią podwórka z wydłużonym tunelem bramy, przykryta skrawkiem byle jakiego miejskiego nieba, któremu jednak nadała głębokości i powagi... Nanizana jak na nitkę, łącząca bramę z mieszkaniem stróża, na ostry głos dzwonka, który ją kraje na odcinki pomiędzy jednym a drugim powrotem spóźnionych lokatorów.

I starym, wypróbowanym sposobem, w wędrówce po tych odcinkach usiłuje Sabina pogubić skłębione, poplątane myśli, wodząc je od dzwonka do dzwonka, jak po bagnie... Trochę chce, a trochę nie chce: czyżby się bała, że tak je gubiąc zgubi siebie samą?

Więc ciągle to gasi, to zapala swoją lampkę. A tymczasem za oknem odcinki czarnej drogi między dzwonkami wydłużają się coraz bardziej, aż się roztapiają w jednym takim środkowym, szerokim i uciszonym jak w czarną jakąś polanę, na której nareszcie może przycupnąć prawdziwa, milcząca, śpiąca noc.

I nie wiadomo dlaczego na tę prawdziwą noc czeka zawsze Sabina, jakby się wtedy właśnie miało coś stać.

Nie staje się nic. Ale o jakiejś chwili, choć jest równie ciemno i pozornie nic się nie zmieniło, stróż

znowu człapie, jak przedtem w swoich bamboszach przez podwórze, ziewając i czochrając się, kaszląc i plując jakoś inaczej — porannie...

To już nie spóźniony lokator. To poranne otwarcie bramy, już na dobre. A Sabina ciągle jeszcze nie śpi, jeszcze się wodzi z myślami, których nie udało się jej pogubić...

Wciąż jest jednakowo ciemno, ale słychać coraz to nowe otwarcia drzwi, coraz to nowe suwania kroków, męski kaszel i spluwanie. Tu i ówdzie śpiąca, głucha ściana kamienicy rozdziera się światłem za wczesnego wstawania, jakby mętnym krążkiem w siniejącej, rzednącej już ciemności — a Sabina jeszcze nie śpi?

Za coraz to bardziej niebieskimi szybami, w dole robi się rano. Ludzie pogadują, miotła stróża mlaska w brudnym śniegu i błocie, ktoś się z kimś kłóci, woda leje się z kranu, ktoś klnie, ktoś kogoś łaje... Sabina jeszcze nie śpi.

Ale kiedy już i w pokoju stoi sztywny biały dzień, kiedy Stasia zaczyna ruszać się w kuchni i ziewając idzie budzić Halinkę, Sabina nie może już wytrzymać. Ach, zasnąć już, zasnąć, choćby za cenę zgubienia siebie samej — na zawsze!...

Nie jest na zawsze. Już o zupełnym ruchliwym i głośnym dniu, po strzępkach uciekającego snu poznaje, że przecież, że jednak trochę spała...

Dobre i to...

ŚRODA

Ostatni lokatorzy wracali tak późno, że poranek za oknem wydzielił się z nocy niewyraźnie i prawie bez żadnego przejścia, rozmlaskany brudnym śnie-

giem i błotem, mętny i mokry. W pokoju jednak stał już pusty i jasny, kiedy Sabina usnęła bez snów. A obudziwszy się poznała tylko po zwiniętej w sercu, jak niegdyś, sprężynie, że w ogóle spała.

Sprężyna nie była zła. Ostrze miała tępe i niebolesne, raczej drażniące tylko, jakby jakiś kłopot, coś, co trzeba koniecznie zrobić, a nie chce się... — Ach, nie ruszać jej, nie ruszać, niech śpi!...

— Heleno, znowu nie idziesz do biura? Czy ten kolega znowu wrócił z urlopu?

— Ach nie, przecież on nie może tak raz po raz jeździć na urlop — uśmiecha się Helena. Krząta się przy zawalonym jak zwykle stoliku, odwrócona. — Przyjechał, ale inny. Nie znasz go — dodaje prędko. — Skutek jest ten sam, że mogę znowu brać robotę do domu.

Śmieje się. — Jak mogłaś myśleć, że u nas tak się dostaje raz po razu urlop? — Sabina śmieje się także: czy to doprawdy takie śmieszne? — Co ty tam kładziesz, Heleno? No nie, naprawdę, dzwonek?

— Przyniosłam już wczoraj, ale spałaś, nie chciałam ciebie budzić... — Helena dzisiaj po prostu tonie w tym sprzątaniu...

Wchodzi panna Zofia. — Co się stało, że tak dziś wcześnie?

— Miałam interes tu obok na Chmielnej, to mi się już nie opłaciło wracać do domu. — A jakże tam było w nocy?

— Dobrze! I widzi pani, już mam dzwonek...

Za osłoną otwartych drzwi panna Zofia jakoś długo przerabia się na pielęgniarkę. Wychodzi w końcu w swoim białym kitlu, próbuje dzwonka: och, jak głośno!

„Chora" grymasi. — Kiedy ja już wolę mój syfon!

Tak się do niego przyzwyczaiłam!... — Jak to, przecież zawsze mówiłaś, że tam w jadalnym nie słychać... — No tak, nie słychać, ale ja się przyzwyczaiłam! — i śmieją się wszystkie trzy.

Już taki jest ten poranek, że co kto powie, to na wesoło... A skręcona sprężyna śpi i nie wiadomo, w co się rozwinie. Ale chyba w nic bardzo złego... Można tymczasem o wszystkim myśleć i mówić...

— Karol już wyszedł? — Nie, jeszcze nie skończył śniadania. — Karolu, Karolu, Sabina niepokoi się, że ty się spóźnisz... A zdawałoby się, że co do tego, to już nikt nie ma złudzeń...

Karol staje w progu. Zaciera ręce, jak zwykle zziębnięty. — A właśnie, że nie, właśnie że wyjątkowo nie — powtarza głośno, wesoło i tak jakoś jak w teatrze. — I wracam dzisiaj wcześnie. — Czy Sabinie się zdawało, że spojrzał tak jakoś na Helenę?

— Czy wy dziś macie posiedzenie Zarządu? Opowiesz mi potem, jak było.

— Opowiem, opowiem — zapewnia gorliwie i znika w przedpokoju.

Teraz Sabina chce znowu wiedzieć, czy u Halinki rozdają świadectwa półroczne, i jak jest z ratą Kazimierza?

— Kazimierz powinien tu być niedługo.

— Dobrze. — I Sabina nie pyta, skąd jest ta wiadomość. Przymyka oczy. Jak to dziwnie, że można i o wszystkim myśleć, i o wszystkie sprawy wypytać, i wszystko słyszeć, co się dzieje w kuchni i na schodach, i w całej kamienicy, i wszystko tak jakoś razem kombinować, i jeszcze tamto dawne, co choć niby już przemyślane, ale przecież jeszcze zawsze jest...

— Marysiu, nie kręć się, nie przeszkadzaj... — I Sabina spostrzega, że z przyzwyczajenia zamk-

nęła oczy i splotła ręce, jakby się zabierała do tego swojego myślenia. — Nie, nie, nic, ja tylko tak... — uśmiecha się.

Na podwórku kataryniarz zagrał nagle, bardzo głośno i bardzo wesoło i od razu urwał, bo stróż go przepędził. Zupełnie jak wtedy, kiedy to przed południem kiedyś Marysia wycinała lalki, Helena spała w jadalnym, a wszystkie Sabiny we wszystkich swoich sukniach szły jak na defiladzie...

— Ale nikt nie chciał z żadną zawrzeć „przymierza krwi", choćby była w nie wiem jakiej sukni. Żaden Wielki Wąż ani Sokole Oko — najcichszym szeptem cieszy się Sabina: jak to dobrze, że tamta odwieczna „sprężyna" całego życia wcale już nie boli. A ta dzisiejsza — jeszcze...

— Co mówiłaś, Sabino? — i Helena w jednej chwili jest już przy łóżku, już się nachyla...

— Nic, nic, ja tylko przypominam sobie tu jedną rzecz... Pamiętasz, jakeśmy się rozczytywały o tych Indianach? Nie wiem nawet, czy Marysia to też tak lubi...

Marysia milczy i oczy jej się robią, jak ze szkła. „Zupełnie jak wtedy zaraz pierwszego dnia, kiedy się tu przeniosłam z łóżkiem — myśli Sabina. — Kiedy mnie przenieśli" — poprawia się.

— No, Marysiu, czemu nie odpowiadasz cioci — strofuje ją Helena takim głosem, jak zwykle mówi się: czemu nie odpowiadasz pani? Ale „ciocię" zastanawia już co innego: dlaczego Helena nie zabiera się do swojej roboty? Przecież mówiła, że ma tyle do pisania!...

— Bo... bo muszę pocerować pończochy... cały stos... — tłumaczy się Helena.

No tak! Pończochy, pończochy! Co prawda żadnych pończoch tu nie widać, ale już tak jakoś

dzisiaj jest, że każde słowo wypowiedziane przy Sabinie pociąga za sobą całe góry, całe kawały dawnego życia...

Teraz na przykład widzi się sama na Kruczej nad tymi pończochami, jak je cerowała udając, że nie czeka na Jana... — ale co w tym właściwie dziwnego, że Jan... Przecie i Erlenda tak ciągnęło z zawalonego dziećmi i chorobami domu na świat, na szeroką wodę, pod wolny, bystry wiatr, na smołowcowane deski statku, do jakichś dalekich Laponek drobnych i ciemnych, o dzikim, cierpkim zapachu skóry... A przecie kochał Krystynę... I Jan kochał Sabinę, tylko potem się zmienił.

— Co Stasia sieka w kuchni? Mięso na naleśniki? — słyszy Sabina nagle swój własny głos, jakby wróciła z jakiejś podróży — nieźle by było naprawdę gdzieś jechać pod szerokie wolne niebo z tego „pokoju chorej", pełnego lekarstw, z tego łóżka... Ale nieźle by też było po prostu wstać z niego i tak sobie najzwyczajniej krzątać się po domu bez żadnej podróży, jak panna Zofia, jak Stasia, jak wszyscy... — A dlaczego sieka nożem? Gdzie się podziała maszynka? — słyszy dalej swój głos, trochę nawet surowy, jakby przeprowadzała jakieś badanie.

— Maszynka w naprawie. Trzeba zmienić ostrze — niepewnie, a jednocześnie skwapliwie wyjaśnia Helena i Sabina przyłapuje jej wylękłe spojrzenie rzucone na pannę Zofię. — A co tu panna Zofia robi jeszcze o tej porze? — zapytuje jakby ją dopiero teraz zobaczyła i jednocześnie rozmyśla: ostrze... ostrze.

— Bo mam po południu zajść jeszcze tu na Chmielną, do tej chorej, to mi się nie opłaca wracać do domu — tłumaczy panna Zofia.

Ktoś dzwoni. Komu Stasia otworzyła drzwi? Kazimierzowi? — Chodź no, synu, powiedz, jak ci tam poszło, i czy już spłaciłeś pierwszą ratę za motocykl?

Kazimierz podchodzi, jakby zmieszany. No, tak — nie bardzo umiała Sabina nauczyć życia swojego syna Kazimierza, ale on, chwalić Boga, sam się jakoś nauczył... Bo przecież: idzie, idzie, idzie pan!... Tak, tak — to już jest pan!... Tylko że nie było o co mieć takich pretensji do matki, że „liczyła na Leosię", bo sama Sabina na co liczyła? Na broszurę doktora Rozenbauma?... Czyżby nikt nie umiał nikomu trafić w odpowiedni czas?... Czyżby każdy tak musiał zaczynać, sam się męczyć od początku i na własną rękę?

— Miałeś mi wtedy podać tytuły tych książek, synu — mówi Sabina do Kazimierza i zaraz zwraca się do Heleny: — A może byśmy założyły taką szkołę czy wydział, gdzie uczą żyć?... (patrzą na nią żydowskie umęczone oczy w zaczerwienionych obwódkach). Jak się mówi: Czarnejwody czy Czarnawody?...

Kazimierz sądzi, że „czarna" się nie odmienia. Helena, że owszem. Panna Zofia nic nie sądzi. — Heleno, Heleno, czy myślisz, że podlewanie wodą z mydłem nie szkodzi oleandrom?

Zza różowych kwiatów pachnących gorzkimi migdałami wykrzywia się dziwacznie twarz Rózi. Nawieszała na sobie jeszcze więcej papierków, widocznie już do reszty zwariowała. Ale Sabiny to nie przestraszy, bo to wszystko jest nie naprawdę, tylko tak jak w dzieciństwie, „na niby", w myślach. A w takim lataniu po myślach Sabina czuje się doskonale, czuje się jak w domu. I wcale jej to nie przeszkadza wszystko widzieć i wszystko słyszeć,

jakby w jakiejś ogromnej kopule, z której wypompowano powietrze, i nie ma ani dalej, ani bliżej, tylko wszystko razem i wszystko na raz... — No to właśnie, gdyby wypompowano powietrze, toby się nie widziało i nie słyszało — mówi jakby za Sabinę dawna nauczycielka z Murszewic, a Sabina słyszy doskonale, jak Karol otwiera kluczem zatrzask i wchodzi do przedpokoju, a Helena go szeptem wyprawia, żeby zaraz znowu po coś poszedł... — Heleno, Heleno, nie wysyłaj Karola po Rozencwajga, nie ma żadnej potrzeby, ja się czuję zupełnie dobrze...

Helena tłumaczy się, blada, zmieszana, uśmiechnięta. — Nie, doprawdy, Sabino, jaka ty jesteś... jasnowidząca... Ja chciałam tylko, żeby Rozencwajg podpisał nową receptę na te ostatnie zastrzyki, bo w aptece nie chcą już dawać...

— Nie chcą dawać?... — No to w aptece Majewskiego w Murszewicach dla Sabiny daliby na pewno! Jaka to tam była w oknie ogromna bania z czymś ślicznie niebieskim jak tamtem balonik... — Ja jestem zwyczajny, prosty człowiek — powiedział wtedy Michał na skwerku koło apteki — ale kocham ciebie więcej niż tamci wszyscy!...

Tak powiedział, a przecież i on się w końcu zmienił. No tak, ale pomyśl tylko, Sabino, ile ty miałaś lat, a ile ta panna Maria? „wszystko, wszystkim", a w życiu już tak jest... Kto tak mówił „wszystko wszystkim"? Czy nie pani Gołębiowska na Filtrowej? Tak, tak, Tomasz nie był „zwyczajnym, prostym człowiekiem", a i on się zmienił...

— Czy chora od dawna jest w tym stanie? — pyta szeptem w przedpokoju doktor Rozencwajg. Więc Karol go jednak sprowadził...

...Ale gdyby się nawet nie zmienili, to co by teraz

z tego przyszło? Przecież kiedyś człowiek musi sam... — kończy Sabina. A jednocześnie słyszy swój własny głos, głośny i wyraźny: — Panie doktorze, panie doktorze, przecież ja wszystko słyszę!... Pan się zupełnie nie umie z chorymi obchodzić — śmieje się — chociaż pan jest doskonałym lekarzem — dodaje szybko, żeby mu nie zrobić przykrości.

— Lekarzem to pan jest naprawdę doskonałym, przecież to pan właśnie przepowiedział — przypomina sobie nagle, milknie zdziwiona i przestaje się śmiać... I od tego, że wszyscy milkną i nikt się nie śmieje, czy od zapachu lekarstw, który wnosił ze sobą zawsze doktor Rozencwajg, uświadamia sobie coraz lepiej, coraz wyraźniej: to ostrze sprężyny, ten kłopot, to, co koniecznie trzeba zrobić — to przecież jest... po prostu umrzeć...

Ale umarła dopiero w piątek nad ranem, właśnie kiedy stróż otwierał bramę ostatnim spóźnionym lokatorom. I kiedy była sama.

Biblioteka Miejska we Włocławku

SPIS RZECZY

Wstęp 5

Część pierwsza

PO SUKNIACH

Przez odwróconą lornetkę 19
Podróż na jaśku 25
Port różowej sukni 27
Granatowa, poszerzona „meteorem" 30
Idzie, idzie, idzie pan... 38
Ta wieczna czarna 44
Czwartek 48
Wycinanki 52

Część druga

PO MIESZKANIACH

To najdawniejsze 63
Cienie skaczą po suficie 68
Kasztany 71
Trzy pokoje w amfiladzie 76
Na Freta 79
Na Filtrowej 85
Daleki świat 93
Piłsudskiego nr 2 98
Zmierzch 107

Część trzecia

PO SŁUŻĄCYCH

Aj-waj-mir! 115
Modestowa 118
Sobieska 122
„One" wszystkie i ta, której nie było 130
Stasia 139

Część czwarta

PO KSIĄŻKACH

Przymierze krwi 145
Ponury, groźny głos bębna 150
Dziesięcioro dzieci Anny Svärd 153
Wszystkie ognie wypalają się zwolna 156

Część piąta

PO ZABAWACH I ZAJĘCIACH

Naguski 161
W parku 165
Rinaldo Rinaldini 168
„Matka" 178
„Pani" 185
Odwiedziny 191

Część szósta

PO PORANKACH

Czerwony blask 199
Sprężyna 205
Sabina wychodzi za dziesięć minut 208
W pokoju i za oknem 211
Środa 213

„Czytelnik". Warszawa 1958. Wydanie II. Nakład 10 250 egz. Obj.: ark. wyd. 8,5; ark. druk. 14. Papier dzieł. m/gł. kl. III, 70 g. 82 × 104 z fabryki w Kluczach. Oddano do składania 13.II.58. Podpisano do druku 26.IV.58. Druk ukończono w maju 58. Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" w Warszawie. Zamówienie nr 998. A-67. Cena 12.— zł.

Printed in Poland